

Pellucidar

Burroughs Edgar Rice



calibre 0.9.43

Edgar Rice Burroughs

PELLUCIDAR

PROLOG

Przez kilka lat nie mogłem znaleźć dogodnej sposobności, by znów zapolować na grubego zwierza. W końcu jednak przygotowania do powrotu na moje stare tereny łowieckie w Afryce Północnej, gdzie uprzednio pościgi za królem zwierząt dostarczały mi znakomitej rozrywki, zostały ostatecznie ukończone.

Data wyjazdu została wyznaczona — miałem wyruszyć za dwa tygodnie. Żaden uczeń, liczący wlokące się godziny, które jeszcze muszą minąć, zanim początek „długich wakacji” pozwoli mu wreszcie korzystać z oszałamiających wrażeń letniego obozu, nie mógłby być bardziej niecierpliwy, pełen nadziei.

A potem nadszedł list, który sprawił, iż pośpieszyłem do Afryki dwanaście dni wcześniej niż planowałem.

Często otrzymuje, listy od nieznanomych, którzy w moich opowieściach znaleźli coś zasługującego na pochwałę czy potępienie. Do tej części mojej korespondencji odnoszę się z nigdy nie słabnącym zainteresowaniem. Ten szczególny list otwierałem z równym zapalem, jak wiele innych. Pieczęć pocztowa (Algier) musiała wzbudzić moją ciekawość, szczególnie w tym czasie, gdyż to właśnie Algier miał zakończyć czekającą mnie wkrótce morską podróż, podejmowaną w poszukiwaniu rozrywki i przygody.

Zanim skończyłem czytanie, lwy i polowania uleciały z mojej głowy — byłem rozgorączkowany z podniecenia.

List — cóż, przeczytajcie go państwo sami i oceńcie, czy i wy również nie znaleźlibyście w nim pożywki dla szalonych domysłów, dręczących wątpliwości i wielkich nadziei.

Oto on:

Drogi Panie!

Myślę, iż natknąłem się na jeden z najbardziej szczególnych zbiegów okoliczności we współczesnej literaturze. Pozwoli pan jednak, że zacznę od początku:

Moją profesją jest wędrowanie po powierzchni naszego globu. Nie mam innego zawodu — niczym innym też się nie zajmuje.

Mój ojciec zostawił mi w spuściźnie środki do życia, któryś z bardziej odległych przodków — żądze włóczęgi — Połączyłem te dwa spadki i zainwestowałem je starannie i bez ekstrawagancji.

W swoim czasie zainteresowała mnie pańska powieść „W jądrze Ziemi”, może nie tyle ze względu na prawdopodobieństwo opowiedzianych w niej wydarzeń, ile z uwagi na wielkie i nieustające zadziwienie, iż komukolwiek płaci się prawdziwe pieniądze za pisanie tak niebosiężnych bzdur. Proszę mi wybaczyć szczerłość, ale jest ona konieczna, by mógł pan zrozumieć moje nastawienie do tej właśnie historii i przez to łatwiej dał wiarę temu, co opisze.

Wkrótce potem wyruszyłem na Saharę w poszukiwaniu pewnego rzadkiego gatunku antylopy, na który można się natknąć tylko w określonej porze roku i na dość ograniczonym obszarze. Poszukiwania zaprowadziły mnie daleko poza uczęszczane przez człowieka ścieżki.

Moje wysiłki były niestety bezowocne, przynajmniej jeśli chodzi o antylopy. Jednak pewnej nocy, gdy starałem się zasnąć na skraju małego zagajnika palm daktylowych, otaczającego

starożytną studnię, wykopaną w sercu wypalonych słońcem piasków, nagle zdałem sobie sprawę, iż słyszę dziwny dźwięk, najwyraźniej dobywający się z ziemi pod moją głową.

Było to przerywane, nierówne popiskiwanie!

Żaden ze znanych mi ptaków czy owadów nie wydaje takich dźwięków. Leżałem tak przez godzinę, nasłuchując uważnie. W końcu ciekawość zwyciężyła. Podniosłem się, zapaliłem lampę i rozpocząłem badania.

Moje postanie spoczywało na niewielkim dywanie, rozciągniętym bezpośrednio na gorącym piasku. Hałas zdawał się dobiegać właśnie spod niego. Uniosłem dywan, ale nic nie znalazłem — jednak dźwięk, jakkolwiek przerywany, wciąż nie milkł.

Ostrzem myśliwskiego noża zacząłem kopać w piasku. Kilka cali pod powierzchnią natknąłem się na twardą materię, która sprawiała wrażenie drewna.

Wybrałem piasek wokół i, odstłoniłem niewielką skrzynkę. To z jej wnętrza dobiegał dziwny dźwięk.

Jak się tu znalazła?

Co zawierała?

Usiłując ją wyjąć na powierzchnie odkryłem, iż była przytrzymywana cienkim, izolowanym kablem, biegnącym w dół, w głąb piasku.

Moim pierwszym odruchem było wyciągnąć skrzynkę siłą, jednak na szczęście powstrzymałem się i postanowiłem dokładniej ją obejrzeć. Wkrótce zauważyłem, że wieko, opatrzone z jednej strony zawiasami, zamknięte było na zwykły haczyk. Otwarcie go było kwestią chwili. Wewnątrz, ku memu niezmiernemu zdziwieniu, zobaczyłem zwyczajny, tykający sobie w najlepsze aparat telegraficzny.

— *A cóż, na Boga, ta rzecz tutaj robi?* — pomyślałem. Przede wszystkim zauważyłem, iż jest to taki instrument, jakie są używane przez armie francuską — jednak, wziąwszy pod uwagę osamotnienie miejsca, w którym się znajdował i jego odległość od najbliższych ludzkich siedzib, to wyjaśnienie wydawało się mało prawdopodobne.

Siedziałem i wpatrywałem się w to szczególne znalezisko, popiskujące i tykające w ciszy pustynnej nocy, usiłujące przekazać jakąś wiadomość, której nie byłem w stanie odczytać. W pewnej chwili mój wzrok padł na skrawek papieru, leżący na dnie skrzynki obok aparatu. Wyjąłem go i obejrzałem. Wypisane na nim były tylko dwie litery:

D.I.

Wtedy nic mi one nie mówiły. Byłem zupełnie zbity z tropu.

W pewnej chwili, gdy odbiorcza część aparatu na moment zamilkła, kilkakrotnie nacisnąłem klucz do nadawania. Odbiornik natychmiast zaczął gorączkową pracę.

Usiłowałem sobie przypomnieć choćby fragmenty alfabetu Morse'a, którym bawiłem się jako chłopiec, jednak czas dokładnie wymazał go z mej pamięci. Pozwoliłem więc wyobraźni swobodnie podróżować wśród możliwych wiadomości, które popiskujący telegraf mógł przekazywać i to ostatecznie wytrąciło mnie z równowagi. Jakiś nieszczęśnik gdzieś na drugim końcu przewodu może rozpaczliwie potrzebować pomocy. Gorączkowe, dzikie brzęczenie aparatu zdawało się na coś podobnego wskazywać.

A ja siedziałem beczynn timer, niezdolny zrozumieć, niezdolny udzielić jakiegokolwiek pomocy!

I wtedy olśniło mnie. W moim umyśle jak błyskawica zajaśniało ostatnie zdanie powieści, którą czytałem w klubie w Algierze: „Czy odpowiedź spoczywa gdzieś na rozległym łonie Sahary, na

końcach dwóch cienkich drutów, skrytych w piaskach pod zaginionym kopcem?”

Pomysł wydał się absurdalny. Doświadczenie i zdrowy rozsądek połączyły się, by mnie zapewnić, że w pańskiej szalonej opowieści nie mogło być ziarenka prawdy, że od początku do końca była ona czystą fikcją.

Gdzie, w takim razie, znajdował się drugi koniec przewodów?

Czym był ten aparat, brzęczący tu, w środku pustyni, jeśli nie parodią tego, co możliwe?

Czy uwierzyłbym w taką historię, gdybym nie brał w niej udziału?

I te inicjały na skrawku papieru! To były inicjały Dawida — Dawid Innes.

Zaśmiałem się z własnych myśli. Kpiłem z przypuszczenia, że istnieje jakiś wewnętrzny świat i że przewody wiodą poprzez skorupę ziemską ku powierzchni Pellucidaru. A jednak...

Siedziałem tam przez całą noc, słuchając dręczącego piszczenia i od czasu do czasu poruszając kluczem do nadawania — tylko po to, by nieznajomy na drugim końcu wiedział, iż aparat został odnaleziony. Rankiem, po starannym, włożeniu skrzynki z powrotem do dziury i przysypaniu jej piaskiem, zawołałem służących, pośpiesznie przełknąłem śniadanie, osiodłałem konia i szybko wyruszyłem ku Algierowi.

Przybyłem tu dzisiaj. Teraz pisze do pana list czując, że robię z siebie głupca.

Dawid Innes nie istnieje.

Dian Piękna nie istnieje.

Nie ma świata wewnątrz świata.

Pellucidar jest tylko tworem pańskiej wyobraźni, niczym więcej.

A jednak...

Taki przypadek, jak znalezienie aparatu telegraficznego, zakopanego na pustynnej Saharze zakrawa na żart sił nieczystych, szczególnie w świetle pańskiej opowieści o przygodach Dawida Innesa.

Na początku tego listu nazwałem to jednym z najbardziej szczególnych zbiegów okoliczności we współczesnej beletryście. Poprzednio użyłem słowa „literatura”, ale jeszcze raz proszę, wybaczyć mi szczerość — pańska powieść nią nie jest.

No więc — dlaczego do pana pisze?

Bóg jedyny raczy wiedzieć, chyba że ta niepojęta enigma, ten natrętny pisk wśród głębokiej saharyjskiej ciszy tak nadszarpnął moje nerwy, iż rozsądek odmawia mi posłuszeństwa.

W tej chwili nie mogę go słyszeć, jednak wiem, że daleko na południu, skryty pod piaskami telegraf, wystukuje swe daremne, rozpaczliwe wezwania.

To mnie doprowadza do obłędu!

To pańska wina i żądam, by mnie pan od tego uwolnił.

Proszę, natychmiast, na mój koszt, wysłać depesze, stwierdzającą, iż powieść „W jądrze Ziemi” nie była oparta na rzeczywistych wydarzeniach.

I czerwca...

Pozostaje z szacunkiem

Cogdon Nestor

Klub „-i-”

Algier

Dziesięć minut po przeczytaniu tego listu wysłałem do pana Nestora następującą wiadomość:

Historia prawdziwa. Proszę czekać w Algierze.

Tak szybko jak pociąg i statek mogły mnie przewieźć, zmierzałem ku swemu celowi. Przez

wszystkie dni podróży, wlokące się w nieskończoność, mój umysł był wirem szalonych domysłów, ogromnej nadziei i meczącego strachu.

Odnalezienie aparatu telegraficznego ostatecznie mnie upewniło, że Dawidowi Innesowi udało się przeprowadzić żelaznego kreta przez skorupę ziemską z powrotem ku podziemnemu Pellucidarowi. Jednak co zastał tam po powrocie, jakie miał przygody?

Czy znalazł Dian Piękną, swą półdziką towarzyszkę, bezpieczną wśród przyjaciół? A może Hooji Przebiegłemu udało się zrealizować swój nikczemny plan jej porwania?

Czy Abner Perry, sympatyczny stary wynalazca i paleontolog, jeszcze żyje?

Czy zjednoczonym plemionom udało się zrzucić jarzmo władzy Mahar — potwornych gadów, rządzących Pellucidarem przy pomocy dzikich Sagothów — okrutnych, gorylopodobnych żołnierzy.

Muszę przyznać, że gdy wchodziłem do Klubu „-i-” w Algierze i pytałem o pana Nestora, znajdowałem się w stanie, który graniczył z rozstrojem nerwów. Natychmiast zostałem do niego zaprowadzony i w chwilę później wymieniałem uścisk dłoni z człowiekiem, jakich niewielu można jeszcze spotkać na tym świecie. Był to wysoki, prosto się trzymający mężczyzna około trzydziestki, o wyrazistych rysach i skórze spalonej słońcem na kolor spotykaną jedynie u Arabów z pustyni.

Od pierwszej chwili bardzo go polubiłem i mam nadzieję, że po trzech miesiącach, spędzonych wspólnie w pustynnej okolicy — miesiącach niezupełnie wolnych od przygód — stwierdził on, że ktoś może być autorem „niebosiężnych bzdur”, a jednocześnie posiadać pewne wyrównujące to zalety.

Mogliśmy wyruszyć na południe już następnego dnia po moim przybyciu do Algieru, gdyż wszystkie niezbędne przygotowania Nestor zrobił wcześniej, zakładając, oczywiście słusznie, że przyjadę do Afryki w jednym tylko celu — by natychmiast pospieszyć do zakopanego telegrafu i wydrzeć mu jego tajemnice.

Oprócz miejscowych służących wzięliśmy ze sobą angielskiego telegrafistę, Franka Downesa. W czasie podróży, odbytej koleją i karawaną nie zdarzyło się nic szczególnego i bez przeszkód przybyliśmy do gaju palm daktylowych, otaczających starożytną, wykopaną w sercu Sahary studnię.

To było to samo miejsce, w którym po raz pierwszy zobaczyłem Dawida Innesa. Jeśli nawet usypał on nad ukrytym aparatem telegraficznym jakiś kopiec, teraz już nie pozostał po nim nawet siad. Gdyby nie przypadek, który kazał Nestorowi rozesać swe posłanie dokładnie ponad ukrytym telegrafem, wciąż pewnie tykałby on, przez nikogo nie słyszany — a ta historia pozostałaby nie napisana.

Gdy usunęliśmy przykrywający skrzynkę piasek, telegraf milczał. Wielokrotnie ponawiane przez naszego telegrafistę próby nawiązania łączności niestety nie zaowocowały odpowiedzią z drugiego końca linii. Po kilku dniach daremnych starań zaczęliśmy wpadać w przygnębienie. Jednak byłem — wtedy równie pewien tego, że drugi koniec cienkiego kabla przebija powierzchnię wewnętrznego świata, jak dzisiaj jestem pewien, że siedzę w swoim gabinecie. I rzeczywiście — czwartego dnia około północy obudził mnie odgłos pracy telegrafu.

Skoczyłem na równe nogi, brutalnie chwyciłem Downesa za kark i wyciągnąłem spod koców. Nie potrzebowałem mu wyjaśniać przyczyny mego podniecenia, gdyż natychmiast po przebudzeniu on również usłyszał długo oczekiwany pisk. Z okrzykiem radości rzucił się ku aparatowi.

Nestor zerwał się niemal równie szybko, jak ja. Stłoczyliśmy się wokół skrzynki, jakby od wiadomości, którą miała przekazać, zależało nasze życie.

Downes wmieszał się w pisk aparatu kluczem do nadawania. Hałas w odbiorniku natychmiast umilkł.

— Spytaj go kim jest — poleciłem.

Zrobił to, a Nestor i ja czekaliśmy z zapartym tchem, aż Downes przetłumaczy odpowiedź.

— Mówi, że nazywa się Dawid Innes. Chce wiedzieć kim my jesteśmy.

— Powiedz mu. Spytaj, jak się miewa i przekaż również, że chcemy wiedzieć o wszystkim, co mu się przytrafiło od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

Przez następne dwa miesiące rozmawiałem z Innesem niemal codziennie, a w miarę jak Downes tłumaczył jego odpowiedzi, Nestor albo ja robiliśmy notatki.

Z tych właśnie notatek, ułożonych w chronologicznym porządku, sporządziłem poniższe zestawienie — opis dalszych przygód Dawida Innesa we wnętrzu Ziemi, to znaczy w świecie, który wybrał jako swój.

Rozdział I

Zabłąkany na Pellucidarze

Wspomniani w zakończeniu mego ostatniego listu Arabowie (rozpoczyna Innes), o których myślałem, że są wrogami dybiącymi na moje życie, okazali się bardzo przyjaźni. Poszukiwali tej samej bandy rozbójników, która mnie również zagrażała. Ogromna kreatura, przywieziona przeze mnie z wewnętrznego świata — szkaradna Mahara, na którą Hooja Przebiegły w chwili mojego wyjazdu podmienił mą drogą Dian — zdumiała ich i przeraziła.

W nie mniejszym stopniu zdziwił ich widok potężnej maszyny, która zaniósła mnie do Pellucidaru i z powrotem, leżącej teraz na pustyni w odległości około dwóch mil od mego obozowiska.

Z ich pomocą zdołałem ustawić jej nieruchome, ważące tony cielsko w pozycji pionowej — z nosem zanurzonym w głębokiej, wykopanej w piasku dziurze i resztą kadłuba podpartą pniami ściętych w tym celu palm daktylowych.

Było to ogromne inżynierskie zadanie: przy pomocy dzikich Arabów i jeszcze dzikszych ich wierzchowców wykonać prace elektrycznego dźwigu. Jednak ostatecznie przygotowania zostały ukończone i byłem gotowy do odjazdu.

Przez pewien czas zastanawiałem się czy brać Mahare z powrotem. Od chwili, gdy odkryła, że jest więźniem na pokładzie żelaznego kreta była spokojna i posłuszna. Oczywiście porozumiewanie się z nią było dla mnie niemożliwe. Nie posiadała organów słuchu, ja zaś wiedzy na temat jej sposobu komunikowania się, wykorzystującego czwarty wymiar i szósty zmysł.

Jestem jednak łagodny z natury i stwierdziłem, że nawet tak zniechęconej i odrażającej istoty nie jestem w stanie zostawić w obcym i wrogim dla niej świecie. W rezultacie, wchodząc do żelaznego kreta, zabrałem ją ze sobą.

Najwyraźniej wiedziała, że wybieramy się z powrotem na Pellucidar, gdyż jej nastrój natychmiast zmienił się z nieustannego przygnębienia w niemal ludzkie zadowolenie i radość.

Droga przez skorupę ziemską była tylko powtórzeniem dwóch poprzednich podróży pomiędzy światami zewnętrznym i wewnętrznym. Wydawało mi się jednak, że tym razem utrzymywaliśmy kurs mniej odchyłony od pionu, gdyż zakończyliśmy podróż w czasie o kilka minut krótszym niż przy okazji mego pierwszego przedzierania się przez pięćsetmilową powłokę skalną. W niemal siedemdziesiąt dwie godziny po wyruszeniu w głąb piasków Sahary, przebiliśmy powierzchnie Pellucidaru.

Szczyście raz jeszcze uśmiechnęło się do mnie, gdyż po otwarciu drzwi w zewnętrznym panczeru pojazdu stwierdziłem, że od wyjścia na powierzchnie przez dno oceanu dzieliło nas zaledwie kilkaset jardów.

Rozciągający się wokół krajobraz był mi zupełnie nieznanym i nie wiedziałem gdzie, w jakim punkcie tych ogromnych, liczących sto dwadzieścia cztery miliony mil kwadratowych łądów Pellucidaru się znajdowałem.

Słońce wiecznego środka dnia raziło palącymi promieniami prosto z zenitu, z miejsca, w którym tkwiło od początku pellucidarskiego czasu i w którym tkwić będzie do jego końca. Przede mną rozciągało się morze, dziwne, pozbawione horyzontu — jednolita powierzchnia, łagodnie wyginająca

się ku górze na spotkanie nieba i ginąca z oczu wysoko ponad poziomem mego wzroku, w głębi lazururowej dali.

Jak niezwykle był to widok! Jak ogromnie różny od płaskich, ograniczonych obrazów, danych mieszkańcom zewnętrznej powierzchni.

Byłem zagubiony. Mogłem wędrować przez całe życie bez ustanku i mimo to nigdy nie odnaleźć siadu przyjaciół w tym obcym i dzikim świecie. Nigdy nie ujrzeć drogiego, starego Perry'ego, ani Ghaka Włochatego, ani Dakora Mocnego, ani tej najcenniejszej z przyjaciół — mej wspaniałej, słodkiej małżonki — Dian Pięknej!

Ale nawet znajdując się w tak niepewnej sytuacji, byłem zadowolony, że znowu stąпам po powierzchni Pellucidaru. Nie mogę nie kochać tego świata, mimo iż jest tak tajemniczy, przerażający, groteskowy i dziki. Właśnie jego dzikość najbardziej mnie pociąga, gdyż jest to dzikość dziewiczej jeszcze Natury.

Oczarowała mnie wspaniałość jego tropikalnej przyrody i nieskrępowana wolność, którą oddychają tu potężne lądy.

Nieprzemierzone oceany, szepczące o pierwotnych, nieskażonych jeszcze ludzkim wzrokiem cudach przyzywały mnie ku swym niespokojnym otchłaniom.

Nawet przez chwilę nie żałowałem świata, z którego się wywodziłem. Byłem na Pellucidarze. Byłem w domu. I byłem z tego zadowolony.

Zatopiony w myślach, nie od razu zauważyłem, że z wnętrza ogromnej maszyny, która bezpiecznie przeniosła mnie przez skorupę ziemską wyszła moja towarzyszka podróży, odrażająca Mahara. Stała obok mnie, zastygając na długą chwilę w bezruchu.

Jakie myśli przepływały przez zwoje jej gadziego mózgu?

Nie mogłem tego wiedzieć.

Należała do panującej na Pellucidarze rasy. Dziwny kaprys ewolucji sprawił, że jej gatunek jako pierwszy w tym świecie anomalii posiadał zdolność myślenia. Stworzenia takie jak ja były dla niej istotami niższego rzędu. Perry, czytając znalezione w podziemnym mieście Phutra księgi jej gatunku odkrył, iż pytanie czy człowiek posiada środki porozumiewania się i zdolność myślenia pozostawało dla nich ciągle bez odpowiedzi.

Jej gatunek wierzył, że stała materia jest wszechogarniająca, a w jej centrum istnieje samotna, ogromna, sferyczna komora, którą jest Pellucidar. Komora ta została pozostawiona wyłącznie w celu stworzenia warunków do życia, działalności i rozwoju rasy Mahar. Wszystko, co się w niej znajdowało, zostało tu umieszczone wyłącznie dla nich.

Zastanawiałem się co myśli teraz, po zakończeniu naszej podróży. Sprawiały mi przyjemność spekulacje na temat wpływu, jaki mogło na nią mieć przejście przez skorupę ziemską i znalezienie się w świecie, który, jak to łatwo mogła zauważyć nawet istota o mniejszej niż posiadana przez wielkie Mahary inteligencji, był zupełnie inny niż jej Pellucidar.

Co myślała o maleńkim słońcu zewnętrznego świata?

Jakie wrażenie wywarły na niej księżyc i miliardy gwiazd, błyszczących na czystym afrykańskim niebie?

Jak je sobie tłumaczyła?

Z jak wielkim zadziwieniem musiała po raz pierwszy obserwować słońce, przesuujące się powoli po niebie, znikające w końcu za zachodnim horyzontem i zostawiające za sobą coś, czego nikt z jej gatunku dotychczas nie widział — ciemność nocy. Na Pellucidarze noc nie istnieje. Tamtejsze słońce jest nieruchome i wisi wiecznie w centrum pellucidarskiego nieba — dokładnie ponad głową.

Niemale wrażenie musiała również na niej zrobić wspaniała maszyna, która przewierciła sobie

drogę z jednego świata do drugiego i z powrotem. Zrozumiała zapewne, iż istota, która nią sterowała, była rozumna.

Widziała, jak na powierzchni ziemi rozmawiałem z innymi ludźmi. Widziała przybycie karawany z ładunkiem książek, broni i amunicji, widziała kolekcje różnorodnych przedmiotów, którą upchałem w kabinie kreta, by je przewieźć na Pellucidar.

Widziała świadectwa cywilizacji, potęgę umysłu, przewyższającą w dokonaniach naukowych wszystko, co osiągnęła jej rasa — i ani razu nie zobaczyła istoty, należącej do tego samego co ona gatunku.

Tylko jeden wniosek mógł zrodzić się w jej umyśle — poza Pellucidarem istnieją jeszcze inne światy, a gilak jest istotą rozumną.

Dotychczas Mahara stała nieruchomo tuż koło mnie. Teraz zaczęła przesuwać się powoli w stronę pobliskiego morza. Na mym biodrze wisiał sześciostrzałowiec o długiej lufie (nowo wymyślone pistolety automatyczne, które od czasu mego pierwszego odjazdu z zewnętrznego świata poddawane były ciągłym udoskonaleniom nie budziły we mnie zaufania), a w dłoniach trzymałem ciężki, szybkostrzelny karabin. Intuicyjnie wiedziałem, że ucieka i z łatwością mogłem ją zastrzelić. Nie zrobiłem tego.

Czułem, że jeśli będzie mogła powrócić do domu z opowieścią o swych przygodach, pozycja rasy ludzkiej na Pellucidarze znacznie się podniesie, gdyż w rozważaniach gadów człowiek wreszcie zajmie należne mu miejsce.

Na skraju morza Mahara zatrzymała się i obejrzała, spoglądając na mnie. Potem węzowym ruchem wśliznęła się w fale.

Wypłynęła sto jardów od brzegu i przez chwilę dryfowała na powierzchni. W końcu rozpostarła swe ogromne skrzydła, uderzyła nimi energicznie kilkanaście razy i uniosła się ponad błękitne morze. Wysoko w górze zatoczyła szerokie koło, a potem, prosto jak strzała, odleciała w dal.

Obserwowałem ją, aż zniknęła, otulona wiszącą w oddali mgiełką. Zostałem sam.

Moją podstawową troską było stwierdzenie, w jakim punkcie Pellucidaru się znajdowałem i gdzie, w jakiej stronie świata leżał rządzony przez Ghaka Włochatego kraj Sarian.

Ale w jaki sposób się tego dowiedzieć?

Jeśli wyruszę na poszukiwanie — to co potem? Czy będę potrafił odnaleźć drogę powrotną do mechanicznego kreta? Przecież w jego wnętrzu znajdował się bezcenny ładunek książek, broni, amunicji, sprzętu naukowego i książek raz jeszcze — wielka biblioteka prac źródłowych z każdej możliwej dziedziny nauk stosowanych.

A gdybym nie trafił tu znowu, to jaką wartość dla świata, który mnie adoptował będzie miał ten ogromny magazyn potencjału cywilizacyjnego?

Z drugiej strony — jeżeli tu zostanę, czego będę mógł w samotności dokonać?

Niczego.

Ale w jaki sposób w świecie, w którym nie ma ani wschodu, ani zachodu, ani północy, ani południa, ani gwiazd, ani księżyca lecz tylko nieruchome, stojące w zenicie słońce, mam odnaleźć drogę powrotną do tego miejsca, jeśli raz stracę je z oczu?

Nie miałem pojęcia.

Przez długi czas zastanawiałem się, aż wreszcie przyszło mi do głowy, by wypróbować jeden z kompasów, które przywiozłem ze sobą i upewnić się czy będzie niezmiennie wskazywał jakiś stały kierunek. Wróciłem z powrotem do kabiny i wyniosłem urządzenie.

Odszedłem na sporą odległość od kreta, by znaczna masa żelaza i stali, z której był on zbudowany nie wpływała na wskazania igły. Potem obróciłem delikatny przyrząd po kolei w każdą stronę świata.

Zawsze i w każdym położeniu igła zdecydowanie ustawiała się w jednym kierunku — ku morzu. Wyraźnie wskazywała w stronę dużej wyspy, leżącej w odległości dziesięciu czy dwudziestu mil od brzegu. Ten kierunek powinien więc być północą.

Wyjąłem z kieszeni notatnik i zrobiłem dokładny szkic topograficzny okolicy znajdującej się w zasięgu mego wzroku. Prosto na północ, daleko na lśniącym morzu, leżała wyspa.

Za punkt obserwacyjny posłużył mi wierzchołek dużego, płaskiego głazu, wznoszący się sześć czy osiem stóp nad poziom gruntu. To miejsce nazwałem Greenwich, zaś głaz był „Królewskim Obserwatorium”.

A więc zrobiłem pierwszy krok! Nie potrafię opisać uczucia ulgi, które ogarnęło mnie dzięki prostemu faktowi, że na Pellucidarze istniało chociaż jedno miejsce, posiadające znajomą nazwę i swój odpowiednik na mapie.

Odczuwałem niemal dziecięcą radość, rysując w moim notatniku małe kółko i wypisując obok niego słowo „Greenwich”.

Czułem, że teraz już mogę rozpocząć poszukiwania, gdyż mam pewność, że zdołam trafić z powrotem do mego pojazdu.

Postanowiłem, że na początku będę podróżował dokładnie na południe. Miałem nadzieje, że natknę się tam na jakieś znajome miejsce, a poza tym był to równie dobry kierunek, jak każdy inny. Przynajmniej tyle można było o nim powiedzieć.

Pomiędzy rzeczami, które ze sobą przywiozłem z zewnętrznego świata znajdowała się pewna ilość krokomierzy. Wsunąłem do kieszeni trzy z nich, mając nadzieje, że dzięki uśrednieniu wskazań trzech, otrzymam w miarę dokładny wynik.

Na mojej mapie postanowiłem zaznaczać ile zrobiłem kroków na południe, ile na wschód, ile na zachód i tak dalej. Gdy zdecyduje się na powrót, będę to mógł zrobić dowolną, wybraną przez siebie drogą.

Przerzuciłem przez ramiona pasy ze znaczną ilością amunicji, upchnąłem po kieszeniach kilka pudełek zapalek, a do pasa na biodrach przymocowałem aluminiową patelnię i niewielki, również aluminiowy kociołek.

Byłem gotów — gotów iść naprzód i badać ten świat! W poszukiwaniu mych przyjaciół, mej niezrównanej małżonki i starego, dobrego Perry’ego gotów byłem zbadać obszar o powierzchni 124 110 000 mil kwadratowych!

I tak, zamknąwszy zewnętrzne drzwi kreta, wyruszyłem w drogę. Szedłem dokładnie na południe, wzdłuż uroczych dolin pełnych stad pasącej się zwierzyny. Przedzierałem się przez gęstwiny pierwotnych puszczy i wspinałem na zbocza potężnych gór, poszukując przejść na drugą stronę.

Pod strzałami mego wiernego rewolweru padły koziorożec i baran piżmowy, więc i na większych wysokościach nie brakowało mi pożywienia. W puszczy i na równinach znajdowałem antylopy, żubry i łosie, ponadto ogromną różnorodność owoców i dzikiego ptactwa.

Od czasu od czasu dla obrony przed większymi zwierzętami i drapieżnikami musiałem używać karabinu, ale zwykle wystarczał rewolwer.

Bywały również przypadki, gdy w obliczu potężnego niedźwiedzia jaskiniowego, tygrysa szablastozębego czy ogromnego felis spelaea, czarnogrzywego i przerażającego, nawet bardzo skuteczny karabin wydawał się być żałośnie nieodpowiedni. Szczęście mi jednak sprzyjało i przebrnąłem bez szwanku przez przygody, których samo przypomnienie powoduje, iż włosy jeżą się na karku.

Nie wiem jak długo szedłem, gdyż wkrótce po tym, jak opuściłem żelaznego kreta zepsuł mi się zegarek i znowu zostałem na łasce kłopotliwej beczasowości Pellucidaru.

Jednak jadłem wiele razy, więc sądzę, że upłynęły dni, może nawet miesiące, lecz nie napotkałem nic znajomego.

Nie zauważyłem ludzi, ani też żadnych ich śladów. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż lądy Pellucidaru mają ogromną powierzchnię, a tutejsza rasa ludzka jest bardzo młoda i w związku z tym jeszcze nieliczna.

Niewątpliwie podczas tej długiej wędrówki byłem pierwszym człowiekiem, którego stopy dotykały wielu miejsc, a moje oczy jako pierwsze spoglądały na wiele zadziwiających, cudownych krajobrazów.

Ta myśl przyprawiała mnie o zawrót głowy. Nie mogłem idąc samotnie — przez ten dziwaczny świat, nie napawać się nim. A potem, zupełnie nagle, wyszedłem z bezludnych obszarów i znalazłem się na terenach odwiedzanych przez człowieka — i spokój zniknął.

Zdarzyło się to w następujący sposób:

Szedłem ścieżką, która miała mnie wyprowadzić z pasma wysokich wzgórz. Dotarłem do jej wylotu i zatrzymałem się, by przez chwilę podziwiać otwierającą się przede mną uroczą dolinkę. Jedna jej strona porośnięta była gęstym lasem, zaś na wprost spokojnie wiała się rzeka, tocząc swe wody równoległe do ścian skalnych, którym w tym miejscu kończyły się wzgórza.

Stałem, napawając się pięknem tej sceny, tak żądny widoku cudów natury, jakbym nie oglądał podobnych krajobrazów już niezliczoną ilość razy. Nagle usłyszałem dobiegające od strony lasu nawoływania i okrzyki. Te chropawe, nieharmonijne dźwięki dobywały się z ludzkich gardeł, nie mogłem mieć co do tego wątpliwości.

Skryłem się za leżącym nie opodal dużym głazem i czekałem. Słyszałem trzask deptanego i łamanego poszycia lasu i domyślałem się, że nadchodzący bardzo się spieszą — niewątpliwie pościg i ofiara.

Zapewne wkrótce z lasu wypadnie jakieś ścigane zwierze, a w chwilę później nadbiegnie gromada półnagich dzikusów z włóczniami, maczugami i wielkimi, kamiennymi nożami.

W czasie mego życia na Pellucidarze widziałem tak wiele tego typu scen, iż czułem, że do najdrobniejszego szczegółu mógłbym przewidzieć to, czego za chwilę będę świadkiem. Miałem nadzieję, że myśliwi okażą się przyjaźnie nastawieni i wskażą mi drogę do Sari.

W chwili, w której snułem te myśli, na skraju lasu ukazała się ofiara. Jednakże nie była to czteronoga bestia. Zamiast niej ujrzałem starego człowieka — przerażonego starego człowieka!

Uciekając przed losem, który, sądząc z pełnych trwogi spojrzeń, jakie nieustannie rzucał za siebie był nie pozazdroszczenia, niepewnym, chwiejącym się krokiem zbliżał się w moją stronę.

Zdołał oddalić się na niewielką zaledwie odległość od skraju lasu, gdy dostrzegłem pierwszego z jego prześladowców. Był to Sagoth, jeden z tych ponurych, okrutnych ludzi-goryli, którzy strzegą podziemnych, zamieszkałych przez Mahary miast i od czasu do czasu wyruszają na połów niewolników lub ekspedycje karne przeciwko ludziom — rasie, o której władczyni Pellucidaru myślą tak, jak my, w naszym świecie, myślimy o bizonach lub dzikich owcach.

W ślad za pierwszym Sagothem ukazali się następni i wkrótce cały ich tuzin gnał z wrzaskiem za przerażonym starcem. Było oczywiste, że za chwilę go dopadną.

Jeden z nich zatrzymał się, zmierzył wzrokiem dzielącą go od ofiary odległość i wzniósł do rzutu uzbrojone we włócznie ramie.

I wtedy, zupełnie nagle zdałem sobie sprawę, że sylwetka i sposób poruszania się uciekiniera nie są mi obce.

Niemal jednocześnie dotarła do mnie wstrząsająca prawda — ten stary to Perry! I oto miał umrzeć na moich oczach, a ja nie byłem dostatecznie blisko, by go uratować, by zapobiec tej strasznej

katastrofie!

Perry był moim przyjacielem.

Oczywiście Dian traktowałem jak coś więcej niż przyjaciela — ona była moją żoną, częścią mnie.

Trzymane w dłoniach karabin i rewolwery u pasa zupełnie wyleciały mi z pamięci — niełatwo jest połączyć w myślach epokę kamienia łupanego i dwudziesty wiek. Ze starego przyzwyczajenia myślałem w sposób właściwy dla epoki kamiennej, więc użycie broni palnej nie przychodziło mi do głowy.

Pierwszy z Sagothów już niemal doganiał Perry'ego, gdy znowu poczułem, że trzymam w dłoniach broń. To wyrwało mnie z letargu. Wstawiłem zza głazu lufę szybkostrzelnego karabinu — potężnego narzędzia zniszczenia, które jednym strzałem potrafiło powalić niedźwiedzia jaskiniowego lub mamuta — i wycelowałem w szeroką, owłosioną pierś Sagotha.

Huknął strzał i Sagoth zatrzymał się jak wryty. Włócznia wypadła mu z dłoni.

Potem upadł na twarz.

Na pozostałych wystrzał zrobił mniej piorunujące wrażenie. I nic dziwnego — tylko Perry byłby zdolny odgadnąć znaczenie tego głośnego dźwięku czy też wyjaśnić jego związek z nagłym upadkiem Sagotha. Ludzi-goryli zatrzymało to tylko na chwilę. Potem, wrzeszcząc z wściekłości, znów rzucili się naprzód, by wreszcie uciekiniera wykończyć.

Wtedy wyszedłem z mego ukrycia za głazem i chcąc oszczędzić cenniejszą amunicję od karabinu, wyciągnąłem jeden z rewolwerów. Szybko ponownie strzeliłem, tym razem z tej mniej groźnej broni.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Padł następny Sagom, powalony kulą z rewolweru, ale i to nie powstrzymało jego towarzyszy. Równie silnie jak krwi, łaknęli teraz zemsty — i zamierzali mieć zarówno Perry'ego jak i mnie.

Pobiegłem w stronę przyjaciela, strzelając po drodze jeszcze czterokrotnie i trafiając trzech przeciwników. Pozostali zatrzymali się, tracąc wreszcie pewność siebie. Ta rycząca, niewidzialna śmierć, która spadła im na karki z wielkiej odległości przerastała ich wyobrażenie.

Podczas gdy napastnicy zastanawiali się co robić dalej, stanąłem u boku mego przyjaciela. Nie widziałem nigdy żadnej ludzkiej twarzy wyrażającej tyle ile twarz Perry'ego w chwili, gdy mnie poznał. Nie znajduje słów, by opisać malujące się na niej uczucia.

Wtedy nie było czasu na rozmowy — ledwie go wystarczyło na powitanie. Wcisnąłem w jego dłoń drugi, nieużywany jeszcze rewolwer, z mego wystrzeliłem ostami nabój i naładowałem go na nowo. Pozostało już tylko sześciu Sagothów.

Znowu zaczęli posuwać się w naszym kierunku, jednak widziałem, że są przestraszeni — prawdopodobnie w równym stopniu czynionym przez broń hałasem jak efektami jej działania. Nigdy do nas nie doszli. W połowie drogi trzech, którzy jeszcze byli żywi, odwrócili się i uciekli, a my im w tym nie przeszkadzaliśmy.

Po raz ostatni widzieliśmy ich, gdy znikali w splątanym poszyciu lasu. A potem Perry odwrócił się ku mnie, zarzucił mi ręce na szyję i, chowając twarz w moim ramieniu, rozplakał się jak dziecko.

Rozdział II

Przerażająca podróż

Na brzegu płynącej w pobliżu spokojnej rzeki rozbiliśmy obóz i tam Perry opowiedział mi o wszystkim, co mu się przydarzyło od czasu, gdy wyjechałem do świata zewnętrznego.

Wyglądało na to, iż Hooji udało się wywołać wrażenie jakobym rozmyślnie zostawił Dian na Pellucidarze i jakobym w ogóle więcej nie zamierzał tu wrócić. Powiedział wszystkim, że pochodzę z innego świata i że poczułem się zmęczony Pellucidarem i jego mieszkańcami. Dian wyjaśnił, że tam gdzie wróciłem mam inną małżonkę, a jej — Dian, wcale nie zamierzałem ze sobą zabrać i że już nigdy mnie nie zobaczy.

Wkrótce potem Dian zniknęła z obozowiska i od tej chwili Perry jej nie widział ani też nic o niej nie słyszał.

Nie miał pojęcia ile czasu minęło od mojego wyjazdu, ale przypuszczał, że od tej chwili swą powolną drogę ku przeszłości odbyło już wiele lat.

Bardzo prędko po odejściu Dian zniknął również Hooja. Sarianie pod rządami Ghaka Włochatego poróżnili się z Amozytami, rządzonymi przez brata Dian, Dakora Mocnego, na temat mej rzekomej dezercji, gdyż Ghak nie chciał uwierzyć, że mógłbym ich tak tchórzliwie zdradzić i porzucić.

W rezultacie te dwa potężne plemiona napadły na siebie, używając przy tym nowych broni, których, wytwarzania i używania Perry i ja ich nauczyliśmy. Inne plemiona niedawno powstałej federacji podzieliły się popierając jedną stronę lub drugą albo też urządziły sobie własne, pomniejsze rewolucje.

Wynikiem tego wszystkiego było totalne zniszczenie owoców pracy, którą tak pomyślnie rozpoczęliśmy.

Wykorzystując wojny plemienne Mahary zebrały swych Sagothów w armie i zaczęły napadać jedno plemię po drugim, czyniąc ogromne spustoszenia i większość z nich wpędzając z powrotem w stan tak godny pożałowania jak ten, z którego my ich wydźwignęliśmy.

Z całej, potężnej niegdyś federacji jedynie Sarżanie i Amozyci wraz z kilkoma innymi plemionami stawiali jeszcze Maharom opór. Jednak plemiona te wciąż były ze sobą pokłócone i Perry'emu, podczas ostatniej u nich wizyty, wydawało się mało prawdopodobne, aby miały być podjęte jakiegokolwiek wysiłki w celu ponownego zjednoczenia.

— I tak, wasza wysokość — zakończył — nasz cudowny sen rozpląnął się w bezmyślności epoki kamienia łupanego, a wraz z nim zniknęło Pierwsze Imperium Pellucidaru.

Uśmiechnęliśmy się obaj, gdy użył mego królewskiego tytułu, a przecież rzeczywiście wciąż byłem „Imperatorem Pellucidaru” i miałem nadzieję, że któregoś dnia odbuduje to, co zostało zniszczone przez zdradzieckie działanie podstępnego Hooji.

Ale najpierw odnajdę swoją towarzyszkę. Dla mnie była ona warta tyle, co czterdzieści imperiów.

— Nie miałeś żadnych wiadomości na temat miejsca pobytu Dian? — spytałem.

— Żadnych — odpowiedział Perry. — Właśnie jej poszukiwałem, gdy wdepnąłem w tę milutką

sytuacje, w której mnie znalazłeś i z której mnie wyratowałeś. Doskonale wiedziałem, że nie opuściłbyś na zawsze ani Dian, ani Pellucidaru. Podejrzewałem, że za tym wszystkim kryje się Hooja Przebiegły. Postanowiłem więc iść do Amoz, gdyż miałem nadzieję, że Dian udała się tam, by szukać ochrony u swego brata. Chciałem zrobić wszystko, by ją przekonać, a przez nią Dakora Mocnego, że wszyscy padliśmy ofiarami zdradzieckiej intrygi, z którą ty nie miałeś nic wspólnego.

Przybyłem do Amoz po meczącej i pełnej niebezpieczeństw podróży, tylko po to, by stwierdzić, że Dian tam nie ma i że nikomu nic nie wiadomo na temat miejsca jej pobytu.

Jestem pewien, że Dakor pragnął być bezstronny i sprawiedliwy, jednak jego żal po zniknięciu siostry był tak wielki, że nie chciał słuchać żadnych argumentów. Powtarzał tylko w kółko, że jedynie powracając na Pellucidar możesz dowieść prawości twych zamiarów.

Potem zjawiał się jakiś obcy z innego plemienia. Jestem pewien, że został przysłany za podszeptem Hooji. Potrafił tak nastawić Amozytów przeciwko mnie, że musiałem uciekać z ich kraju, by uniknąć śmierci.

Próbując wrócić do Sari, zgubiłem drogę, a potem zostałem odkryty przez Sagothów. Przez długi czas udawało mi się ich zwodzić. Kryłem się w jaskiniach, brodziłem wzdłuż rzek, starając się tak ich zmylić, by zgubili mój trop. Żywiłem się orzechami, owocami i jadalnymi korzeniami, które los umieszczał na mej drodze.

Szedłem wciąż dalej i dalej, nie potrafiłbym nawet odgadnąć w jakim kierunku. Aż w końcu nie mogłem już dłużej zwodzić Sagothów i mój koniec zaczął się zbliżać szybkimi krokami, tak jak to już dawno przewidziałem. Nie przewidziałem tylko, że ty będziesz na miejscu, by mnie uratować.

Odpoczywaliśmy w naszym obozie dostatecznie długo, by Perry mógł odzyskać siły do dalszej podróży. Snuliśmy wiele planów, odbudowując nasze strzaskane zamki na lodzie, ale przede wszystkim planowaliśmy odnalezienie Dian.

Nie potrafiłem uwierzyć, że może już być martwa. Jednak nie potrafiłem również odgadnąć w jakim miejscu tego dzikiego świata się znajduje, ani w jak strasznych warunkach przyszło jej żyć.

Gdy Perry dostatecznie odpoczął, wróciliśmy do żelaznego kreta, gdzie mój przyjaciel wreszcie włożył na siebie ubiór godny cywilizowanego człowieka — białą bieliznę, skarpety, trzewiki, koszulę i spodnie khaki oraz dobre, mocne sztylpy.

W chwili naszego spotkania ubrany był w prymitywne sandały, śmieszny pas i tunikę, uszytą z włochatej skóry thaga. Teraz znowu miał na sobie prawdziwe ubranie — po raz pierwszy od tego odległego dnia, świadka naszego przybycia na Pellucidar, kiedy to ludzie-małpy zdarły z nas wszystko.

Z przewieszonym przez ramię, pełnym naboju pasem, dwoma sześciopalcowymi na biodrach i z karabinem w ręku wyglądał jak odmłodzony.

Rzeczywiście Perry był zupełnie inną osobą niż ten trzęsący się starzec, który dziesięć czy jedenaście lat temu wszedł wraz ze mną na pokład mechanicznego kreta, by odbyć nim próbną podróż — podróż, która przeniosła nas w ten dziwny, nieznaną świat i rzuciła w gąszcz tak niesamowitych przygód.

Teraz trzymał się prosto i tryskał energią. Jego mięśnie, które w poprzednim życiu nie były używane i niemal uległy zanikowi, wypełniły się i wzmocniły.

Oczywiście ciągle był starym człowiekiem, ale zamiast wyglądać dziesięć lat starzej, niż wtedy, gdy opuszczaliśmy zewnętrzny świat, wyglądał o dziesięć lat młodziej. Dzikie, swobodne życie na Pellucidarze zdziało cuda.

No cóż, musiało go zmienić lub zabić — człowiek o takiej kondycji fizycznej jak Perry wówczas nie mógłby długo przetrwać wśród niebezpieczeństw i niewygód prymitywnego życia w

wewnętrzny świat.

Perry był bardzo zainteresowany moją mapą i „Królewskim Obserwatorium” w Greenwich. Z pomocą krokomierzy z łatwością i dokładnie odtworzyliśmy drogę powrotną do mechanicznego kreta.

Wkrótce byliśmy gotowi do ponownego wymarszu. Zdecydowaliśmy, że wybierzemy inną, nieznaną jeszcze trasę, mając nadzieję, że zaprowadzi nas ona ku jakimś bardziej znajomym obszarom.

Nie będę was nudził rozwodzeniem się na temat niezliczonych przygód, jakie spotkały nas podczas długich poszukiwań. Spotkania z ogromnymi, dzikimi bestiami były zdarzeniami niemal codziennymi. Jednak teraz, mając nasze śmiercionośne karabiny ryzykowaliśmy stosunkowo niewiele, choćby w porównaniu z poprzednią wędrówką, kiedy to przeszliśmy ten pełen straszliwych niebezpieczeństw świat, uzbrojeni tylko w prymitywną, zupełnie nieodpowiednią broń i niemal zupełnie nadzy.

Jedliśmy i spaliśmy wiele razy — tak wiele, że straciliśmy rachubę ile. Nie mogę więc określić jak długo się błąkaliśmy, chociaż nasze mapy odzwierciedlają odległości i kierunki zupełnie dokładnie. Gdy wydawało nam się, iż zbadaliśmy już terytorium o powierzchni wielu tysięcy mil kwadratowych, nigdzie po drodze nie napotkawszy znajomych krajobrazów, ze szczytu łańcucha górskiego, przez który właśnie przechodziliśmy, dostrzegłem w oddali masy skłębionych chmur.

Niebo Pellucidaru właściwie nie zna chmur. Unoszą się one tylko w jednym miejscu, toteż gdy je ujrzałem, serce zabiło mi mocniej. Chwyciłem Perry’ego za ramię i, wskazując w pozbawioną horyzontu dal, krzyknąłem:

— Chmurne Wierchy!

— Leżą niedaleko Phutry i kraju Mahar, naszych największych wrogów — upomniał mnie.

— Wiem — odpowiedziałem, — ale stanowią dla nas punkt wyjścia, od którego możemy zacząć bardziej planowe poszukiwania. Przynajmniej są jakimś znajomym elementem w tym krajobrazie. Wskazują nam, że jesteśmy na właściwej drodze, że nawet jeśli zboczyliśmy w złą stronę, to niedaleko. Co więcej, w pobliżu Chmurnych Wierchów mieszka dobry przyjaciel, Ja Mezop. Nie znasz go, ale wiesz, co dla mnie uczynił. By mi pomóc zrobi to chętnie raz jeszcze, a przynajmniej wskaże nam kierunek, w którym leży Sari.

— Chmurne Wierchy tworzą potężny łańcuch — powiedział Perry. — Muszą zajmować ogromne terytorium. W jaki sposób chcesz znaleźć swego przyjaciela na obszarze tak wielkim, jak ten, który jest widoczny z ich stoków?

— Z łatwością — odpowiedziałem — gdyż Ja dał mi szczegółowe wskazówki. Niemal dokładnie przypominam sobie, jego słowa:

„Musisz po prostu stanąć u stóp najwyższego szczytu Chmurnych Wierchów. Znajdziesz tam rzekę, która wpada do Lural Az.

Dokładnie na wprost ujścia tej rzeki zobaczysz w oddali trzy duże wyspy — tak daleko że będą ledwo dostrzegalne. Ta, która jest wysunięta najbardziej na lewo to Anorok. Rządzą na niej plemieniem Anorok.”

Tak więc ruszyliśmy w stronę wielkich mas chmur, które miały nam służyć za drogowskaz. Po pewnym czasie dotarliśmy do podnóża wyniosłych turni, w swym majestacie przypominających alpejskie.

Jeden szczyt, stojąc dumnie pośród swych potężnych towarzyszy, wznosił swą głowę tysiące stóp nad inne. To jego właśnie szukaliśmy. Jednak żadna rzeka nie wiła się u jego stóp, a w pobliżu nie było jakiegokolwiek morza.

— Musi płynąć po przeciwnej stronie — zasugerował Perry. Obrzucił pośepnym spojrzeniem niebosiężne wyniosłości, które przegradzały nam dalszą drogę, jakby oceniał szansę ich pokonania.

— Nie wytrzymamy arktycznych chłodów, panujących na wysokich przełęczach, a przejście niezliczonych mil wokół tego, zdającego się nie mieć końca łańcucha może nam zająć rok, albo nawet dłużej. Kraina, której szukamy, na pewno leży po jego przeciwnej stronie.

— Jeżeli nie możemy obejść tych gór, to musimy przejść przez nie — powiedziałem.

Perry wzruszył ramionami.

— Nie możemy tego zrobić. Dawidzie — powtórzył. — Jesteśmy ubrani odpowiednio do tropików. Zamarzniemy wśród tych śniegów i lodowców dużo wcześniej, nim znajdziemy odpowiednią przełęcz.

Ale ja miałem plan, który udało nam się zrealizować, choć zajęło to trochę czasu.

Przede wszystkim założyliśmy na pewnej wysokości, przy źródle smacznej wody, stały obóz. Potem wyruszyliśmy na poszukiwanie wielkiego niedźwiedzia jaskiniowego, zamieszkującego nieco wyższe partie gór.

To potężne i przerażające zwierze jest tylko niewiele większe od swego kuzyna z nizin, ale odznacza się ogromną zaciekłością i okrucieństwem, a także grubym futrem o długim, skudlonym włosie. Właśnie futro było nam potrzebne.

Natknęliśmy się na niego zupełnie nieoczekiwanie. Szedłem jako pierwszy, mozolnie wspinając się kamienistą ścieżką, przez niezliczone wieki wydeptaną łapami dzikich bestii. Za występem skalnym, wokół którego biegła ścieżka, stanąłem oko w oko z Tytanem.

Ja wspinałem się w górę w poszukiwaniu futra. On schodził na dół w poszukiwaniu śniadania. Obaj zdaliśmy sobie sprawę, że właśnie natknęliśmy się na to, czego szukamy.

Niedźwiedź z okropnym rykiem runął w moją stronę.

Po jednej stronie na tysiące stóp w górę wyrastała pionowa, skalna ściana.

Po drugiej — ściana opadała ku zamglonemu, otchłannemu kanionowi.

Przede mną był niedźwiedź.

Za mną był Perry.

Krzyknąłem do niego ostrzegawczo, potem podniosłem karabin i wystrzeliłem w szeroką pierś potwora. Nie było czasu celować — był zbyt blisko.

Ryk wściekłości i bólu, który wydarł się ze spienionego pyska świadczył dobitnie, że moja kula dosięgnęła celu. Nie zatrzymała go jednak.

Zdążyłem raz jeszcze wystrzelić, a potem niedźwiedź zwałił się na mnie. Runąłem, przygnieciony toną ogarniętych szaleństwem mięśni, kości i skóry.

Byłem pewien, że nadszedł mój koniec. Pamiętam, że poczułem współczucie dla biednego, starego Perry'ego, który zostanie zupełnie sam w tym niegościnnym, prymitywnym świecie.

I wtedy nagle zdałem sobie sprawę, że niedźwiedź zniknął, a mnie nic się nie stało. Z karabinem wciąż gotowym do strzału skoczyłem na równe nogi i poszukałem wzrokiem mego przeciwnika.

Pomyślałem, że znajdę go w dole ścieżki, prawdopodobnie rozprawiającego się z Perry'm, pobiegłem więc pospiesznie w tamtą stronę. Zastałem mego przyjaciela, siedzącego na skale, która wystawała z gładkiej ściany kilka stóp nad ścieżką. Mój ostrzegawczy krzyk dał mu dostatecznie dużo czasu, by mógł dotrzeć do tego bezpiecznego schronienia.

Przycupnął tam, z oczyma szeroko rozwartymi i otwartymi ustami — pomnik strachu i osłupienia.

— Gdzie on jest? — krzyknął, gdy mnie zobaczył. — Gdzie on jest?

— Nie przeszedł tedy? — spytałem.

— Nic tedy nie przechodziło. Ale słyszałem jego ryki — musiał być wielki jak słoń.

— Był — potwierdziłem. — Jak sądzisz, gdzie on mógł zniknąć?

W tym momencie przyszło mi do głowy jedyne możliwe wyjaśnienie. Wróciłem do miejsca, w którym niedźwiedź mnie powalił i spojrzałem w otwierającą się przede mną przepaść.

Daleko, daleko w dole, tuż przy dnie kanionu zobaczyłem brązową plamę. Był to niedźwiedź.

Mój drugi strzał musiał go zabić i martwe ciało, po obaleniu mnie na ścieżkę, przewinęło się przez jej skraj i spadło w przepaść. Zadrżałem na myśl o tym, jak blisko od upadku również i ja musiałem się znajdować.

Dotarcie do zabitego zwierza zajęło nam sporo czasu, potem włożyliśmy dużo żmudnej pracy w zdjęcie ogromnej skóry. Jednak ostatecznie rzecz została zakończona i powróciliśmy do obozu, ciągnąc ciężkie trofeum za sobą.

Tam poświęciliśmy jeszcze znaczną ilość czasu na oskrobanie i zakonserwowanie skóry. Gdy osiągnęliśmy zadowalający efekt, zrobiliśmy z niej, odwracając włosiem do środka, ciężkie buty, spodnie i kurtki. Ze ścinków uszyliśmy zakrywające uszy czapki.

Byliśmy teraz odpowiednio wyposażeni, by móc rozpocząć poszukiwanie drogi na drugą stronę Chmurnych Wierchów.

Naszym pierwszym krokiem było przeniesienie obozu w górę., na granice wiecznych śniegów, które jak czapa przykrywały cały łańcuch. Wybudowaliśmy tam przytulną, niewielką chatkę, i zaopatrzyliśmy ją w zapasy żywności i paliwa dla miniaturowego paleniska.

Używając jej jako bazy, wypuszczaliśmy się na poszukiwania przejścia przez góry.

Każdy ruch odnotowywaliśmy skrzętnie na naszych mapach, wykonywanych teraz w dwóch egzemplarzach. W ten sposób oszczędzaliśmy sobie meczącego i niepotrzebnego badania już raz spenetrowanych dróg.

Systematycznie posuwaliśmy się w górę w obu kierunkach od naszej chaty i gdy wreszcie odkryliśmy dogodny, jak się wydawało, przejście, przenieśliśmy nasze rzeczy do nowej, położonej wyżej.

Była to ciężka praca — wyczerpująca, niewdzięczna i okrutna. I nie zrobiliśmy ani kroku naprzód, aby po naszych śladach nie następował czarny, bezlitosny zniwiarz.

Na porośniętych lasami stokach żyły wielkie niedźwiedzie jaskiniowe oraz wygłodzone, chude wilki — ogromne bestie, dwukrotnie większe od naszych wilków kanadyjskich. W wyższych partiach byliśmy napadani przez gigantyczne białe niedźwiedzie — wiecznie nienażarte, diabelskie stworzenia, które, gdy tylko nas ujrzały, rzucały się ku nam zza poszarpanych szczytów lub, nie widząc nas, podchodziły ukradkiem, kierując się węchem.

Jedną z osobliwości życia na Pellucidarze jest to, że człowiek częściej bywa zwierzyną niż myśliwym. W tym prymitywnym świecie niezwykle wprost obficie występują drapieżne bestie o ogromnych żołądkach. Nigdy, od dnia narodzin do śmierci, żołądki te nie są dostatecznie wypełnione, więc ich potężni właściciele ciągle krążą po okolicy w poszukiwaniu pożywienia.

Dla nich, uzbrojonych w potężne narzędzia walki, człowiek w swym pierwotnym stanie — powolny, słaby i źle wyposażony w naturalne środki obrony — stanowi łatwy łup.

Niedźwiedzie traktowały więc nas nie jak przeciwników, ale jak łatwo dostępne pożywienie. Tylko nasze karabiny ratowały nas od natychmiastowej śmierci. Biedny Perry nigdy nie posiadał lwiego serca i jestem przekonany, że niebezpieczeństwa tego strasznego okresu musiały wywołać u niego głęboki uraz.

Gdy byliśmy poza obozem, podciągając nasz szlak wciąż wyżej i wyżej ku odległej przełęczy, która, jak przypuszczaliśmy, była dogodną drogą do przebycia gór, nigdy nie wiedzieliśmy, co czyha ukryte za garbem lodowym lub występem skalistego urwiska, kiedy jakaś wyposażona w kły i pazury

machina zniszczenia runie nam na plecy.

Ryk naszych karabinów bezustannie zakłócał starą jak świat ciszę głębokich, nietkniętych jeszcze przez ludzkie oko kanionów. A gdy kładliśmy się spać, względnie bezpieczni w naszej chacie, wielkie bestie ryczały i walczyły na zewnątrz, drapały i łomotały w nasze drzwi lub z rozpędu waliły swymi ogromnymi cielskami w ściany, aż cała chata trzęsła się i chwiała pod ich uderzeniami.

Tak, to było wesołe życie.

Perry nabrał zwyczaju sprawdzania naszego zapasu amunicji za każdym razem, gdy wracaliśmy do chaty. Stało się to dla niego czymś w rodzaju obsesji.

Liczył naboje, jeden po drugim, a potem usiłował przewidzieć, ile czasu jeszcze upłynie zanim zostanie zużyty ostatni z nich i będziemy musieli siedzieć zamknięci, aż pomrzemy z głodu lub też wyjść na zewnątrz bezbroni i napełnić żołądek jakiegoś głodnego niedźwiedzia.

Muszę przyznać, że ja również czułem się zaniepokojony, gdyż prace istotnie postępowały w żółtym tempie, a nasza amunicja nie mogła wystarczyć na wieczność. Przedyskutowaliśmy ten problem i postanowiliśmy spalić za sobą mosty — przekroczyć grań.

To oznaczało, że przez długi czas będziemy musieli maszerować, obywając się bez snu. Oznaczało to również, że musimy podjąć ryzyko, iż przyjdzie taka chwila, gdy snu już dłużej nie będzie można odkładać. A wtedy możemy ciągle się znajdować za wysoko, w mroźnych rejonach wiecznych lodów i śniegów — sen w takich warunkach oznaczałby dla nas, wystawionych na ataki dzikich bestii i bez schronienia przed przejmującym chłodem, pewną śmierć.

Jednak zdecydowaliśmy się podjąć ryzyko. Wyruszyliśmy z naszej chaty po raz ostatni, niosąc ze sobą tylko najbardziej potrzebne rzeczy.

Tego dnia niedźwiedzie zdawały się być niezwykle aktywne i agresywne, a gdy minęliśmy najwyższy punkt, do którego uprzednio dotarliśmy, ziąb stał się nieskończenie bardziej przejmujący.

Potem, z dwoma wielkimi niedźwiedziami następującymi nam na pięty, osiągnęliśmy wysokości, które często i przez długie okresy czasu są spowite chmurami. Weszliśmy w mgłę. Była tak gęsta, że widzieliśmy zaledwie na kilka najbliższych stóp przed naszymi nosami.

Nie ośmieliliśmy się zawrócić, gdyż oznaczałoby to wejście wprost w paszcze naszych prześladowców. Ich pomruki słyszeliśmy tuż za sobą. Spotkać się z nimi w zmieniającej wszystko mgłę, znaczyło skazać się na natychmiastową śmierć.

Perry był niemal całkowicie załamany beznadziejnością sytuacji. W końcu, ulegając swemu staremu nawykowi, opadł na kolana i zaczął się modlić.

Przez pewien czas mu nie przeszkadzałem, a potem, gdy już miałem powiedzieć, że lepiej zrobilibyśmy idąc dalej, jeden ze znajdujących się za nami niedźwiedzi wydał taki ryk, iż zdawało się, że ziemia zadrżała nam pod stopami.

Perry poderwał się na nogi jakby go użądliła osa. Nim zdążyłem się zorientować, pognął przed siebie, w oślepiającą mgłę, tak szybko, że za chwilę musiało to doprowadzić do katastrofy. W lodowcach jest zbyt dużo szczelin, by można było sobie pozwolić, nawet przy dobrej widoczności, na nierozważne biegi. Poza tym niemal co kilka kroków ziały bezdenne przepaście, które tak często zmuszały nas tło długiego wędrowania swym skrajem.

Zadrzałem na myśl o niebezpieczeństwie, na jakie biedny Perry był narażony. Krzyknąłem, by się zatrzymał, wkładając w to całą siłę swych płuc, jednak nie doczekałem się odpowiedzi. Ruszyłem więc w ślad za nim, znacznie szybciej, niż dyktowały to względy bezpieczeństwa.

Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę, go gdzieś z przodu, przede mną, lecz potem, mimo iż często zatrzymywałem się, by nasłuchiwać i wołać, wszystko umilkło. Nie słyszałem nawet porykiwania niedźwiedzi, które szły naszym tropem. Nic, tylko śmiertelna cisza — jak w grobie. I

mgła wokół mnie — gęsta, nieprzenikniona mgła.

Byłem sam. Perry odszedł — odszedł na zawsze, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

Gdzieś w pobliżu ziała zdradziecka szczelina, a na jej złodzonym dnie, daleko w dole, leżało wszystko, co było śmiertelne w moim starym przyjacielu, Abnerze Perrym. Jego ciało będzie spoczywało w tym mroźnym grobowcu przez niezliczone wieki, aż któregoś odległego dnia powolna, lodowa rzeka ruszy swym wazowym szlakiem w dół, ku cieplejszym regionom, by tam wypluć z siebie ten przerażający dowód ponurej, wtedy już nie do wyjaśnienia tragedii.

Rozdział III

W dół po zjeżdżalni — i potem

Przedzierałem się przez mgłę, kierując się tylko wskazaniem kompasu. Nie słyszałam już niedźwiedzi, na żadnego też się nie natknąłem. Doświadczenie podpowiadało mi, że te wielkie bestie tak boją się mgły, że gdy tylko znajdą się w jej zasięgu robią wszystko, by jak najszybciej uciec w niższe regiony i w czystą atmosferę. Miałem szczęście, że okazało się to prawdą.

Było mi smutno i czułem się bardzo samotny. Na mój nastrój wpływ miało nie tyle moje własne, dość kłopotliwe położenie, ile śmierć Perry'ego, do którego byłem szczerze przywiązany.

Zaczynałem wątpić, czy kiedykolwiek zdołam dotrzeć na przeciwległe stoki gór. Myślę, że bolesna strata, która mnie wtedy dotknęła, rzuciła na mą duszę taki cień, iż nie potrafiłem, mimo optymistycznej natury, dojrzeć promyka nadziei na przyszłość. Mąca zmysły nicość zimnych, wilgotnych, spowijających wszystko wokół chmur działała równie przygnębiająco. Nadzieja najlepiej rozkwita w pełnym słońcu — jestem pewien, że we mgle nie ma szans nawet zakiełkować. Jednak instynkt samozachowawczy jest silniejszy niż nadzieja. Nie potrzeba mu, na szczęście, żadnej pożywki. Zapuszcza korzenie na skraju grobu i kwitnie w objęciach śmierci. Wtedy rozwinął się bujnie na szczątkach martwej nadziei i by uzasadnić swe istnienie, wciąż popychał mnie naprzód i w górę, ku coraz trudniejszym próbom.

Im dalej się zapuszczałem, tym mgła bardziej gęstniała. Nie dostrzegałem niczego, co było bardziej odległe niż czubek mego nosa. Nawet śnieg i lód, po których stąpałem, były niewidoczne. Zdawałem się płynąć w morzu mgły.

Kontynuowanie wspinaczki na niebezpieczny lodowiec w takich warunkach było niemal szaleństwem. Nie przerwałbym jednak tej wędrówki nawet wtedy, gdy byłbym pewien, że dwa kroki przede mną czyha śmierć. Po pierwsze, było zbyt zimno, by się zatrzymać, a po drugie — jeżeli zacząłbym rozpamiętywać niebezpieczeństwa wiążące się z każdym krokiem naprzód, zwariowałbym ze strachu.

Przez pewien czas grunt był bardziej stromy i nierówny i byłem zmuszony wspinać się po znacznej pochyłości. Mój kompas wskazywał, że poruszam się we właściwym kierunku, więc bez wahań parłem naprzód. Potem ziemia pod moimi stopami znów stała się płaska. Z siły hulającego wokół mnie wiatru zgadłem, że muszę się znajdować na grani.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, zrobiłem krok w nicość. Odwróciłem się gwałtownie i usiłowałem się czegoś złapać, czegokolwiek, co by mi dało punkt oparcia. Trafiłem tylko na gładką, lodową powierzchnię. Nie znalazłem niczego, co by mogło zahamować ześlizg. A chwilę później moja prędkość była już tak duża, że nic nie było w stanie mnie zatrzymać.

Niespodziewanie straciłem oparcie pod stopami i równie niespodziewanie minąłem granicę mgły. Wystrzeliłem z niej w czyste, przejrzyste powietrze jak kula, opuszczająca lufę armaty. Moja prędkość była tak wielka, że wokół siebie mogłem dostrzec wyłącznie rozmazaną, niewyraźną płaszczyznę gładkiego, zmarzniętego śniegu, który przesuwał się z szybkością pospiesznego pociągu.

Musiałem zjechać już tysiące stóp zanim ostra stromizna zmieniła się w łagodny łuk, a potem w szeroki, pokryty śniegiem płaskowyż. Ślizgałem się wzdłuż niego z ciągle zmniejszającą się

prędkością, aż w końcu świat wokół mnie zaczął odzyskiwać dające się określić kształty.

Daleko przede mną, w odległości wielu mil, zobaczyłem wielką dolinę pokrytą wysokimi lasami, a jeszcze dalej — szeroką płaszczyznę wody. Dużo bliżej, na pierwszym planie zauważyłem niedużą, ciemną plamę, odcinającą się od błyszczącej bieli śniegu.

„Niedźwiedź” — pomyślałem i podziękowałem instynktowi, który podczas całej tej szalonej jazdy zmuszał mnie do kurczowego trzymania karabinu.

Przy prędkości z jaką się poruszałem, za kilka zaledwie chwil miałem znaleźć się w bezpośrednim sąsiedztwie plamy. I rzeczywiście — wkrótce zatrzymałem się w przyłomie miękkiego śniegu, nie dalej niż dwadzieścia kroków od źródła moich obaw.

Oczekiwało na mnie stojąc na swych zadnich łapach. Wstałem szybko, by stawić mu czoła, lecz karabin wysunął mi się z rąk i wybuchnąłem gromkim śmiechem.

To był Perry.

Wyraz jego twarzy i ulga, jaką poczułem, widząc go całego i zdrowego — to było niemal zbyt wiele dla moich mocno nadszarpniętych nerwów.

— Dawid! — krzyknął. — Dawid, mój chłopcze! Bóg zlitował się nad starym człowiekiem, wysłuchał moich modlitw.

Wyglądało na to, że w swej panicznej ucieczce Perry przekroczył grań w tym samym miejscu, w którym trochę później ja ją minąłem. Przypadek zrobił dla nas to, czego nie udało się osiągnąć długą, racjonalnie prowadzoną pracą.

Przeszliśmy przez góry. Znajdowaliśmy się po tej stronie Chmurnych Wierchów, do której przez tak długi czas staraliśmy się dotrzeć.

Rozejrzałem się wokół. Przed nami, w dole zobaczyłem zielone drzewa, stopniowo zamieniające się w tropikalną dżunglę. Dalej, za nią, rozciągało się wielkie morze.

— Lural Az — powiedziałem, wskazując w stronę błękitno-zielonej powierzchni.

Jakoś — tylko bogowie wiedzą jak — Perry’emu również udało się nie zgubić swego karabinu podczas tej wariackiej jazdy w dół oblodzonego stoku. To był powód do wielkiej radości. Żadnemu z nas nic poważnego się nie stało, więc strząsnąwszy tylko śnieg z ubrań, ruszyliśmy wielkimi krokami ku ciepłu lasu i dżungli.

W porównaniu ze straszliwymi przeszkodami, jakie napotykalismy po przeciwnej stronie gór, ten marsz był stosunkowo łatwy. Oczywiście spotykaliśmy niebezpieczne zwierzęta, ale wyszliśmy z tych spotkań bez uszczerbku.

Postanowiliśmy zjeść posiłek i odpocząć nad małym strumyczkiem, pod pięknymi, zdumiewającymi drzewami pierwotnej puszczy. Było ciepło i przyjemnie. Atmosfera przypominała mi wczesnoczerwcowe dni w lasach Maine.

Wzięliśmy się do pracy i przy pomocy krótkich siekierek nacięliśmy dostateczną ilość niewielkich drzew, by zbudować prosty, lecz mocny szałas, który miał nam posłużyć za schronienie przed bardziej niebezpiecznymi zwierzętami. Potem położyliśmy się spać.

Nie wiem jak długo spaliśmy. Perry twierdzi, iż ze względu na to, że na Pellucidarze nie istnieją sposoby mierzenia czasu, sam czas również nie może tu istnieć — mogliśmy więc przespać rok, albo tylko sekundę.

Ale jedno wiem na pewno — budując nasz szałas wbiliśmy w ziemię ścięte młode drzewka, pozbawiając je najpierw gałęzi i liści, a po przebudzeniu stwierdziliśmy, że wiele z nich wypuściło świeże pędy.

Moim zdaniem przespaliśmy co najmniej miesiąc, ale któż to może wiedzieć na pewno? Słońce stało w zenicie, gdy zamykaliśmy oczy, gdy je otworzyliśmy — ciągle tkwiło w tym samym miejscu,

nie zmieniając swej pozycji nawet o włos.

To właśnie jest na Pellucidarze najbardziej meczące — ta niemożność zmierzenia upływającego czasu.

W każdym razie po przebudzeniu wprost umierałem z głodu. Myślę, że to właśnie głód mnie obudził. Otworzyłem oczy i kilka chwil potem od strzałów z mego rewolweru padł dzik, a zaraz po nim pardwa. Perry w tym czasie zdążył rozpaść na brzegu strumyka huczące ognisko.

Spożyliśmy obfity i niezwykle smaczny posiłek. Jakkolwiek dzika nie zjedliśmy w całości, to jednak zrobiliśmy w nim bardzo okazałych rozmiarów dziurę. Pardwe pochłonęliśmy właściwie jednym kęsem.

Postanowiliśmy, że natychmiast po zaspokojeniu głodu wyruszymy na poszukiwanie Anorok i mego przyjaciela Ja Mezopa. Obaj mieliśmy nadzieję, że podążając w dół strumyka dojdziemy w końcu do rzeki, która według słów Ja uchodziła do Lural Az na wprost jego wyspy.

Nie spotkał nas zawód, gdyż po przyjemnej wędrówce — a jaka wędrówka nie byłaby miła po trudach, które musieliśmy znosić wśród szczytów Chmurnych Wierchów — rzeczywiście dotarliśmy do rzeki, szerokiej, majestatycznie toczącej swe wody w stronę morza, które widzieliśmy z ośnieżonych stoków gór.

Długo godziny szliśmy jej lewym brzegiem, patrząc jak wciąż potężnieje. W końcu dotarliśmy do ujścia, miejsca, w którym stapała się z ogromnym przestworem morza. Daleko, w głębi falującej płaszczyny, dojrzeliliśmy trzy wyspy. Położona najbardziej na lewo to Anorok — byliśmy tego pewni.

Wreszcie zbliżyliśmy się do rozwiązania naszego problemu — odnalezienia drogi do Sari.

Ale na razie najważniejszym pytaniem było — jak dotrzeć na wyspę. Musieliśmy zbudować łódź.

Perry jest najbardziej zaradnym z ludzi. Ma zasadę, która głosi, iż cokolwiek zostało zrobione przez jednego człowieka, może być zrobione przez innego, bez względu na to, czy wie on jak się do tego zabrać, czy nie.

Kiedyś, krótko po naszej ucieczce z Phutry, w początkach tworzenia federacji dzikich plemion Pellucidaru, Perry postanowił wyprodukować proch strzelniczy. Stwierdził, że kiedyś ktoś, nie wiedząc nawet, iż taka rzecz może istnieć, przypadkowo ten proch stworzył. Więc on, Perry, nie widzi przeszkód, dla których człowiek, który wie o prochu wszystko poza tym, jak się go robi, nie mógłby zdmusić tego samego.

Pracował bardzo ciężko, mieszając wszystko ze wszystkim, aż w końcu powstała z tego substancja, rzeczywiście przypominająca wyglądem proch. Perry był bardzo z niej dumny, obnosił ją po wiosce Sarian, prezentując każdemu, kto chciał go słuchać. Wyjaśniał do czego ona służy i jak ogromnym spustoszeń zdolna jest dokonać. Po pewnym czasie tubylcy byli tak przerażeni, że żaden nie chciał podejść do Perry'ego i jego wynalazku na odległość mniejszą niż dziesięć kroków.

Zaproponowałem w końcu, by przeprowadzić eksperyment. Perry rozpaść ognisko, umieszczając proch w bezpiecznej odległości. Potem przytknął żarzącą się główkę do odrobiny śmiertelnej substancji. Głównia natychmiast zgasła.

Powtarzane kilkakrotnie eksperymenty utwierdziły mnie w przekonaniu, że Perry, poszukując materiału wybuchowego, przypadkowo wytworzył substancję gaszącą, która w świecie zewnętrznym przyniosłaby mu fortunę.

Teraz zabrał się do pracy nad budową łodzi. Jej projekt miał być oparty o zasady ściśle naukowe. Sugerowałem, byśmy zrobili prostą dżubankę, ale Perry przekonał mnie, że powinniśmy zaopatrzyć się w coś bardziej odpowiadającego supermenom w świecie kamienia łupanego.

— Musimy tubylcom wykazać naszą wyższość — wyjaśniał. — Nie możesz zapominać,

Dawidzie, że jesteś Imperatorem Pellucidaru. I jako taki, chcąc zachować godność, nie możesz zbliżyć się do brzegów obcego mocarstwa w czymś tak prymitywnym jak dłubanka.

Zwróciłem mu uwagę, że o ile pływanie w zwykłym czółnie może być uwłaczające dla godności imperatora, o tyle dla godności jego pierwszego ministra równie uwłaczające jest budowanie łodzi własnymi rękoma.

Uśmiechnął się słysząc te słowa, ale natychmiast, dla osłabienia efektu tego uśmiechu, zapewnił mnie, że w zwyczaju premierów leżało osobiste doglądanie budowy okrętów, które miały wchodzić w skład królewskich sił morskich, „a to” — powiedział — „jest królewska flota Jaśnie Oświeconego Dawida I. Imperatora Połączonych Monarchii Pellucidaru”.

Wyszczrzyłem zęby, jednak Perry mówił całkiem serio. Zawsze w pewnym stopniu żartem wydawało mi się to, że ktoś może się do mnie zwracać jak do majestatu. A jednak w czasie krótkiego panowania moja królewska siła i dostojność były bardzo realne.

Do federacji przyłączyło się dwadzieścia plemion i ich wodzowie przysięgli wieczną wierność mnie i sobie wzajemnie. Wśród tych plemion było wiele potężnych, choć prymitywnych narodów. Ich wodzów ukoronowaliśmy, a ziemie plemienne nazwaliśmy królestwami.

Ich własną, prymitywną broń uzupełniliśmy łukami, strzałami i mieczami. Przeprowadzałem z nimi ćwiczenia w posługiwaniu się tymi nowymi rodzajami oręża. Uczyłem ich także sztuki prowadzenia działań wojennych — o tyle, o ile ją pamiętałem z obszernych lektur na temat kampanii Napoleona, von Moltkego, Granta i wodzów starożytnych.

Oznakowaliśmy naturalne granice, dzielące poszczególne królestwa i ostrzegliśmy plemiona spoza tych granic, że nie wolno ich przekraczać. Przeciwno tym, którzy się do tego zakazu nie stosowali, urządzaliśmy ekspedycje i surowo ich karaliśmy.

Starliśmy się z Maharami oraz Sagothami i odnieśliśmy zwycięstwo. W krótkim czasie zademonstrowaliśmy, że mamy prawo do imperium. Bardzo szybko zaczęto uznawać nas za granicę i dużo o nas mówić. I właśnie w tym momencie mój wyjazd do zewnętrznego świata i zdrada Hooji zniszczyły nasze dzieło.

Ale teraz wróciłem. Praca, której efekty zostały zniweczone, musi być wykonana na nowo i chociaż moje tytuły pobudzały mnie do śmiechu, to przecież czułem spoczywający na mych barkach ciężar obowiązku i odpowiedzialności.

Powoli budowa zbliżała się do końca. Była to imponująca łódź, ale jej wygląd rodził w mym umyśle pewne wątpliwości. Gdy zdradziłem się z nimi wobec Perry'ego, przypomniał mi grzecznie, że moi przodkowie od wielu pokoleń byli właścicielami kopalni, a nie budowniczymi statków i w związku z tym nie można ode mnie wymagać znajomości szkutnictwa.

Przez chwilę miałem ochotę wypytać go o jego dziedziczne zdolności. Powstrzymałem się jednak w obawie, że go urażę., gdyż jego ojciec był pastorem w wiosce, która leżała bardzo daleko od wybrzeża.

Traktował swą pracę śmiertelnie poważnie i muszę przyznać, że przy narzędziach, którymi dysponował, szła mu ona niezwykle sprawnie. Mieliśmy ze sobą tylko dwie krótkie siekiery i myśliwskie noże. A przecież ścinał i ociosywał nimi drzewa, dzielił na deski, wyrównywał je i przycinał do odpowiednich rozmiarów.

Łódź miała około czterdziestu stóp długości i dziesięciu szerokości. Jej burty były zupełnie pionowe i wysokie na całe dziesięć stóp — w celu — jak wyjaśniał Perry — dodania dostojności jej wyglądowi. Oczywiście także po to, by utrudnić wrogom wspięcie się na nią.

Wiedziałem, że w rzeczywistości chciał zapewnić załodze bezpieczeństwo w razie obrzucenia łodzi włóczniami — wysokie burty dawały znakomitą ochronę. Dzięki nim łódź od wewnątrz

najbardziej przypominała mi pływający okop. Można się było również doszukać pewnego podobieństwa do wielkiej trumny.

Jej dziób, poczynając od linii wodnej, był nachylony ostro do tyłu — zupełnie jak w prawdziwych okrętach wojennych. Perry zaprojektował ją, jak przypuszczam, bardziej dla wpłynięcia na morale wroga niż dla jakichkolwiek rzeczywistych szkód, które mogłaby uczynić. Dlatego najbardziej imponujące były części widoczne.

Poniżej linii wodnej praktycznie nie istniała. Mogło to wywołać skłonności do dryfowania, ponieważ jednak wróg nie może widzieć zanurzonej części statku, Perry postanowił nie zawracać sobie nią głowy i dał łodzi zupełnie płaskie dno. Ten właśnie fakt budził moje największe wątpliwości.

Była jeszcze pewna drobnostka, która umknęła naszej uwadze aż do chwili, gdy łódź była niemal gotowa do wodowania — w projekcie nie było nawet wzmianki o napędzie. Burty były stanowczo zbyt wysokie, by pozwolić na używanie wiosł, gdy zaś Perry zaproponował, abyśmy popychali ją drągami, zademonstrowałem mu na brzegu, że byłaby to wielce uchybiająca godności i bardzo niezgrabna metoda atakowania nieprzyjaciela, nawet gdyby udało nam się znaleźć drągi, sięgające dna morskiego.

W końcu zaproponowałem, aby łódź przystosować do pływania pod żaglem. Perry, gdy raz ta myśl do niego dotarła, stał się jej zagorzałym entuzjastą. Nic nie mogło go zadowolić poza czterema masztami i odpowiednią do nich ilością żagli.

Znów usiłowałem mu to wyperswadować, ale niemal oszalał z podniecenia na myśl o psychologicznym efekcie, jaki będzie miało pojawienie się tak dziwnego i potężnego okrętu. W końcu wyposażyliśmy łódź w cztery maszty, żagle z cienko wyprawionej skóry i liny z wysuszonych jelit.

Żaden z nas nie znał się na żeglowaniu czteromasztowym statkiem. Nie martwiło mnie to jednak, gdyż przypuszczałem, że nigdy nie dojdzie do sprawdzenia naszych umiejętności. Im bardziej zbliżał się dzień wodowania, tym bardziej byłem tego pewien.

Łódź została zbudowana na brzegu rzeki, w pobliżu ujścia, tuż powyżej linii przyływu. Zwrócona była rufą ku wodzie, a jej kil spoczywał na kilku okrągłych pniach, których końce opierały się z kolei na dwóch długich, równoległych belkach.

Kilka godzin przed spuszczeniem na wodę łódź robiła naprawdę, imponujące wrażenie, gdyż Perry nalegał, aby wciągnąć na maszty każdy strzęp naszego „ożaglowania”. Powiedziałem mu, że nie bardzo się na tym znam, ale byłem pewien, iż woduje się sam kadłub, a wszystko inne kompletuje dopiero po upewnieniu się, że łódź zdolna jest do bezpiecznego unoszenia się na wodzie.

W ostatniej chwili nastąpiła pewna zwłoka, gdyż szukaliśmy dla naszego statku odpowiedniego imienia. Chciałem go nazwać „Perry”, zarówno na cześć jego konstruktora, jak i dla uczczenia geniusza morskiego z zewnętrznego świata — kapitana Oliviera H. Perry’ego z Marynarki Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jednak Perry był zbyt skromny i nie chciał o tym słyszeć.

W końcu zdecydowaliśmy, że opracujemy system, który będzie obowiązywał przy nadawaniu nazw nowym statkom naszej floty. Okręty bojowe pierwszej klasy winny nosić imiona tworzących federacje królestw, pancerniki — imiona królów, krążowniki — nazwy miast, i tak dalej w dół. Tak więc pierwszy statek postanowiliśmy nazwać „Sari”, od nazwy pierwszego ze sfederowanych królestw.

Wodowanie „Sari” okazało się łatwiejsze niż przypuszczałem. Perry chciał, abym wszedł na pokład i gdy łódź będzie wypływała na rzekę, rozbił coś o jej dziób. Odpowiedziałem, że będę się czuł bezpieczniej na suchym lądzie, dopóki nie zobaczę, którą stroną do góry „Sari” pływa.

Z wyrazu twarzy staruszka odgadłem, że moje słowa go uraziły, ale ponieważ sam nie

zaofiarował się wejść na łódź, więc moja skrucha nieco zmalała.

Gdy przecięliśmy liny i usunęliśmy blokujące klocki, „Sari” gwałtownie potoczyła się w stronę wody.

Zanim uderzyła o jej powierzchnie poruszała się już z szaleńczą prędkością, gdyż służące za szyny belki położyliśmy na sporej stromiźnie, natłusciliśmy je i co kilka stóp umieściliśmy na nich okrągłe klocki, gotowe przyjąć na siebie posuwający ze zbytnim dostojeństwem statek. Ale teraz w „Sari” nie było żadnego majestatu.

W momencie, w którym dotknęła powierzchni wody musiała się poruszać z prędkością wynoszącą dwadzieścia lub trzydzieści mil na godzinę. Siła rozpędu wyniosła ją spory kawałek w głąb rzeki. Zatrzymała się., gdy skończyła się lina, którą przewidująco przywiązaliśmy jednym końcem do dziobu, a drugim do dużego drzewa na brzegu.

W chwili, w której ustał jej ruch „Sari” po prostu przewróciła się do góry dnem. Perry był zdruzgotany. Nie robiłem mu wyrzutów, nie przypominałem też swych obaw stwierdzeniami w rodzaju „a nie mówiłem?”

Jego smutek był tak szczery i oczywisty, że nie miałbym serca robić mu wymówek, nawet gdybym był skłonny do tego typu małostkowości.

— No, daj spokój, staruszk — powiedziałem. — Nie jest tak źle, jak na to wygląda. Pomóż mi i przyciągniemy ją tak blisko, jak zdołamy, a gdy przyplływ się cofnie spróbujemy coś z nią zrobić. Myślę, że jeszcze na niej popłyniemy.

Udało nam się wyciągnąć ją na płytką wodę. Gdy nastąpił odpływ, leżała tam, w błocie, przewrócona na bok — dość żałosny widok jak na pierwszy okręt wojenny świata, „postrach mórz”, jak Perry od czasu do czasu ją nazywał.

Musieliśmy pracować bardzo szybko. Zanim nadszedł następny przyplływ usunęliśmy z „Sari” żagle i maszty, wyprostowaliśmy ją i wypełniliśmy kamiennym balastem do około jednej czwartej objętości. Byłem pewien, że tym razem, jeżeli tylko nie zapadnie się zbyt szybko w błoto, będzie pływała właściwą stroną do góry.

Zapewniam was, że byliśmy bardzo zdenerwowani siedząc tam, na brzegu, i obserwując powoli podnoszący się poziom wody. Przyplwy na Pellucidarze nie są tak duże, jak u nas w zewnętrznym świecie, ale wiedziałem, że poziom wody powinien podnieść się wystarczająco, by „Sari” popłynęła.

Nie myliłem się. Wreszcie mieliśmy satysfakcje obserwowania jak „łódź” wydostaje się z błota i dryfuje powoli w górę rzeki wraz z falą przyplwy. Gdy woda podniosła się w dostatecznym stopniu, przyciągnęliśmy ją do brzegu i weszliśmy na pokład.

Trzymała się teraz pewnie, kilem w dół, a ponieważ była starannie uszczelniona włóknami i wysmołowana, nie przeciekała. Zamontowaliśmy pojedynczy, krótki maszt i lekki żagiel, a ponad balastem przytwierdziliśmy deski, by utworzyć pokład. Potem wyprowadziliśmy ją na środek rzeki i rzuciliśmy prymitywną, kamienną kotwicę, by oczekiwać na odpływ, który wyniesie nas na pełne morze.

W tym czasie poświęciliśmy trochę wysiłku na konstrukcje górnego pokładu, gdyż ten, który znajdował się bezpośrednio nad balastem położony był dobre siedem stóp poniżej górnego skraju burt. Drugi pokład umieściliśmy cztery stopy nad pierwszym, łącząc je dużym, wygodnym lukiem. Burty statku — wznosiły się trzy stopy ponad górny pokład, tworząc znakomite przedpiersie. Powycinaliśmy w nim otwory, dzięki którym mogliśmy strzelać do wroga leżąc.

Jakkolwiek płynęliśmy w misji pokojowej, wyłącznie z zamiarem odnalezienia mojego przyjaciela Ja, wiedzieliśmy, że możemy się natknąć na ludzi z innej wyspy, nastawionych do nas

nieprzyjaźnie.

W końcu przyszedł odpływ i podnieśliśmy kotwice. Powoli popłynęliśmy w dół rzeki, ku ogromnemu morzu.

Wokół nas roiło się od potężnych mieszkańców pierwotnych głębin — plezjozaurów, ichtiozaurów oraz wszystkich ich straszliwych, oślizłych kuzynów, których nazwy Perry znał jak imiona swoich ciotek i wujów, a ja nie mogłem sobie przypomnieć w godzinę po ich usłyszeniu.

Wreszcie rozpoczęliśmy długo oczekiwaną podróż, której rezultaty tak wiele dla mnie znaczyły.

Rozdział IV

Przyjaźń i zdrada

„Sari” okazała się być najbardziej kapryśnym ze statków. Być może sprawowałyby się dobrze na zamkniętej lagunie, pod warunkiem, że byłaby bezpiecznie zakotwiczona, jednak na otwartych, morskich wodach pozostawiała wiele do życzenia.

Żeglowanie z wiatrem wychodziło jej nie najgorzej, ale przy wietrze bocznym lub kursie ostro na wiatr zносиło ją straszliwie, co zresztą każdy, kto był jako tako obeznany z morzem mógł przewidzieć. O całe mile zbaczała z właściwego kursu i w związku z tym posuwaliśmy się żałośnie powoli.

Zamiast płynąć wprost na wyspę Anorok, odbiliśmy daleko w prawo. W końcu stało się oczywiste, że będziemy musieli przepłynąć między środkową, a skrajną prawą wyspą i później próbować przybić do Anorok od przeciwnej strony.

W miarę zbliżania się do wysp, Perry był coraz bardziej zachwycony ich pięknem. Gdy znajdowaliśmy się dokładnie między nimi, wpadł niemal w upojenie. I nie mogłem go za to winić.

Tropikalne bogactwo roślinności, prawie sięgającej brzegu morza i żywe kolory kwiatów, łamiące ścianę zieleni, składały się na rzeczywiście wspaniałe widowisko.

Perry znajdował się właśnie w połowie kwiecistego panegiryku na temat spokojnego piękna, które rozciągało się przed naszymi oczyma, gdy od najbliższej wyspy odbiło czołno. Siedziało w nim dwunastu wojowników. W ślad za pierwszym pojawiło się drugie i trzecie.

Nie znaleźliśmy oczywiście zamiarów płynących ku nam nieznajomych, jednak z łatwością mogliśmy je odgadnąć.

Perry chciał, abyśmy dołożyli starań, by przed nimi uciec, ale szybko go przekonałem, że największa prędkość, do jakiej „Sari” jest zdolna; będzie niewystarczająca, by zostawić w tyle szybkie, mimo iż prymitywne, dłubanki Mezopów.

Poczekalem, aż zbliżyli się na tyle, by mnie słyszeć i wezwałem ich do zatrzymania się. Powiedziałem, że jesteśmy przyjaciółmi Mezopów i że właśnie udajemy się z wizytą do Ja z wyspy Anorok. Odpowiedzieli na to, iż prowadzą wojnę z Ja i że za chwilę zdobędą naszą łódź, a nasze zwłoki rzucą na pożarcie żyjącym w głębinach potworom.

Ostrzegłem ich, że jeżeli nie zostawią nas w spokoju, nie wyjdzie im to na dobre, ale tylko mnie wyśmiali i energicznie powiosłowali w naszym kierunku. Rozmiary i wygląd naszego statku najwyraźniej zrobiły na nich znaczne wrażenie, ale ponieważ ludzie ci nie znali strachu, więc wcale nie byli przerażeni.

Widząc, że są zdecydowani rozpocząć bitwę, wychyliłem się znad burty i po raz pierwszy w historii świata posłałem do akcji przyboczną gwardię Imperatora Pellucidaru. Mówiąc prościej — wypaliłem do najbliższego czołna z rewolweru.

Efekt był wprost magiczny. Jeden z wojowników wstał z klęczek, odrzucił wiosło daleko od siebie, na chwilę zamarł w bezruchu, a potem przewalił się przez burty.

Pozostali przerwali wiosłowanie i szeroko otwartymi oczyma spojrzeli najpierw na mnie, potem na mieszkańców morza, walczących o zwłoki ich towarzysza. Musiało im się wydawać cudem, że

stojąc w odległości trzykrotnie przekraczającej możliwości najlepszego miotacza włóczni, zdołałem, z głośnym hukiem i smugą dymu, powalić niewidzialnym pociskiem jednego z nich.

Jednak wywołany zdumieniem paraliż trwał tylko przez chwilę. Potem, wznosząc dzikie okrzyki, znów rzucili się do wiosł i gwałtownie ruszyli ku nam.

Strzelałem raz za razem. Po każdym strzale jakiś wojownik zwał się na dno czółna lub wypadał do morza.

Gdy dziób pierwszej wrogiej łodzi dotknął burty „Sari” byli w niej tylko umarli lub umierający. Pozostałe dwie zbliżyły się błyskawicznie, więc z kolei na nie przeniosłem swą uwagę.

Myślę, że wreszcie w tych dzikich, półnagich, czerwonych wojownikach zaczęły się rodzić jakieś wątpliwości, gdyż chwilę po tym, jak padł pierwszy z następnej łodzi, pozostali przestali wiosłować i wdali się w ożywioną dyskusję.

Trzecia łódź zatrzymała się burta w burtę z drugą i jej załoga przyłączyła się do narady. Wykorzystując chwilę ciszy w bitwie, krzyknąłem do ocalałych, aby wrócili na swój brzeg.

— Nie żywię do was wrogości — powiedziałem, a potem wyjaśniłem kim jestem i dodałem, że jeżeli będą żyli w pokoju to prędzej czy później połączą swoje siły z moimi.

— Wracajcie teraz do swych ziomków — poradziłem im — i powiedzcie, że widzieliście Dawida I, Imperatora Połączonych Monarchii Pellucidaru i że pokonał on was w pojedynkę, tak samo jak ma zamiar pokonać Mahary i Sagothów oraz wszystkich, którzy będą zagrażali spokojowi i pomyślności jego imperium.

Powoli zwrócili nosy swych czółen w stronę lądu. Widać było, że zrobiłem na nich wrażenie. Jednak równie oczywiste było to, że z wielką niechęcią odnoszą się do uznania mojej przewagi bez dalszej walki. Niektórzy zdawali się nawoływać do podjęcia bitwy na nowo.

Jednak w końcu oddalili się i „Sari”, która podczas potyczki posuwała się w żółtym tempie do przodu, mogła swobodnie kontynuować swą powolną podróż.

Rozejrzałem się szukając Perry’ego. Zobaczyłem tylko jego głowę, trwożliwie wysuwającą się z łuku.

— Czy ci łajdacy już odpłynęli? — spytał. — Czy zabiłeś wszystkich?

— Ci, których nie zdołałem zabić, odpłynęli — odpowiedziałem.

Wyszedł na pokład i wychyliwszy się za burtę, przyjrzał się uważnie dryfującemu tuż za rufą samotnemu canoe, niosącemu ponury ładunek. Potem jego wzrok powędrował ku dwóm pozostałym, oddalającym się szybko łodziom.

— Dawidzie — powiedział w końcu — to jest wielkie wydarzenie. Ten dzień zostanie odnotowany w kronikach Pellucidaru na poczesnym miejscu. Odnieśliśmy dziś wspaniałe zwycięstwo.

Z trudnością udało mi się powstrzymać uśmiech, gdy usłyszałem, że Perry używa liczby mnogiej. Byłem jednak zadowolony, mogąc dzielić z nim chwałę zwycięstwa, tak jak zawsze chętnie wszystko z nim dzieliłem.

Perry jest jedynym znanym mi tchórzliwym mężczyzną, którego potrafię kochać i szanować. Nie został stworzony do walki, Sądzę jednak, że gdyby kiedykolwiek zaistniała sytuacja, która by tego wymagała, z ochotą oddałby za mnie życie. Jestem tego pewien.

Omijanie wysp i podpływanie do Anorok trwało bardzo długo. Nie mając nic lepszego do roboty, na zmianę pracowaliśmy nad naszymi mapami. Za pomocą kompasu oraz domysłów udało nam się z dość dużą dokładnością odtworzyć brzeg, od którego odbiliśmy oraz wyspy.

Miejsce, będące świadkiem pierwszej w historii tego świata bitwy morskiej, zaznaczyliśmy skrzyżowanymi szablami. Według utartego już zwyczaju opisaliśmy w notatniku wszystkie szczegóły

dotyczące tego wydarzenia — kiedyś będą miały wartość historyczną.

Zbliżyliśmy się do Anorok i zarzuciliśmy kotwice niedaleko od brzegu. Dzięki mojej poprzedniej wizycie widziałem, że nigdy nie udałoby mi się odnaleźć drogi do ukrytej wioski Ja Mezopa wśród splątanych zamaskowanych ścieżek wyspy. Pozostaliśmy więc na pokładzie „Sari”, strzelając od czasu, do czasu z karabinów, by zwrócić na siebie uwagę tubylców.

Po około dziesięciu strzałach, oddanych w dużych odstępach czasu, zauważyliśmy, że na brzegu pojawiła się grupa miedzianoskórych wojowników, ciekawie nam się przyglądających. Pozdrowiłem ich i spytałem gdzie mogą znaleźć mego starego przyjaciela Ja.

Nie odpowiedzieli i tylko nachylając ku sobie głowy pograżyli się w poważnej choć żywej dyskusji. Po czym znowu zaczęli się nam przyglądać. Najwyraźniej nasz wygląd oraz źródło głośnych hałasów, które zwróciły ich uwagę, bardzo ich zaintrygowały. Wreszcie jeden z wojowników wystąpił naprzód i spytał:

— Kim jesteście wy, którzy poszukujecie Ja? Czego chcecie od naszego wodza?

— Jesteśmy przyjaciółmi — odpowiedziałem. — Nazywam się Dawid. Powiedzcie Ja, że Dawid, któremu uratował kiedyś życie, znów przybył, by go odwiedzić. Wyjdziemy na brzeg, jeżeli wyślecie canoe, gdyż nasz wielki okręt nie może podpłynąć bliżej.

Znowu pograżyli się w rozmowie. Potem dwaj z nich weszli do wyciągniętego z kryjówki w dżungli canoe i szybko powiosłowali w naszą stronę.

Byli to niezwykle dorodni mężczyźni. Perry nigdy wcześniej nie widział z bliska przedstawicieli tej czerwonej rasy. Pierwszymi, których zobaczył, byli zabici wojownicy w dłubance unoszącej się po bitwie za naszą rufą.

Fizyczne piękno zbliżających się do nas Mezopów oraz zapowiedź nadzwyczajnej inteligencji, którą sugerowały ich wspaniale ukształtowane czaszki zrobiły na nim wielkie wrażenie.

Wioślarze powitali nas bardzo uprzejmie. Zadałem im kilka pytań dotyczących Ja. Odpowiedzieli, że gdy usłyszano nasze sygnały, ich wódca nie było w wiosce, ale natychmiast wysłano po niego gońców i teraz prawdopodobnie jest już w drodze ku wybrzeżu.

Jeden z nich pamiętał mnie z poprzedniej wizyty w wiosce. Ucieszył się niezmiernie, gdy canoe zbliżyło się na tyle, by mógł mnie rozpoznać. Powiedział, że Ja będzie bardzo rad, mogąc znowu spotkać się ze mną i że całe plemię Anorok zna mnie z opowiadań. Otrzymali od swego wodza polecenie, aby zawsze, ilekroć ktoś z nich mnie spotka, okazywano mi sympatie i posłuszeństwo.

Na brzegu powitano nas równie serdecznie. Po pewnym czasie, gdy byliśmy już pogrążeni w rozmowie z naszymi miedzianoskórymi przyjaciółmi, z dżungli wybiegł wysoki wojownik.

To był Ja. Gdy mnie dostrzegł, jego twarz rozjaśniła się. Podszedł szybkim krokiem i powitał mnie zgodnie z obyczajem swego plemienia.

Perry'ego przyjął równie przyjacielsko. Staruszek natychmiast polubił giganta równie mocno jak ja.

Gospodarz poprowadził nas przypominającymi labirynt ścieżkami do swej dziwnej, zbudowanej na drzewach wioski i ofiarował nam jeden z napowietrznych domów do wyłącznego użytku.

Perry był bardzo zaintrygowany tymi unikalnymi domostwami przypominającymi wielkie gniazda os, zbudowanymi wysoko ponad ziemią, wokół pni drzew.

Rozlokowaliśmy się w nowym domu, zjedliśmy obfity posiłek i odpoczęliśmy. Po pewnym czasie przyszedł Ja wraz z kilkoma ważniejszymi wojownikami. Uważnie wysłuchali mojej opowieści o wydarzeniach towarzyszących tworzeniu federacji, o bitwie z Maharami, mej podróży do zewnętrznego świata oraz o powrocie i poszukiwaniach Sari i Dian Pięknej.

Ja powiedział, że słyszeli wieści o powstawaniu federacji i byli tym bardzo zainteresowani.

Wysłali nawet do Sari grupę wojowników, by sprawdzili prawdziwość pogłosek, że jednym z celów federacji jest wyrwanie się spod władzy Mahar i w celu wstępnego ustalenia warunków, na jakich mogłoby do niej przystąpić plemię Anorok.

Delegacja natknęła się po drodze na oddział Sagothów. Między Mezopami a Maharami od wielu pokoleń panował rozejm, więc oba oddziały wspólnie zatrzymały się na odpoczynek. Od Sagothów posłańcy z Anorok dowiedzieli się, że federacja już nie istnieje, ponieważ rozpadła się, wrócili więc do domu.

Pokazałem Ja naszą mapę i wyjaśniłem jej przeznaczenie. Bardzo go zaciekała. Rozpoznał miejsce, w którym zaznaczona była wyspa Anorok, znane mu również były Chmurne Wierchy, rzeka i przedstawiony na mapie skrawek wybrzeża.

Szybko wskazał położenie śródlądowego morza, które nas otaczało i położonego niedaleko od brzegu miasta Phutra, zamieszkałego przez jeden z narodów gadziej rasy. Pokazał również gdzie powinno leżeć Sari i poprowadził linie brzegową na północ i południe, tak daleko, jak była mu ona znana.

Jego uzupełnienia przekonały nas, że Greenwich leży na wybrzeżu tego samego morza i że można tam dotrzeć drogą wodną znacznie łatwiej niż lądową, bez morderczego przedzierania się przez Chmurne Wierchy lub przechodzenia niebezpiecznie blisko Phutry, leżącej na północnym zachodzie, niemal w prostej linii między Anorok a Greenwich.

Jeżeli Sari leżało nad tym samym morzem, to linia brzegowa musiała mocno wyginać się na południowy zachód od Greenwich — później sprawdziliśmy to i okazało się, iż przypuszczenie nasze było trafne. Tak więc płaskowyz, na którym leżało Sari, graniczył od południa z ogromną zatoką Oceanu Wielkiego.

Zdziwiliśmy się, gdy Ja stwierdził, że odległa Amoz leży prosto na północ od Greenwich, gdyż oznaczałoby to środek oceanu. Ponieważ jednak Ja nigdy nie podróżował tak daleko, a Amoz znał tylko z opowieści, myśleliśmy, że po prostu się myli. Miał jednak rację. Amoz leży dokładnie na północ od Greenwich, po drugiej stronie wejścia do tej samej zatoki, nad którą położone jest Sari.

Jak niejednokrotnie miałem okazję, przekonać się w przeszłości, ci prymitywni Pellucidarczycy posiadają wprost niesamowite wyczucie kierunków i odległości. Moglibyście zabrać któregoś z nich w najbardziej odległy kraniec ich świata, do miejsca, o którym nigdy nawet nie słyszał a on, bez pomocy gwiazd, którymi mógłby się kierować, bez pomocy map czy kompasu, ruszy najkrótszą z możliwych dróg prosto w stronę, swego domu.

Oczywiście będzie musiał obchodzić góry, nieprzebyte rzeki czy morza, ale jego wyczucie kierunku nigdy go nie zawiedzie — wskazujący mu drogę instynkt pokona wszelkie przeszkody.

Pellucidarczycy nigdy nie zapominają położenia miejsca, w którym kiedyś byli, a wiedzą również gdzie leżą takie, o których tylko słyszeli od innych.

Ujmując to krótko — każdy z nich jest chodzącym atlasem geograficznym regionu, w którym żyje, a także wielu obszarów do niego przyległych. Było to niejednokrotnie wielce Perry'emu i mnie pomocne. My jednak chcieliśmy możliwie najbardziej powiększyć i uzupełnić naszą mapę, gdyż niestety nie posiadaliśmy podobnego, kierującego nas instynktu.

Po długich debatach postanowiliśmy, że w celu przyspieszenia wydarzeń rozdzielimy się i Perry wraz z dużą grupą Mezopów uda się do mechanicznego kreta by przynieść przywieziony przeze mnie z zewnętrznego świata ładunek. Na Ja i jego wojownikach nasza broń palna zrobiła ogromne wrażenie, chcieli też jak najszybciej wybudować łodzie z żaglami.

Mieliśmy na pokładzie naszego pojazdu podręczniki szkutnictwa i uważaliśmy, że Mezopi będący z natury ludźmi morza, mogliby rozpocząć budowę floty niezawodnych łodzi żaglowych. Byłem

pewien, że Perry, posiadając zaczerpnięte z podręczników, gotowe projekty, z powodzeniem może nadzorować budowę odpowiedniej flotyli.

Ostrzegłem go jednak, aby nie był zbyt ambitny i na pewien czas zapomniał o pancernikach i krążownikach, a zamiast nich zbudował kilka niewielkich łodzi, których załogę, mogłoby stanowić czterech czy pięciu ludzi.

Ja miałem się udać do Sari, aby prowadząc nadal poszukiwania Dian, podjąć próbę odtworzenia federacji.

Perry wyruszył drogą wodną, mając zamiar korzystać z niej tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Istniała szansa, że w ten sposób odbędzie całą podróż — tak się stało.

Tymczasem ja, w towarzystwie kilku Mezopów, rozpocząłem podróż w stronę Sari. Nie chcąc przekraczać łańcucha Chmurnych Wierchów wybraliśmy trasę, która w pewnym miejscu przebiegała na południe od Phutry, w niewielkiej od niej odległości. Jedliśmy już czterokrotnie i raz odpoczywaliśmy, będąc, jak mi powiedzieli moi towarzysze, już niedaleko od miasta Mahar, gdy niespodziewanie natknęliśmy się na duży oddział Sagothów.

Nie zaatakowali nas, ponieważ między Mezopami a Maharami zawarty jest rozejm, widziałem jednak, że spoglądają na mnie z nieukrywaną podejrzliwością. Moi przyjaciele powiedzieli im, że jestem przybyszem z bardzo odległego kraju. Zgodnie z tym co wcześniej ustaliliśmy na wypadek takiego właśnie zdarzenia, udawałem nieznaną języka używanego przez ludzi w rozmowach z goryłopodobnymi żołnierzami Mahar.

Pewne obawy wzbudziło we mnie to, że dowódca Sagothów przypatruje mi się tak, jakby usiłował sobie przypomnieć, skąd może mnie znać. Byłem pewien, że musiał mnie widzieć w czasie, gdy byłem uwięziony w Phutrze, jednak teraz nie pamięta o tym.

Bardzo mnie to niepokoiło. Byłem niezmiernie zadowolony, gdy wreszcie pożegnaliśmy się z nimi i udaliśmy w dalszą drogę.

Kilkakrotnie podczas dalszych marszów odnosiłem wrażenie, iż jestem obserwowany przez kogoś niewidzialnego, jednak nie wspominałem o tym moim towarzyszom ani słowem. Później żałowałem swej powściągliwości, gdyż oto, co się stało.

Upolowaliśmy antylopę i po bardzo obfitym posiłku położyłem się spać. Pellucidarczycy zdają się bardzo rzadko, jeśli w ogóle, potrzebować snu, jednak tym razem przyłączyli się do mnie. Mieliśmy za sobą wyjątkowo meczący odcinek północnego przedgórza Chmurnych Wierchów i teraz, napełniony żołądki, zdawali się usypiać na stojąco.

Gdy obudziłem się, siedziało na mnie okrakiem dwóch Sagothów. Przycisnęli mnie do ziemi, potem związali mi ręce za plecami i dopiero wtedy pozwolili wstać.

Zobaczyłem swoich towarzyszy. Leżeli martwi, przygwożdżeni do ziemi włóczniami. Nie dano im nawet szansy obrony.

Opanowała mnie wściekłość. Obrzuciłem dowódcę Sagothów najgorszymi wyzwiskami, jakie przychodziły mi do głowy, on jednak, usłyszawszy, że władam językiem, który stanowi środek porozumienia się między jego rasą a zamieszkującym wewnątrz świat ludzi, uśmiechnął się tylko, jakby chciał powiedzieć: „Tak właśnie myślałem!”

Napastnicy nie odebrali mi rewolwerów ani amunicji, gdyż nie zdawali sobie sprawy do czego one służą. Straciłem jednak karabin. Został po prostu tam, gdzie go położyłem idąc spać.

Tak niska jest ich inteligencja, że ten nieznanym im przedmiot nie zainteresował ich choćby na tyle, by go zabrać ze sobą.

Z kierunku marszu wywnioskowałem, że zabierają mnie do Phutry. Nie potrzebowałem wysilać wyobraźni, by domyślić się jaki los mnie tam czekał. Przeznaczona mi była arena i dziki thag czy

tarag — chyba że Mahary postanowią, iż większy pożytek ze mnie będzie w podziemnych laboratoriach.

W tym drugim przypadku los mój również byłby przesądzony, z tą tylko różnicą, że czekałaby mnie śmierć nieskończenie bardziej bolesna, gdyż poddano by mnie okrutnej wiwisekcji. Na arenie zostałem szybko zabity przez jakąś dziką bestię, zaś to, co widziałem kiedyś w laboratoriach wskazywało, iż stosowane tam metody nie mają nic wspólnego z litością.

Po przybyciu do podziemnego miasta zostałem natychmiast zaprowadzony do jakiejś Mahary. Wysłuchiła raportu, złożonego przez dowódcę Sagothów, a potem zwróciła na mnie pełne nienawiści, złośliwe oczy.

Wiedziałem już, że moja tożsamość została odkryta. Okazując podniecenie, jakiego nigdy jeszcze nie wiedziałem u żadnej przedstawicielki dominującej na Pellucidarze rasy, Mahara poprowadziła mnie pod silną strażą główną aleją miasta ku jednemu z budynków rządowych.

Zostałem tam wprowadzony do wielkiej komnaty, w której zgromadził się już tłum Mahar.

Wszystkie one zajęte były rozmowami, jednak w sali panowała zupełna cisza, jako że Mahary nie posiadają zmysłu słuchu i nie wydają dźwięków. Ich sposób komunikowania się Perry — określił jako projekcje szóstego zmysłu w czwarty wymiar.

W jakikolwiek jednak sposób odbywały się ich rozmowy, najwyraźniej ich tematem byłem ja. Pełne nienawiści spojrzenia, jakie kierowały w moją stronę wskazywały, iż nie jestem dla nich osobą szczególnie miłą.

Nie wiem jak długo czekałem na to, aż podejmą w końcu jakąś ostateczną decyzję, lecz wydawało mi się, że musiały upłynąć całe wieki. Wreszcie jeden z Sagothów, który służył jako tłumacz między mną a swymi władczyniami powiedział:

— Mahary oszczędzą twoje życie i wypuszczą cię pod warunkiem, że spełnisz ich żądanie.

— Jakie? — spytałem, mimo iż mogłem się domyślić.

— Zwrócisz to, co ukradłeś z lochów Phutry wtedy, gdy stąd uciekłeś, zabijając cztery Mahary.

A więc, jak się domyślałem, chodziło im o wielki sekret, od którego zależała kontynuacja ich rasy. Tylko ja i Dian wiedzieliśmy, gdzie został on ukryty.

Wyobrażałem sobie, że Mahary przyrzekłyby mi znacznie więcej niż tylko wolność, byle mieć tę księgę z powrotem w swoich rękach. Ale potem, gdy już ją oddam... Czy dotrzymają obietnicy?

Wątpiłem w to. Będąc znowu w posiadaniu sekretu sztucznego rozmnażania, zwiększą swą liczebność, by kompletnie zdominować Pellucidar. Zniknie wtedy na zawsze nadzieja na to, iż rasą panującą tu staną się ludzie — cel, w którego spełnienie tak żarliwie wierzyłem, któremu poświęciłem swoje życie i za który nie wahałbym się tego życia oddać.

Tak! W owej chwili, stojąc przed bezlitosnym trybunałem, czułem, że moje życie stanowiłoby bardzo niską cenę, gdyby w zamian za nie ludzie Pellucidaru zyskali możliwość zapanowania nad swym własnym światem. A to stałoby się możliwe, gdyby wyginęły znieprawione, potężne Mahary.

— Pospiesz się! — ponaglił mnie Sagoth. — Wielkie Mahary czekają na twoją odpowiedź.

— Możesz im powiedzieć — stwierdziłem — że nie zdradzę miejsca, w którym ukryty jest wielki sekret.

Gdy zostało to przetłumaczone, Mahary zaczęły gwałtownie bić skrzydłami, kłapać pełnymi ostrymi zębów paszczami i obrzydliwie syczeć. Myślałem, że rzucą się, by mnie rozszarpać i oparłem dłonie na rewolwerach. Jednak po chwili uspokoiły się nieco i wydały strażnikom jakieś polecenie. Dowódca Sagothów położył na moim ramieniu ciężką dłoń i brutalnie zaczął mnie popychać w stronę wyjścia.

Zostałem zaprowadzony do lochów i zamknięty pod silną strażą. Byłem pewien, że Mahary

oddadzą mnie do laboratorium, w którym przeprowadza się wiwisekcje. Potrzebna mi była cała moja odwaga, by przygotować się na spotkanie z tak przerażającą śmiercią.

Na Pellucidarze, gdzie nie istnieje czas, agonia może trwać wiecznie. Musiałem więc uzbroić się w całe męstwo, by sprostać niekończącej się męce, w obliczu której teraz stałem!

Rozdział V

Niespodzianki

I w końcu oczekiwana chwila nadeszła — chwila, do której starałem się przygotować, lecz jak długo, nie potrafiłbym nawet odgadnąć. Przyszedł ogromnego wzrostu Sagoth i wydał tym, którzy mnie strzegli, jakiś rozkaz. Zostałem brutalnie podniesiony z ziemi i bezceremonialnie poprowadzony w górę, ku wyższym poziomom miasta.

Po pewnym czasie znaleźliśmy się na szerokiej alei, wśród ciżby Mahar, Sagothów i pilnie strzeżonych niewolników. Poprowadzono mnie, a raczej pognano szturchańcami w tym samym kierunku, w którym szedł otaczający nas tłum. Widziałem już kiedyś tak wielkie zgromadzenie mieszkańców Phutry. Domyślałem się, że celem naszym jest ogromna arena, gdzie skazani na śmierć niewolnicy spotykają się ze swym przeznaczeniem.

Zaprowadzono mnie do wielkiego amfiteatru, umieszczając w najbardziej odległym krańcu areny. Nadeszła królowa wraz ze swą pokrytą śluzem, przyprawiającą swym widokiem o mdłości swiątą. Wszystkie miejsca zostały zajęte. Przedstawienie miało za chwilę się rozpocząć.

W tym momencie przez drzwi po przeciwnej stronie areny została wprowadzona dziewczyna. Próbowałem się jej przyjrzeć, jednak odległość między nami była zbyt duża, abym mógł dostrzec cokolwiek poza zarysem jej sylwetki.

Zastanawiałem się, jaką śmierć wybrano dla niej i dla mnie i dlaczego postanowiono, że umrzemy razem. Mój własny los, czy raczej moje myśli o nim, zostały odsunięte na dalszy plan przez naturalną w tych warunkach litość dla tej samotnej dziewczyny, skazanej na straszliwą śmierć przed zimnymi, okrutnymi oczyma jej ohydnych oprawczyń. Jaką popełniła zbrodnię, że musi odkupić ją na tej przerażającej arenie?

Snułem tego rodzaju rozważania, gdy gwałtownie otworzyły się następne drzwi, tym razem te, które znajdowały się w jednym z dłuższych boków areny. Na scenę teatru śmierci wybiegł potężny tarag, wielki jaskiniowy tygrys z epoki kamienia łupanego. W kaburach na mych biodrach w dalszym ciągu tkwiły rewolwery. Nie zabrano ich, gdyż moi strażnicy nie zdawali sobie sprawy z ich siły. Niewątpliwie uznali je za jakiś dziwny rodzaj maczuga, które pozwolono mi zabrać, gdyż skazanym na arenę przysługuje prawo do posiadania w czasie walki broni.

Dziewczynę uzbrojono we włócznie. Przeciwno dzikiej bestii, którą na nas wypuszczono, niemal równie skuteczna byłaby mosiężna szpilka.

Tarag stał się przez chwilę nieruchomo, rozglądając się wokół siebie — najpierw spojrzął na tłumy widzów, potem potoczył wzrokiem po arenie. Mnie zdawał się w ogóle nie dostrzegać, natomiast jego ślepia zatrzymały się na dziewczynie. Z potężnych płuc wyrwał się straszliwy ryk, ryk który zakończył się długim krzykiem, bardziej ludzkim niż przedśmiertny krzyk torturowanej kobiety, bardziej ludzkim, ale również budzącym większą zgrozę! Z trudem opanowałem wstrząsający mnie dreszcz.

Bestia odwróciła się powoli i ruszyła w stronę dziewczyny. W tym momencie całkowicie odzyskałem zdolność rozumowania i zdałem sobie sprawę z obowiązku, jaki na mnie spoczywał. Szybko i tak cicho, jak to było możliwe, pobiegłem przez arenę ścigając tygrysa. Biegając wydobyłem

jeden z moich żałośnie nieskutecznych rewolwerów. Ach, gdybym w tej chwili miał w rękach zaginiony karabin! Jeden dobrze wymierzony strzał mógł powalić nawet tego potwora. Mając tylko rewolwery w najlepszym wypadku mogłem liczyć na to, iż uda mi się odciągnąć uwagę taraga od dziewczyny, a potem umieścić w nim tyle kul, ile zdążę, zanim mnie dosięgnie i rozszarpie na strzępy.

Istnieje niepisane, związane z walkami na arenie, prawo stanowiące, iż zwycięzca jest wolny i nietykalny, bez względu na to czy będzie to człowiek czy zwierze. Nawiasem mówiąc, Mahary traktują zwierzęta i ludzi jednakowo. To znaczy, patrzyły na ludzi jak na stworzenia niższego rzędu zanim Perry i ja przebiliśmy się przez skorupę ziemską. Wydaje mi się, że potem zaczęły zmieniać nieco zdanie i zdawać sobie sprawę, że w gilaku — jest to pellucidarskie słowo, oznaczające człowieka — posiadają rywala stojącego dość wysoko na drabinie ewolucyjnej i zdolnego do racjonalnego myślenia.

Jednak wszystko przemawiało za tym, że szansę na skorzystanie z dobrodziejstw tego prawa miał tylko tarag. Jeszcze kilka długich kroków, gigantyczny skok i już będzie przy swej ofierze.

Uniosłem rewolwer i wystrzeliłem. Kula ugodziła potwora w zadnią lewą łapę. Nie mogła wyrządzić mu wielkiej szkody, ale zmusiła go do zwrócenia się ku mnie.

Myślę, że oblicze wielkiego, rozwścieczonego tygrysa szablastozębnego jest jednym z najbardziej przerażających widoków, jakie istnieją. Szczególnie takiego tygrysa, który jest wściekły na ciebie i gdy nie dzieli was nic poza pustym spłachetkiem piasku.

Jednak gdy usłyszałem urwany krzyk dziewczyny, nawet to straszliwe oblicze nie powstrzymało mnie od zlekceważenia niebezpieczeństwa i spojrzenia na nią. Jej oczy były wbite we mnie i wyrażały tak wielkie niedowierzenie, iż trudno to opisać. Dostrzegłem w nich również przerażenie, ale także wielką nadzieję.

— Dian! — krzyknąłem. — Na wielkie nieba, Dian!

Zobaczyłem, że jej usta wymawiają moje imię, gdy wznosiła włócznię i rzucała się na taraga. Teraz ona była tygrysicą — prostą, dziką kobietą, broniącą swego ukochanego. Zanim zdołała dosięgnąć potwora swym żalosnym orężem, ponownie wystrzeliłem, mierząc w miejsce, w którym jego szyja stykała się z lewym ramieniem. Jeżeli udałoby mi się trafić dokładnie, kula mogła dosięgnąć serca. Choć tak się nie stało, zmusiła jednak taraga do zatrzymania się na chwilę.

I wtedy zdarzyła się rzecz bardzo dziwna. Usłyszałem głośnie syki, dobiegające z miejsc, zajmowanych przez Mahary. Spojrzałem w tamtą stronę i ujrzałem, że trzy wielkie thipdary — skrzydlate smoki, stanowiące straż przyboczną królowej (Perry nazywa je pterodaktylami), unoszą się ze swych kamieni i jak błyskawice spadają na środek areny. Są to wielkie i potężne gady — każdy z nich, wykorzystując przewagę, jaką mogą mu dać skrzydła, byłby godnym przeciwnikiem dla niedźwiedzia jaskiniowego czy taraga.

Te trzy, ku memu niezmiernemu zdziwieniu, spadły wprost na tygrysa, gdy szykował się on do ostatecznej szarży na mnie. Zatopiły szpony w jego grzbiecie i uniosły go w powietrze, jakby był kurczęciem, porywanym przez jastrzębia.

Cóż mogło to znaczyć?

Chciałem się tego jak najszybciej dowiedzieć, ale teraz, gdy nie było już taraga, przede wszystkim pospieszyłem ku Dian. Z okrzykiem radości rzuciła się w moje ramiona. Tak zapomnieliśmy się w ekstazie ponownego połączenia, że żadne z nas nie zauważyło, co ostatecznie stało się z bestią, która przed chwilą zagrażała naszemu życiu.

Pierwszą rzeczą, z jakiej sobie zdaliśmy sprawę, było to, iż jesteśmy otoczeni przez dużą grupę Sagothów. W grubiański sposób polecili nam iść ze sobą. Wyprowadzili nas z areny i powiedli ulicami Phutry zpowrotem do komnaty audiencyjnej, w której byłem sądzony i skazany. Znów

staliśmy przed obliczem tego samego zimnego, okrutnego trybunału.

Jeszcze raz Sagoth posłużył za tłumacza. Wyjaśnił nam, że darowano nam życie, ponieważ w ostatniej chwili powróciła do Phutry Tu-al-sa i widząc mnie na arenie, nakłoniła królową, abym został oszczędzony.

— Kto to jest Tu-al-sa? — spytałem.

— Mahara, której ostami męski przodek był — wieki temu — ostatnim męskim władcą Maharów — odpowiedział.

— A dlaczego chciała, by mi darowano życie?

Sagoth wzruszył ramionami i powtórzył moje pytanie rzecznicze Mahar. Gdy otrzymał odpowiedź, przekazaną dziwnym migowym językiem, za pomocą którego Mahary porozumiewają się ze swymi żołnierzami, ponownie zwrócił się do mnie:

— Przez długi czas miałeś życie Tu-al-sa w swoich rękach — wyjaśnił. — Mogłeś ją z łatwością zabić lub porzucić w dziwnym świecie. Nie zrobiłeś ani jednego, ani drugiego. Nie uczyniłeś jej krzywdy, przywiozłeś z powrotem na Pellucidar i zwróciłeś wolność, by mogła wrócić do Phutry. Teraz odbierasz swoją nagrodę.

Nareszcie zrozumiałem. Mahara, która wbrew swej woli towarzyszyła mi w podróży do zewnętrznego świata to Tu-al-sa. Dopiero teraz dowiedziałem się, jak ta dama się nazywa. Podziękowałem losowi za to, iż nie zostawiłem jej wśród piasków Sahary ani nie wsadziłem jej kulki w łeb, tak jak to miałem ochotę zrobić. Byłem zaskoczony, że wdzięczność jest jedną z cech charakteru dominującej rasy Pellucidaru. Nigdy nie potrafiłem o nich myśleć inaczej niż jak o zimnokrwistych, bezmózgich gadach, mimo że Perry poświęcił wiele czasu na wyjaśnianie mi, iż dzięki dziwnemu kaprynowi ewolucji ten gatunek gadów rozwinął się w stopniu, który pozwolił mu zająć na Pellucidarze miejsce pod wieloma względami odpowiadające temu, jakie w zewnętrznym świecie zajmuje człowiek.

Powtarzał mi często, że na podstawie lektury ich ksiąg, które nauczył się odczytywać w czasie naszego uwięzienia w Phutrze, ma wszelkie powody wierzyć, iż rasa ta posiada silne poczucie sprawiedliwości i jest w poważnym stopniu zaawansowana w pewnych gałęziach nauki i sztuki, szczególnie w genetyce, metafizyce, architekturze i inżynierii.

Mimo iż zawsze trudno mi było patrzeć na te stworzenia inaczej, niż jak na pokryte śluzem, skrzydlate krokodyle — których, nawiasem mówiąc, wcale nie przypominały — byłem zmuszony uświadomić sobie fakt, że jestem więźniem stworzeń myślących racjonalnie i oświeconych, gdyż sprawiedliwość i wdzięczność są wyznacznikami stopnia rozwoju i kultury.

Jednak wtedy najbardziej interesowały mnie ich dalsze zamiary w stosunku do nas. Mogły przecież ocalić nas przed taragiem, wcale nie zamierzając zwrócić wolności. Wiedziałem, że w dalszym ciągu uważały nas za istoty niższego rzędu. My także nie jesteśmy zdolni do postawienia się w sytuacji stworzeń, z których robimy niewolników, sądząc, iż są one szczęśliwsze w naszej niewoli niż wypełniając w sposób nieskrępowany zadania, do których zostały stworzone przez naturę. Mahary również mogły uważać, że będziemy czuć się lepiej w ich więzieniu niż wśród niebezpieczeństw, czyhających na nas na wolności.

W tej sytuacji moje następne pytanie musiało oczywiście dotyczyć tej sprawy. Z przekazanej mi za pośrednictwem Sagotha-tłumacza odpowiedzi dowiedziałem się, iż Mahary uważają, że darowanie nam życia w pełni spłaca dług wdzięczności, jaki miała wobec mnie Tu-al-sa. Jednak oskarżenie o niewybaczalną zbrodnię, której się dopuściłem — wykradzenie ich wielkiego sekretu — pozostaje w dalszym ciągu w mocy. W związku z tym zamierzają więzić zarówno mnie, jak i Dian tak długo, aż manuskrypt zostanie zwrócony.

Ja zostanę wysłany pod silną eskortą Sagothów z zadaniem przyniesienia dokumentu z miejsca, w którym go ukryliśmy, natomiast Dian pozostanie w Phutrze jako zakładniczka. Zostaniemy uwolnieni w chwili, w której dokument znajdzie się w posiadaniu królowej.

Nie ulegało wątpliwości, że w tej grze Mahary dysponowały silniejszymi kartami. Jednak jej stawka była o tyle większa niż wolność czy nawet życie Dian i moje, że nie zamierzałem zgadzać się na ich propozycje bez głębszego przemyślenia całej sprawy.

Utraciwszy wielki sekret, ta pozbawiona męskich osobników rasa musiała ulec zagładzie. Przez całe wieki Mahary zapładniały swoje jaja w sztuczny sposób. Opis tego procesu, ów wielki sekret, leżał ukryty w niewielkiej jaskini, znajdującej się w odległej dolinie, w której Dian i ja spędziliśmy swój miodowy miesiąc. Wcale nie byłem pewien, czy potrafią go odnaleźć, i prawdę mówiąc, niespecjalnie mi na tym zależało. Dopóki gadzia rasa będzie miała możliwość rozmnażania się, dopóty pozycja ludzi na Pellucidarze będzie wystawiona na szwank. Nie może być dwóch dominujących ras.

Podzieliłem się tymi myślami z Dian.

— Opowiedziałeś mi kiedyś — odpowiedziała — o wspaniałych rzeczach, jakich mógłbyś dokonać, mając do dyspozycji wynalazki swego świata. Teraz stamtąd wróciłeś, przywożąc ze sobą wszystko, co jest konieczne, by dać ludziom Pellucidaru te wielką siłę.

Opowiadałeś mi o wielkich, śmiertcionośnych machinach, które mogłyby miotać wybuchające, metalowe kule między szeregi naszych wrogów, zabijając je setkami.

Mówiłeś o potężnych, kamiennych fortcach, w których tysiąc ludzi, uzbrojonych w duże i małe maszyny tego typu, mogłoby się bronić w nieskończoność przeciwko milionowi Sagothów.

Opowiadałeś o wielkich łodziach, przemierzających morza bez pomocy wiosł i plujących śmiercią z otworów w swych bokach.

To wszystko może teraz należeć do ludzi z Pellucidaru. Dlaczego w takim razie mielibyśmy się bać Mahar?

Niech się rozmnażają! Niech ich liczba wzrośnie w tysiące. Mimo to ciągle będą bezradne wobec potęgi Imperatora Pellucidaru.

Co jednak możemy osiągnąć, jeżeli pozostaniesz uwięziony w Phutrze? Czego dokonają ludy Pellucidaru, jeżeli nie staniesz na ich czele, jeśli ich nie poprowadzisz?

Poszczególne plemiona będą napadały na siebie wzajemnie, a tymczasem Mahary, korzystając z tego, zniszczą je jedno po drugim. A jeśli nie — to jaką wartość będzie miało dla nich wyzwolenie rasy ludzkiej, jeżeli będą pozbawione tej wiedzy, którą jedynie ty posiadasz, a która może ich poprowadzić ku wspaniałej cywilizacji — cywilizacji, o której mi opowiadałeś tak wiele, iż teraz pragnę jej tak, jak nigdy jeszcze niczego.

Nie, Da widzę, Mahary nie będą mogły nas skrzywdzić, jeżeli ty będziesz na wolności. Niech sobie mają swój sekret, jeśli za te cenę ty i ja będziemy mogli wrócić do naszych ludzi i poprowadzić ich na podbój Pellucidaru.

Dian była bardzo ambitna, jednak ambicja nie odebrała jej zdolności logicznego rozumowania. Miała oczywiście racje.. Niczego nie zdołalibyśmy osiągnąć, jeżeli byśmy pozostali w Phutrze, zamknięci do końca życia.

To prawda, że Perry mógł wiele zrobić przy pomocy tego, co znajdowało się na pokładzie mechanicznego kreta, jednak miał on bardzo pokojową naturę. Nigdy nie zdołałby zespolić na nowo żądnych walki frakcji, na które rozpadła się federacja. Nigdy nie udałoby mu się przyłączyć do imperium nowych terenów plemion. Kręciłby się w kółko, produkując proch strzelniczy i bez przerwy starając się go udoskonalić, aż wreszcie ktoś wysadziłby go w powietrze przy pomocy jego

własnego wynalazku. Perry był bardzo niepraktyczny. Aby cokolwiek osiągnąć, potrzebował kogoś, kto by odpowiednio ukierunkował jego energie.

Perry potrzebował mnie, a ja potrzebowałem, jego. Jeżeli mieliśmy być pożyteczni dla Pellucidaru i jego mieszkańców, musieliśmy być wolni i pracować razem.

Biorąc to wszystko pod uwagę zgodziłem się na propozycje Mahar. Przynęły mi, że podczas mojej nieobecności Dian będzie dobrze traktowana i chroniona przed wszystkim, co mogłoby uchybić jej godności. Tak więc wyruszyłem z setką Sagothów na poszukiwanie doliny, na którą natknąłem się kiedyś przypadkowo, a którą teraz równie dobrze mogłem odnaleźć lub nie.

Maszerowaliśmy prosto w stronę Sari. Na odpoczynek zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym zostałem schwytany i ku memu ogromnemu zdziwieniu, znalazłem tam mój karabin. Byłem za to niezmiernie wdzięczny losowi. Leżał tak, jak go położyłem, udając się na odpoczynek, który dla mnie zakończył się niewolą a dla moich przyjaciół Mezopów — śmiercią.

Po drodze udało mi się znacznie uzupełnić mapę — moja praca nad nią nie wzbudziła w Sagothach nawet cienia zainteresowania. Czułem, że ludzie z Pellucidaru nie muszą się specjalnie obawiać tych goryli. Byli to wojownicy, nic ponadto. Być może kiedyś w przyszłości sami będziemy ich wykorzystywać w takiej właśnie roli. Nie byli dostatecznie inteligentni, aby stanowić zagrożenie dla rozwoju rasy ludzkiej.

W miarę zbliżania się do okolicy, w której miałem nadzieje odnaleźć dolinę, byłem coraz bardziej przekonany o powodzeniu naszej wyprawy. Rozpoznałem otaczający nas krajobraz i byłem już pewien, że potrafię dokładnie odtworzyć położenie jaskini.

Mniej więcej w tym czasie zobaczyłem w oddali oddział półnagich wojowników — ludzi, przecinających nam drogę. Zatrzymali się na nasz widok. Nie wątpiłem, iż musi dojść do walki. Sagothowie nigdy nie pozwolą, aby umknęła im okazja schwytania nowych niewolników dla ich władczyń.

Zauważyłem, że uzbrojeni byli w łuki, strzały, długie włócznie i miecze, odgadłem więc, że musieli należeć do federacji, gdyż tylko moi żołnierze tak zostali wyekwipowani. Zanim Perry i ja przybyliśmy na Pellucidar jego mieszkańcy mogli się wzajemnie zabijać tylko bardzo prymitywną bronią. Sagothowie najwyraźniej również spodziewali się bitwy. Wznosząc dzikie okrzyki zaczęli biec w kierunku przeciwnika.

I wtedy zdarzyło się, coś dziwnego. Dowódca ludzi wystąpił naprzód, wznosząc obie dłonie ku górze. Sagothowie przerwali wrzaski i wolno poszli mu na spotkanie. Nastąpiła długa wymiana zdań, która jak zauważyłem, w dużej części dotyczyła mojej osoby. Dowódca Sagothów wskazywał w kierunku, w którym, jak mu powiedziałem, leżała dolina. Wyraźnie wyjaśniał cel naszej wyprawy. Bardzo mnie to zdziwiło.

Jaki człowiek może pozostawać w tak doskonałych stosunkach z Sagothami?

W żaden sposób nie mogłem znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Usiłowałem mu się przyjrzeć, ale Sagothowie, idąc do ataku, zostawili mnie pod strażą z tyłu w odległości zbyt dużej, abym mógł rozpoznać rysy twarzy któregoś z ludzi.

Wreszcie zakończyli rozmowę i ludzie poszli swoją drogą, a Sagothowie wrócili do miejsca, w którym stałem wraz ze swym strażnikiem. Ponieważ była to pora posiłku zatrzymaliśmy się tam trochę dłużej. Sagothowie nie powiedzieli mi kim był spotkany, a ja o to nie pytałem, chociaż muszę przyznać, iż byłem bardzo ciekawy.

W czasie tego postoju pozwolili mi się trochę zdrzemnąć. Potem wyruszyliśmy, aby pokonać ostatnią już część naszej podróży. Bez trudności znalazłem dolinę i poprowadziłem moich strażników prosto ku jaskini. Sagothowie zatrzymali się u jej wylotu i sam wszedłem do środka.

Macając w półmroku rękoma po dnie jaskini, zauważyłem, że grunt jest miękki, jakby świeżo przekopany. Moje dłonie dotarły do miejsca, w którym zakopałem dokument. Zamiast na gładką ubitą ziemię, którą pokryłem kryjówkę, natrafiły na pustą przestrzeń — manuskrypt zniknął!

Gorączkowo przeszukałem po kilkakroć całe wnętrze jaskini, ale nie znalazłem nic, poza potwierdzeniem moich najgorszych przeczuć. Ktoś przyszedł tu przede mną i skradł ukryty tu przeze mnie wielki sekret.

Jedyna rzecz, która mogła uwolnić Dian i mnie, była stracona i prawdopodobnie nigdy nie uda mi się dowiedzieć, gdzie się znajduje. Jeżeli znalazła ją jedna z Mahar, co — było raczej mało prawdopodobne, gdzieś damy najpewniej nigdy nie ujawnią prawdy i nie przyznają się, iż cenny dokument został przez nie odzyskany. Jeżeli przypadkowo natrafił na niego jakiś jaskiniowiec, nie będzie miał pojęcia o jego znaczeniu oraz prawdziwej wartości i w rezultacie manuskrypt zostanie wkrótce porzucony lub zniszczony.

Wyszedłem z jaskini ze spuszczoną głową, zdruzgotany. Opowiedziałem dowódcy Sagothów o swym odkryciu. Niewiele to dla niego znaczyło — jego wiedza o tym, co zawierał dokument, po który zostaliśmy wysłani, była niewątpliwie niewiele większa od wiedzy jaskiniowca, który najpewniej ów dokument odnalazł.

Natomiast Sagoth zrozumiał, iż nie udało mi się wywiązać z nałożonego na mnie zadania i wykorzystał to, by uczynić drogę powrotną do Phutry jak najbardziej dla mnie przykrą. Nie buntowałem się przeciw temu, chociaż to co miałem przy sobie mogło ich wszystkich zniszczyć. Nie ośmieliłem się tego zrobić ze względu na konsekwencje, jakie poniosłaby Dian. Miałem zamiar zażądać jej uwolnienia, argumentując to tym, iż w najmniejszym nawet stopniu nie była ona winna kradzieży, a ponadto niepowodzenie w odzyskaniu dokumentu nie umniejsza wcale znaczenia dobrej woli, którą okazałem, zgadzając się go zwrócić. Mahary mogą zatrzymać mnie, jeśli taka jest ich wola, ale Dian powinna zostać wypuszczona i bezpiecznie powrócić do swego plemienia.

Gdy wróciliśmy do Phutry, zostałem natychmiast zaprowadzony do wielkiej komnaty audiencyjnej.

Zgromadzone tam Mahary wysłuchały raportu dowódcy Sagothów. Na ich niemal całkowicie pozbawionych wyrazu obliczach trudno było dostrzec choćby cień jakiegoś uczucia — zbiło mnie to nieco z tropu, gdyż wiedziałem, jak straszliwy gniew musiał nimi miotać od chwili, gdy dowiedziały się, że wielki sekret od którego zależała przyszłość ich całej rasy, jest stracony, być może na zawsze.

Gdy Sagoth skończył składanie sprawozdania, przewodnicząca zebrania Mahara zakomunikowała coś tłumaczowi — coś, co niewątpliwie miało zostać przekazane mnie i dać mi wyobrażenie o losie, jaki mnie czekał. Byłem już ostatecznie zdecydowany — jeżeli Dian nie zostanie uwolniona, obrócę na Phutre mój mały arsenał. W pojedynkę mógłbym nawet przebić się na wolność. Jeżeli jednak udałoby mi się dowiedzieć, gdzie Dian jest wieziona, warto było podjąć próbę jej uwolnienia. Moje rozmyślenia zostały przerwane przez tłumacza.

— Potężne Mahary — powiedział — nie są w stanie zrozumieć sprzeczności, jaka istnieje między twoim stwierdzeniem, że dokument został bezpowrotnie stracony, a twoim działaniem — przecież wysłałeś im manuskrypt przez specjalnego posłańca. Mahary chcą wiedzieć, czy prawda tak szybko uleciała z twojej pamięci, czy też po prostu ją ignorujesz.

— Nie wysyłałem im żadnego dokumentu — krzyknąłem. — Spytaj je, co to wszystko znaczy?

— Mówią — odpowiedział po zamienieniu z Maharami kilku zdań — że tuż przed twoim powrotem przybył tu Hooja Przebiegły, przynosząc ze sobą wielki sekret. Powiedział, że wysłałeś go przodem z prośbą, aby dostarczył do Phutry dokument i przyprowadził dziewczynę do Sari, gdzie będziesz na niego oczekiwał.

— Dian? — wrzasnąłem. — Mahary oddały Dian w ręce Hooji?

— Oczywiście. A cóż w tym dziwnego? Przecież to tylko gilak — powiedział to takim tonem, jakiego ty lub ja używalibyśmy mówiąc „Przecież to tylko krowa”.

Rozdział VI

Wiszący świat

Mahary uwolniły mnie tak jak obiecały, ze ścisłym jednak zaleceniem, abym nigdy nie zbliżał się do Phutry ani do żadnego z ich miast.

Nie chciały mi powiedzieć w jakim kierunku odszedł Hooja, opuściłem więc Phutre czując do nich wielką urazę. Jednak przede wszystkim wypełniała mnie wściekłość na Przebiegłego, który znowu zrabował mi mój najcenniejszy skarb.

Z początku zamierzałem wrócić do Anorok, jednak przemyślawszy te sprawę głębiej, zwróciłem się twarzą ku Sari, gdyż czułem, iż w tym właśnie kierunku Hooja podróżuje, jako że w tamtych okolicach leżał jego własny kraj.

Za pomocą mej mapy, którą w czasie wyprawy w poszukiwaniu wielkiego sekretu zawsze trzymałem w bezpiecznym miejscu, dotarłem w końcu do Sari. Gdy wspiałem się na górujący nad otaczającą okolicą płaskowyż, gdzie wśród skalnych urwisk znalazło swe domy-jaskinie plemię Sarian, wśród tych którzy mnie pierwsi dostrzegli, podniosły się krzyki i alarmujące wezwania.

Kudłaci wojownicy wysypali się ze swych jaskiń jak osy z gniazd i wznosząc bojowe okrzyki zaczęli biec w mój kierunku. Strzały z zatrutymi grotami, których wytwarzania i używania ich nauczyłem, zostały założone na cięciwy łuków i skierowane we mnie. Ostrza mieczów z kutego żelaza — następna z moich innowacji — godziły w mą pierś.

Przewiesiwszy karabin przez pierś, podniosłem obie dłonie ponad głowę. Jest to znak pokoju, rozpoznawalny na całej powierzchni Pellucidaru. Wojownicy przerwali bieg i zaczęli mi się uważnie przyglądać. Poszukałem wzrokiem mego przyjaciela Ghaka Włochatego, króla Sari. Zauważyłem go, nadchodzącego od strony jaskiń. Och, jak dobrze było znowu widzieć tę potężną, włochatą sylwetkę! Ghak był przyjacielem — przyjacielem godnym tego miana — a minęło już sporo czasu, odkąd ostatni raz widziałem jego przyjazną twarz.

Torując sobie łokciami drogę przez tłum wojowników, potężny wódz przedzierał się w moją stronę. Z wyrazu jaki malował się na jego przystojnym obliczu wnosiłem, iż jest bardzo zaintrygowany. Przebył przestrzeń dzielącą mnie od wojowników i zatrzymał się.

Zachowałem milczenie. Nawet się nie uśmiechnąłem. Chciałem się przekonać czy Ghak, mój pierwszy adiutant, rozpozna mnie. Przez pewien czas stał nieruchomo przyglądając mi się uważnie. Jego oczy prześliznęły się po moim korkowym hełmie, bluzie khaki, pasach z nabojami, po dwóch rewolwerach, sterczących z kabur na biodrach i wielkim karabinie, spoczywającym na mej piersi. Moje dłonie były ciągle wzniesione ponad głowę. Ghak przyjrzał się sztylpom i mocnym, brązowym butom, które miałem na nogach i znów spojrzął na moją twarz. Po kilku chwilach, w czasie których jego wzrok nieruchomo na mnie spoczywał, zobaczyłem, że jego oblicze rozjaśnia się w błysku nagłego rozpoznania.

— Nasz imperator powrócił — oznajmił. — Podejdźcie i...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, gdyż okrzyki, jakie wyrwały się z tych prymitywnych gardel zagłuszyłyby nawet głos niebios. Gdy cisnęli się wokół, niemal walcząc o szansę ucałowania mej dłoni, przed oczyma mojej duszy znów odrodziła się wizja imperium — wizja, o której myślałem, iż

rozwiała się już na zawsze.

Z takimi ludźmi, jaki ci, mogłem podbić świat. Z takimi ludźmi, ja ci, podbiję świat! Jeżeli Sarianie pozostali lojalni, wierności powinni dochować również Amozyci, i Kalianie, i Suvianie, i wszystkie wielkie plemiona, tworzące federację, której zadaniem było wyzwolenie rasy ludzkiej.

Perry był bezpieczny wśród Mezopów, ja byłem bezpieczny wśród Sarian — gdyby jeszcze Dian była bezpieczna i przebywała tutaj, ze mną, przyszłość przedstawiałaby się całkiem różowo.

Opowiedzenie Ghakowi wszystkiego, co mi się przytrafiło nie zajęło mi wiele czasu, gdyż chciałem czym prędzej przejść do omawiania planów odnalezienia Dian, sprawy w owej chwili chyba dla mnie ważniejszej niż samo imperium.

Gdy powiedziałem, że wykradł ją Hooja, Ghak aż tupnął nogą z gniewu.

— Zawsze on! — krzyknął. — To Hooja przyczynił się do pierwszego nieporozumienia między tobą a Dian.

To Hooja zdradził nasze zaufanie i spowodował ponowne schwytnie nas przez Sagothów po tym, jak uciekliśmy z Phutry.

To Hooja intrygował i rozsiewał kłamstwa, aż udało mu się doprowadzić do rozdzwiewu i walki między królestwami, a w rezultacie — do zniszczenia federacji.

Byliśmy głupcami, że pozostawiliśmy go przy życiu. Następnym razem...

Nie musiał kończyć tego zdania.

— Stał się teraz bardzo potężnym nieprzyjacielem — powiedziałem. — Jest w jakiś sposób sprzymierzony z Maharami. Dowodem tego są jego zażyłe stosunki z Sagothami towarzyszącymi mi w trakcie poszukiwania wielkiego sekretu, gdyż to właśnie Hooja musiał być tym człowiekiem, który z nimi rozmawiał tuż przed dotarciem przez nas do doliny. Niewątpliwie Sagothowie powiedzieli mu o celu naszej wyprawy, a on wyprzedził nas, odnalazł jaskinie i ukradł dokument. Rzeczywiście zasługuje na przydomek Przebiegły.

Przeprowadziłem kilka narad z Ghakiem i co ważniejszymi wojownikami jego plemienia. Zdecydowaliśmy połączyć poszukiwania Dian z próbą odbudowania zrujnowanej federacji. W tym celu do każdego z dziesięciu najważniejszych królestw wysłaliśmy po dwóch wojowników, by powiadomili wodzów poszczególnych plemion o mym powrocie i odbudowie federacji oraz przekazali im zaproszenie do Sari. Jednocześnie nasi posłowie mieli zbierać wszelkie informacje na temat miejsca pobytu Hooji.

Pierwotnie zakładaliśmy, że pozostanę, w Sari, by oczekiwać wiadomości o Dian i wyruszę dopiero po ich nadejściu, zżerał mnie jednak niepokój o bezpieczeństwo mej małżonki i bezczynność tak mnie irytowała, że ledwie kilku wojowników wyruszyło w swoich misjach, a już miotalem się, walcząc z chęcią aktywnego włączenia się do poszukiwań.

Jak sobie przypominam, po drugim śnie, licząc od wymarszu wojowników, poszedłem wreszcie do Ghaka i powiedziałem mu, że dłużej nie mogę tłumić meczącej mnie chęci osobistego udziału w poszukiwaniu zaginionej ukochanej.

Ghak usiłował mnie od tego odwieść, jednak wiedziałem, że głęboko w sercu podziela moje pragnienie wyruszenia z Sari i przystąpienia do rzeczywistego działania. Spieraliśmy się właśnie na ten temat, gdy do wioski wszedł, z rękami wzniesionymi wysoko ponad głowę, jakiś nieznajomy. Został natychmiast otoczony przez wojowników i przyprowadzony do Ghaka.

Był to typowy człowiek jaskiniowy — krepki, muskularny i owłosiony. Należał do narodu, którego przedstawicieli nigdy przedtem nie spotkałem. Rysy jego twarzy, podobnie jak u wszystkich prymitywnych ludów Pellucidaru były bardzo regularne. Ubrojony był w kamienną siekierę, nóż i ciężką, sękatą, drewnianą maczugę. Jego skóra była bardzo biała.

— Kim jesteś i skąd przebywasz? — spytał Ghak.

— Jestem Kolk, syn Goorka, który jest wodzem Thurian — odpowiedział nieznajomy. — Przybyłem z Thurii w poszukiwaniu kraju Amoz, w którym mieszka Dakor Mocny. Wykradł on i wziął za małżonkę moją siostrę, Cande, Uroczą.

Do Thurii dotarły wieści o wielkim wodzu, który połączył wiele plemion i mój ojciec wysłał mnie do Dakora, aby sprawdził czy te opowieści są prawdziwe, a jeżeli tak, abym zaofiarował usługi Thurii temu, którego jak słyszeliśmy, nazywają imperatorem.

— Opowieści są prawdziwe — odpowiedział Ghak. — A tu stoi imperator, o którym słyszałeś. Nie musisz już nigdzie dalej podróżować.

— Dlaczego Goork, twój ojciec — spytałem — pragnie przyłączyć swe królestwo do imperium?

— Istnieją dwie przyczyny — odpowiedział młody człowiek. — Od niepamiętnych czasów Mahary, mieszkające za Równiną Lidi, która jest położona na przeciwległym skraju Krainy Straszego Cienia, porywają naszych ludzi i albo zmuszają ich do niewolniczej służby do końca życia albo tuczą i pożerają w czasie swych rytualnych uct. Słyszeliśmy, że wielki imperator toczy zwycięską wojnę z Maharami, przeciwko którym my również chętnie podjęlibyśmy walkę.

Ostatnio przybyła następna przyczyna. Na wielkiej wyspie, leżącej na Sojar Az, w niewielkiej odległości od należących do mego ludu wybrzeży, pewien nikczemnik zebrał wielką bandę, składającą się z wyrzutków ze wszystkich plemion. Są wśród nich także Sagothowie, wysłani przez Mahary jako pomoc dla Nikczemnego.

Ta banda napada na nasze wioski i ciągle rośnie w siłę, gdyż Mahary darują wolność wszystkim mężczyznom, którzy przyrzekną walczyć w jej szeregach przeciwko ich wrogom. Mahary chcą utworzyć armie, składającą się z ludzi, jaką mogłyby wystawić przeciwko nowemu imperium, o którym informacji przybyłem tu szukać. Tego wszystkiego dowiedział się jeden z naszych wojowników, który udawał sympatie dla bandy i jej celów, a potem zbiegł przy pierwszej okazji.

— Kim może być człowiek — spytałem Ghaka — który w tak podły sposób działa przeciwko własnej rasie?

— Nazywa się. Hooja — odezwał się Kolk, odpowiadając na moje pytanie.

Wymieniliśmy z Ghakiem spojrzenia. Na jego twarzy malowała się wielka ulga, wypełniła ona również moje serce. Wreszcie otrzymaliśmy konkretną wskazówkę na temat miejsca, w którym przebywał Hooja — a wraz z tą wskazówką pojawił się przewodnik!

Jednak kiedy poruszyłem ten temat, Kolk potrząsnął przecząco głową. Tonem usprawiedliwienia wyjaśnił, iż przebył długą drogę, by zobaczyć się ze swą siostrą i porozmawiać z Dakorem. Jego ojciec dał mu w tej materii ścisłe instrukcje, których nie mógł ignorować. Jednak mimo tego wróciłby ze mną i wskazałby mi drogę do wyspy, gdybyśmy dzięki temu mogli cokolwiek osiągnąć.

— Ale to nic nie da — powiedział. — Hooja jest bardzo potężny. Ma tysiące wojowników. Wystarczy, iż przekaże wiadomość swym sojusznikom Maharom, a otrzyma do swej dyspozycji niezliczone hordy Sagothów, których będzie mógł posłać przeciw swym wrogom — ludziom.

Poczekajmy, aż będziecie mogli zebrać wśród królestw waszego imperium równie liczną armie. Wtedy podejmiemy przeciwko Hooji wyprawę, mającą szansę powodzenia.

Ale najpierw musimy go zwabić na kontynent, gdyż kto spośród was wie jak zbudować te dziwne rzeczy, które Hooje i jego bandę przenoszą przez wodę? My nie jesteśmy wyspiarzami. Nic o tych rzeczach nie wiemy.

Nie mogłem od niego uzyskać więcej poza wskazówką dotyczącą kierunku, w jakim należy podróżować. Pokazałem mu moją mapę, obejmującą teraz wielki obszar, rozciągający się od Anorok na wschodzie do miejsc, położonych daleko na zachód od Sari i od rzeki płynącej na południe, od

Chmurnych Wierchów aż do Amoz na północy. Gdy tylko wyjaśniłem mu jej przeznaczenie, wyrysował palcem linie, odpowiadającą ukształtowaniu wybrzeża morskiego na zachód i południe od Sari oraz zaznaczył wielki okrąg, który jak powiedział, stanowił granice Krainy Straszego Cienia, na terenie której leży Thuria.

Byłem zdecydowany natychmiast wyruszać, mimo iż zarówno Ghak, jak i Kolk starali się mnie od tego zamiaru odwieść. Poświęciłem jedynie trochę czasu na sporządzenie kopii mojej mapy. Dałem ją Ghakowi z prośbą o przekazanie Perry'emu, by staruszek mógł do swej mapy dodać wszystkie obszary, które zaznaczyłem od chwili naszego rozstania. Zostawiłem mu również list, w którym między innymi wysunąłem teorie, że Sojar Az, lub Wielkie Morze, które zgodnie ze słowami Kolka rozciąga się na wschód od Thurii może istotnie jest tym samym potężnym oceanem, otaczającym południowy skraj kontynentu. Sięga ono na północ, wzdłuż wybrzeża w pobliżu Phutry, a następnie łączy swe wody z wielką zatoką, nad którą położone są Sarii, Amoz i Greenwich.

Wierząc, że teoria ta mogła się okazać prawdziwa, nalegałem, aby Perry przyspieszył budowę floty małych łodzi żaglowych, których moglibyśmy użyć, gdyby zwabienie Hooji na kontynent było niemożliwe.

Powiedziałem Ghakowi co zawiera mój list i poleciłem, aby najszybciej, jak to możliwe zawarł nowe przymierza z różnymi królestwami imperium, zebrał armie i wymaszerował z nią w stronę Thurii.

Kolk dał mi znak dla swego ojca — kawałek kości, na którym prymitywnie wyrzeźbiono lidi, zwierze juczne, a pod nim sylwetkę człowieka i kwiat — całość była może bardzo topornie wykonana, niemniej tego typu znaki doskonale spełniały swoje zadanie jak się niejednokrotnie przekonałem w czasie mego długiego przebywania wśród prymitywnych plemion Pellucidaru.

I tak, uzbrojony w list uwierzytelniający i mój mały arsenał, wyruszyłem samotnie na poszukiwanie mojej najdroższej na obu światach dziewczyny.

Nie wiem jak dużo czasu zajęła mi ta wędrówka i tylko połowicznie mogłem doceniać piękno krajobrazów, które otwierały się przede mną w czasie każdego nowego przemarszu, gdyż moje serce wypełnione było tylko jednym wspomnieniem, wspaniałej dziewczyny, o wielkich, ciemnych oczach, dzielnie spoglądających z okolonej kruczoczarnymi włosami twarzy.

Dopiero, gdy minąłem górę i znalazłem się nad rzeką, zauważyłem po raz pierwszy wiszący świat — maleńkiego satelitę, zawieszzonego nad powierzchnią Pellucidaru i rzucającego cień stale na ten sam obszar, który tutaj zwany jest Krainą Straszego Cienia. Na terenie tej właśnie Krainy znajduje się Thuria.

Patrzyłem z takiej odległości i pod takim kątem, że dzienny księżyc Pellucidaru pokazywał mi jedną półkulę oświetloną, a drugą pogrążoną w cieniu. Pod nim, na powierzchni ziemi, wyraźnie widniała ciemna, okrągła plama — obszar, na którym słońce nigdy nie świeciło. Księżyc widziany z tego miejsca, w którym stałem, wydawał się wisieć tak nisko nad ziemią, jakby niemal jej dotykał. Później dowiedziałem się, że unosi się o jedną milę nad Pellucidarem — co zdaje się być rzeczywiście bardzo niewielką odległością jak na księżyc.

Dostrzegłem jego łańcuchy górskie i doliny, oceany, jeziora i rzeki, jego rozległe, trawiaste równiny i gęste lasy. Jednak odległość była zbyt duża, a cień, zasnuwający zwróconą ku Pellucidarowi półkulę zbyt głęboki, abym mógł zauważyć jakikolwiek ruch, który mógłby świadczyć o istnieniu tam zwierząt.

Natomiast obudziła się we mnie ogromna ciekawość. Widok tej planety tak prowokująco bliskiej, zrodził we mnie liczne i niestety nie mające odpowiedzi pytania.

Czy jest zamieszkała?

A jeśli tak, to przez istoty jakiego rodzaju, jak wyglądające?

Obserwując wiszącą nad mną głową planetę, zauważyłem, że obraca się ona wokół osi, leżącej równolegle od powierzchni Pellucidaru. Tak więc podczas każdego obrotu poszczególne punkty na jej powierzchni były najpierw zwrócone ku światu poniżej, a potem kąpały się w gorących promieniach słońca. Ten mały świat posiadał to, czego nie mógł mieć Pellucidar — dzień i noc, a więc również największe dobrodziejstwo dla urodzonego w zewnętrznym świecie — czas.

Dostrzegłem w tym szansę ofiarowania czasu Pellucidarowi. Ogromny zegar, obracający się nieustannie w niebiosach, mógłby liczyć upływ godzin dla leżącej pod nim ziemi. Tutaj, w tym miejscu powinno zostać umieszczone obserwatorium, z którego raz dziennie poprawny czas byłby przekazywany telegrafem bez drutu do każdego zakątka imperium. Nie miałem wątpliwości, że ten czas może być dokładnie mierzony, gdyż na powierzchni księżycy była ogromna ilość charakterystycznych punktów i wystarczyło tylko skonstruować prosty instrument i oznaczać przejście danego punktu przez wziernik tego instrumentu.

Rzeka wprowadziła mnie tylko na niewielką odległość w głąb strefy cienia, a potem połączyła swe wody z Sojar Az. Poszedłem wybrzeżem na południe w stronę wioski Thurian, w której spodziewałem się znaleźć Goorka i wręczyć mu mój list uwierzytelniający.

Odszedłem niedaleko od ujścia rzeki, gdy dostrzegłem wielką wyspę, leżącą w pewnej odległości od brzegu. Domyśliłem się, że jest to twierdza Hooji. Byłem pewien, że w tym momencie przebywa na niej moja Dian.

Przeprawa stała się znacznie trudniejsza, gdyż wkrótce po opuszczeniu brzegu rzeki natknąłem się na strome wzgórze, poprzecinane licznymi fiordami długimi i wąskimi, z których każdy zmuszał mnie do poważnego nadkładania drogi. Lotem ptaka między ujściem rzeki a wioską Thurian było około dwudziestu mil, jednak zanim pokonałem połowę tego dystansu byłem całkowicie wyczerpany. Na skalistych zboczach wzgórz nie rosły żadne znajome owoce ani jadalne pnącza i prawdopodobnie z żywnością byłoby bardzo kiepsko, gdyby niemal tuż przed moim nosem nie wyskoczył z ukrycia zając.

Miałem ze sobą łuk, aby nie zużywać niepotrzebnie amunicji, ale małe zwierzątko było tak szybkie, że nie miałem czasu na założenie strzały i naciągnięcie cięciwy. Prawdę mówiąc mój obiad był już w odległości stu jardów ode mnie i zmykał jakby go goniło stado psów. Nie miałem innego wyjścia jak tylko wyciągnąć mego sześciostrzałowca. To był piękny strzał, a połączony z dobrym obiadem sprawił, iż byłem z siebie całkiem zadowolony.

Po posiłku położyłem się i zasnąłem. Gdy się zbudziłem już nie byłem z siebie tak dumny, gdyż ledwie otworzyłem oczy, zdałem sobie sprawę, że w odległości niecałych stu jardów ode mnie stoi sfora około dwudziestu wielkich półpsów-półwilków (Perry upierał się, by je nazywać hienodonami) a jednocześnie odkryłem, że w czasie snu skradziono mi rewolwery, karabin, strzały, łuk i nóż.

Sfora warczących bestii szykowała się, by na mnie runąć.

Rozdział VII

Z deszczu pod rynnę

Nie znoszę biegania i nigdy nie byłem dobrym biegaczem. Jeżeli jednak jakkolwiek sprinter kiedykolwiek pobił wszystkie światowe rekordy, to byłem nim ja, tego dnia, gdy wąskim, skalistym cyplem między dwoma fiordami uciekałem ku Sojar Az przed tymi straszliwymi bestiami. Gdy dotarłem do skraju cypla, najszybszy z potworów był już przy mnie. Skoczył i zacisnął swe potężne szczęki na moim ramieniu.

Siła bezwładności jego padającego na mnie ciała, zsumowana z moją własną, przeniosła nas poza krawędź. To był mrozący krew w żyłach upadek. Skąła wznosiła się niemal pionowo, morskie fale rozbijały się z hukiem o jej podnóże.

W czasie lotu raz obiliśmy się o jej powierzchnię, a potem runęliśmy w słoną otchłań. W chwili zderzenia z wodą hienodon puścił moje ramie.

Wynurzyłem się, wykastłując wodę i rozejrzałem za czymś, czego mógłbym się uczepić, by chwilę odpocząć. Niczego takiego nie mogłem w pobliżu dostrzec, popłynąłem więc w stronę ujścia fiordu.

Zauważyłem, że na przeciwległy brzeg erozja naniósł dostateczną ilość pokruszonych głazów, by uformowała się tam wąska plaża. Co sił popłynąłem w jej kierunku. Nie oglądałem się za siebie, gdyż podczas pływania każdy niepotrzebny ruch odbija się ujemnie na szybkości i powoduje przedwczesne zmęczenie. Dopiero gdy wygramoliłem się na plażę, zwróciłem oczy ku morzu w poszukiwaniu hienodona. Płynął w moją stronę powoli i z wyraźnym wysiłkiem.

Gdy był oddalony już tylko o około pięćdziesiąt jardów od brzegu, zniknął pod wodą. Uważnie przyglądałem się miejscu, w którym po raz ostami go widziałem — chwilę później jego łeb ponownie się wynurzył. Zawsze bardzo lubiłem psy, więc beznadziejne cierpienie, malujące się w tych zalewanych wodą ślepiach poruszyło w moim sercu jakąś strunę. Zapomniałem o tym, że jest to okrutny, pierwotny wilk — siejący popłoch i przerażenie ludożerca. Widziałem tylko smutne ślepia, które były tak podobne do oczu Radży, mego nie żyjącego już collie z zewnętrznego świata.

Nie traciłem czasu na zastanawianie się i rozważanie wszystkich za i przeciw. Innymi słowy — nie traciłem czasu na myślenie. Jest to, jak mniemam, cecha ludzi czynu, odróżniająca ich od tych, którzy dużo myślą, a nic nie robią. Skoczyłem z powrotem do wody i co sił popłynąłem w stronę tonącego zwierzęcia. Zauważył mnie i w pierwszej chwili odsłonił zęby, ale zanim do niego dopłynąłem ponownie poszedł pod wodę i musiałem za nim nurkować.

Chwyciłem go za skórę na karku i chociaż ważył tyle, co kucyk szetlandzki, udało mi się dociągnąć go do brzegu i wywlec spory kawałek w głąb plaży. Tam stwierdziłem, że jedna z jego przednich łap jest złamana — musiało się to stać w chwili zderzenia ze ścianą skalną.

Opuściła go już wszelka chęć walki, więc gdy zerwałem kilka niewielkich gałązek z karłowatych drzew, które rosły w pęknięciach i przyniosłem je, pozwolił mi nastawić łapę i unieruchomić ją między tymi zaimprovizowanymi łupkami. By zdobyć kawałek bandaża, musiałem oderwać część mojej koszuli. W końcu uporałem się z opatrunkiem. Potem usiadłem i zacząłem poklepywać go po łbie i przemawiać do niego tym ludzko-psim językiem, który musicie znać, jeśli kiedykolwiek posiadaliście i kochaliście psa.

Na szczęście po powierzchni jednego z kamiennych murów spływał niewielki strumyczek, zapewniając nam dostateczną ilość pitnej wody. Hienodonowi napełniłem nią dużą muszlę, jedną z wielu, jakie leżały wśród kamieni naszej plaży i postawiłem obok niego.

Nie upłynęło wiele czasu, a złamana łapa hienodona zagoiła się na tyle, iż mógł wstać i kuśtykać po plaży na trzech pozostałych. Nigdy nie zapomnę, z jak wielkim zainteresowaniem śledziłem jego pierwszą próbę. Tuż obok mnie leżały kamienie. Hienodon powoli wstał, podpierając się trzema zdrowymi łapami, przeciągnął się, chlepnął wody ze stojącej obok muszli, odwrócił się i spojrzał na mnie. Przyglądał mi się przez chwilę, a potem poczłapał w stronę skał.

Trzykrotnie przemierzył całą długość naszego więzienia, szukając, jak myślę, jakiejś szczeliny, przez którą mógłby uciec. Nic nie znalazłszy, wrócił do miejsca, w którym siedziałem. Powoli podszedł do mnie na bardzo niewielką odległość. Obwąchał moje buty, sztylpy i ręce, a potem położył się z powrotem o kilka kroków dalej.

Teraz, gdy znowu był już niemal całkowicie sprawny, zacząłem się głębiej zastanawiać, czy przypadkiem uleganie odruchowi litości nie było z mojej strony zbyt wielką lekkomyślnością.

Jak miałem spać, gdy ta okrutna bestia przemierza niewielką przestrzeń naszego więzienia?

Zamykałem oczy, a gdy je otwierałem wydawało mi się, że ta potężna paszcza zaciska się na moim gardle. Ujmując to krótko — czułem się trochę nieswojo.

Jednak w końcu musiałem trochę się przespać. Nie mogłem już dłużej zmuszać zmęczonego organizmu do czuwania i chcąc nie chcąc, gdy jak zwykle siedziałem i patrzyłem na morze, po prostu zasnąłem.

Obudziłem się i natychmiast zeszywniałem, gdyż poczułem na sobie ciężar jakiegoś ciała. W pierwszej chwili pomyślałem, że hienodon w końcu zdecydował się mnie zaatakować, gdy jednak otworzyłem oczy i uczyniłem wysiłek, by się podnieść stwierdziłem, iż jestem przygniatany przez usiłującego mnie przytrzymać człowieka. Trzech innych pochylało się nad nami.

Człowiek, Wory na mnie leżał, trzymał mnie bardzo niefachowo, zostawiając mi sporą swobodę ruchów. Nie wahałem się tego wykorzystać i zanim zdołał się zorientować, że już nie śpię, stałem na równych nogach. Złapawszy go jedną ręką za ramiona, a drugą za talię, przerzuciłem nad głową, wkładając w to całą swoją siłę. Wylądował na kamienistej powierzchni plaży i tak już pozostał.

Podnosząc się, kątem oka zauważyłem, że hienodon śpi kilka jardów dalej, skryty za głazem. Jego kolor tak zlewał się z kolorem otaczających skał, iż nawet ja z trudnością go dostrzegłem, a napastnicy najwyraźniej w ogóle go nie zauważyli.

Ledwo uwolniłem się od jednego przeciwnika, a już musiałem stawić czoła trzem następnym. Nie zachowywali już ciszy — runęli na mnie wznosząc dzikie okrzyki. I to był ich błąd. Nie wyciągnęli broni, z czego wywnioskowałem, że chcą mnie wziąć żywego — ja jednak walczyłem z taką zaciekłością, jakby śmierć zaglądała mi prosto w oczy.

Walka była krótka, gdyż zanim pierwsze wrzaski napastników przetoczyły się przez skalisty fiord i zanim zdołali mnie otoczyć, wpadł między nas rozwścieczony hienodon!

W mgnieniu oka przewrócił najbliższego mężczyznę i złapawszy go zębami za szyję, złamał mu kark. Potem rzucił się na następnego. Napastnicy, starając się unikać szalejącego zwierzęcia, zupełnie zapomnieli o mnie, dając mi w ten sposób chwilę czasu. Wykorzystałem ją na odczepienie noża od pasa tego, który padł jako pierwszy. Natychmiast użyłem go przeciw następnemu z nich. Niemal jednocześnie hienodon powalił ostatniego z wrogów i jednym kłapnięciem swych budzących przerażenie szczek zmiażdżył mu czaszkę.

Przewiązana łapa najwyraźniej niezbyt mu w walce przeszkadzała, jednak gdy zaspokoił głód, położył się i zębami zaczął szarpać bandaż. Siedziałem w pewnej odległości, jedząc skorupiaki,

których nawiasem mówiąc, zaczynałem już mieć po dziurki w nosie.

Po pewnym czasie hienodon podniósł się i podszedł do mnie. Nie wykonałem żadnego ruchu. Zatrzymał się tuż przede mną, podniósł obandażowaną łapę i położył mi ją na kolanach. Było to równie wymowne jak słowa — chciał, bym mu zdjął opatrunek.

Wziąłem jego łapę w jedną dłoń, a drugą rozwiązałem i odwinałem bandaż. Potem zdjąłem łupki i obmacałem miejsce złamania. O ile mogłem się zorientować, kość była już całkowicie zrosnięta, a zrost wydawał się być dostatecznie mocny — gdy spróbowałem łapę lekko wygiąć, hienodon drgnął, jednak nie zawarczał, ani nie usiłował się wyrwać. Bardzo powoli i delikatnie rozmasowywałem, a potem przez kilka chwil uciskałem zrosnięte miejsce.

Skończywszy te zabiegi, spokojnie usiadłem na ziemi. Hienodon obszedł mnie kilkakrotnie wokół i położył się obok, opierając się o mnie swym cielskiem. Położyłem dłoń na jego łbie. Nie poruszył się. Powoli podrapałem go za uszami, po szyi i niżej, po potężnych szczekach. Jediną jego reakcją było podniesienie policzka, by mi było wygodniej go głaskać.

To wystarczyło! Od tej chwili już nigdy nie miałem wobec Radży, jak go natychmiast nazwałem, żadnych podejrzeń. Zniknęło również uczucie osamotnienia — miałem przecież psa! Od dawna wypełniało mnie niejasne uczucie, że na Pellucidarze czegoś mi brakuje i nigdy nie mogłem sobie do końca uświadomić czego, teraz wiedziałem, że to uczucie było powodowane brakiem zwierząt domowych.

Tutejszy człowiek nie osiągnął jeszcze tego stadium rozwoju, na którym mógłby poświęcać czas nie tylko na zabijanie i unikanie własnej śmierci, ale również na zyskiwanie przyjaciół wśród bardziej prymitywnych stworzeń. Muszę wnieść do tego stwierdzenia małą poprawkę — jest ono prawdziwe tylko w odniesieniu do tych plemion, które poznałem najlepiej. Thurianie udomowili ogromne lidi i przemierzali wielkie Równiny Lidi na grzbietach tych groteskowych, zdumiewających stworzeń. Prawdopodobnie gdzieś w tym wielkim świecie żyli jeszcze inni ludzie, którym udało się może poskromić dzikich mieszkańców dżungli, równin lub gór.

Siedząc na brzegu tego niewielkiego fiordu i jedząc coraz bardziej mi wstrętne skorupiaki, zacząłem się zastanawiać, jak to się stało, że czterech dzikusów mogło się do mnie dostać, podczas gdy ja nie byłem w stanie opuścić tego uformowanego przez naturę więzienia. Zacząłem rozglądać się poszukując wyjaśnienia. W końcu mój wzrok zatrzymał się na fragmencie niewielkiego czółna, wystającego nie więcej niż na stopę z za dużego, do połowy zanurzonego w wodzie głazu.

Zepchnąłem łódkę na wodę, wszedłem do środka i zawołałem Radżę. Z początku nie rozumiałem czego od niego żądam, jednak gdy odpłynąłem kilka jardów od brzegu, wskoczył do wody i popłynął za mną. Gdy dotarł do łodzi, chwyciłem go za skórę na karku i z niemałym wysiłkiem, kilkakrotnie niemal wywracając czółno do góry dnem, wciągnąłem go do środka. Otrząsnął się energicznie, a potem ułożył na dziobie.

Po wypłynięciu z fiordu powiosłowałem wzdłuż brzegu na południe. Wkrótce strome, ostre skały ustąpiły miejsca krainie niższej i bardziej płaskiej. To właśnie gdzieś w tej okolicy powinienem się natknąć na główną wioskę Thurian. Gdy po pewnym czasie zauważyłem dość daleko przed nami coś, co wziąłem za rozsiadłe na niskim brzegu chaty, szybko powiosłowałem ku lądowi, bowiem nie znałem dostatecznie dobrze ich plemiennych obyczajów i nie wiedziałem czy, mimo otrzymanego od Kolka listu uwierzytelniającego, spotkam się z przyjaznym przyjęciem. Na wszelki wypadek wołałem mieć ukrytą w pobliżu łódkę, by móc kontynuować podróż na wyspę, gdyby okazali się wrogo nastawieni i oczywiście pod warunkiem, że udałoby mi się uciec z ich rąk.

W miejscu, do którego przybiłem, brzeg był zupełnie płaski. Tuż za plażą wyrastał las białych, karłowatych paproci. Wyciągnąłem łódkę na ląd, chowając ją w zaroślach, a na plaży ustawiłem

niewielką pryzmę kamieni, by zaznaczyć położenie mego schowka. Potem poszedłem w stronę wioski Thurian.

Po drodze zastanawiałem się jak może zareagować Radża, gdy znajdzie się w obecności innych niż ja, ludzi. Dreptał przy mym boku, bezustannie węsząc i rozglądając się wokół — nic nigdy nie mogłoby go zaskoczyć!

Ciekaw byłem, czy dałby sobie założyć smycz. Szedł przy mnie, z łbem na wysokości mojego biodra. Gdy delikatnie położyłem na nim dłoń zwrócił go ku górze i spojrzał mi w twarz, rozchylając szczęki i wywieszając język, zupełnie jak pieszczony pies.

Nagle Radża gniewnie warknął i zatrzymał się, jakby nagle zamieniony w kamień. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że sierść jeży mu się wąskim paskiem wzdłuż kręgosłupa. Jego żółto-zielone ślepia utkwione były w jeden punkt karłowatej dżungli, ciągnącej się po naszej prawej stronie.

Chwilę później zobaczyłem oczy, przyglądające się nam zza zarośli. Zrobiłem krok w ich stronę — w tym samym momencie z paproci wyskoczył młody mężczyzna i pospiesznie uciekł w kierunku, w którym szliśmy. Radża szarpnął się, chcąc skoczyć za nim, ale mocno złapałem go za szyję i przytrzymałem na miejscu. Nie był z tego zbyt zadowolony, gdyż zwrócił się ku mnie z obnażonymi kłami.

Uznałem, że ta chwila jest równie dobra jak każda inna na to, by sprawdzić jak silne było w rzeczywistości jego przywiązanie. Jeden z nas musiał być panem i logika wskazywała tu na mnie. Gdy warknął, mocno uderzyłem go w nos. Przez chwilę patrzył na mnie zaskoczony i jakby z niedowierzaniem, potem znów zawarczał. Powtórzyłem uderzenie, spodziewając się, że tym razem skoczy mi do gardła. Jednak zamiast tego zaskomlił i zwiesił łeb.

Radża był poskromiony!

Poklepałem i pogłaskałem go pieszczotliwie. Potem odciąłem kawałek liny, która wchodziła w skład mego wyposażenia, zrobiłem smycz i założyłem mu ją na szyję.

I znów ruszyliśmy w stronę Thurii. Młodzieniec, który nas wysledził, niewątpliwie pochodził właśnie stamtąd. Wkrótce, gdy wyszliśmy na wolną przestrzeń, na której znajdowała się wioska, uzyskałem dowód na to, iż nie tracił czasu i czym prędzej powiadomił swych ziomków o naszym nadejściu. Nawiasem mówiąc, była to pierwsza prawdziwa, zbudowana ludzkimi rękami wieś, jaką widziałem na Pellucidarze. Otaczała ją nierówna, prostokątna palisada z pni drzew i kamieni, wewnątrz której stało około stu pokrytych strzechą chat wykonanych z podobnego budulca. Bramy w ogóle nie było. Nad palisadą przechodzono przy pomocy drabin, które mogłyby być wciągnane na noc do środka.

Zostaliśmy zauważeni, gdy wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Wojownicy natychmiast rozpoczęli ożywioną wymianę zdań. Ich oczy były okrągłe ze zdumienia. Domyśliłem się, iż nie tylko ze względu na mój dziwny ubiór, ale również dlatego, że wędrowałem w towarzystwie jaloka, tak bowiem Pelucidarczycy nazywają hienodona.

Radża szarpał smycz, warcząc i pokazując długie, białe kły. Zdaje się, że z niczego nie byłby tak zadowolony, jak z możliwości dobrania się temu całemu zgromadzeniu do gardeł. Jednak ja, mimo iż musiałem wkładać w to całą swoją siłę, pewnie trzymałem go na uwięzi. Wolną dłoń uniosłem nad głową, wewnętrzną stroną do przodu, sygnalizując w ten sposób pokojowy charakter mej misji.

Zauważyłem młodzieńca, który nas odkrył. Stał nieco z tyłu, a ze sposobu, w jaki się zachowywał wywnioskowałem, że jest bardzo przejęty swą własną ważnością. Wszyscy zgromadzeni wojownicy byli bardzo przystojnymi mężczyznami, jakkolwiek trochę niższymi i bardziej barczystymi niż Amozyci czy Sarianie. Również ich skóra miała nieco jaśniejszy kolor, co bez wątpienia było wynikiem spędzania większości życia w cieniu świata wiszącego od wieków nad ich krainą.

Z przodu, wysunięty przed innych, stał brodaty, obwieszony dużą ilością ozdób, mężczyzna. Nie musiałem pytać, by wiedzieć, że jest to ich wódz. Właśnie do niego się zwróciłem.

— Jestem Dawid — powiedziałem — Imperator Zjednoczonych Królestw Pellucidaru. Pewnie o mnie słyszałeś?

Skinął głową potwierdzająco.

— Przybywam z Sari — kontynuowałem — gdzie niedawno spotkałem Kolka, syna Goorka. Otrzymałem od niego znak dla jego ojca, który potwierdzi, że jestem przyjacielem.

Wojownik znów skinął głową.

— To ja jestem Goork — powiedział. — Gdzie jest znak?

— Tutaj — odpowiedziałem i włożyłem rękę do torby.

Goork i jego ludzie czekali w milczeniu. Moja ręka przeszukiwała wnętrze torby.

Było puste!

Znak został mi skradziony razem z bronią!

Rozdział VIII

W niewoli

Gdy Goork i jego ludzie zobaczyli, że nie posiadam znaku, zaczęli się prześcigać w oskarżaniu mnie.

— Wcale nie przychodzisz od Kolka, tylko od Przebiegłego! — krzyczeli. — Przysłał cię z wyspy, abyś nas szpiegował! Odejdź stąd, albo cię zabijemy!

Próbowałem im wytłumaczyć, że skradziono mi wszystko, co miałem przy sobie i że złodziej musiał również zabrać znak. Jednak nie uwierzyli mi. Dowodem na to, że jestem jednym z ludzi Hooji, stwierdzali, jest moja broń, zdobiona według wzoru, który obowiązywał w bandzie z wyspy. Ponadto żaden dobry człowiek nie wzięłby sobie za towarzysza jaloka.

Radza musiał wyczuwać ich nastrój, gdyż cały czas szarpał smycz i warczał wyzywająco. Widać było, że trochę się go obawiali, gdyż trzymali się w bezpiecznej odległości. Najwyraźniej nie potrafili pojąć, jak to się dzieje, że ta dzika bestia nie rzuca się na mnie i nie rozszarpuje na strzępy.

Straciłem sporo czasu, usiłując przekonać Goorka, by mi uwierzył na słowo, lecz był na to zbyt ostrożny. Wszystko, co mógł dla nas zrobić, to ofiarować nam pożywienie i wskazać tę część wyspy, do której przybicie będzie najbezpieczniejsze. Wiedziałem, że gdy mi ją pokazywał, był przekonany, iż moja prośba o informacje jest tylko kamuflażem, za pomocą którego chce go oszukać i ukryć mą prawdziwą wiedzę na temat siedziby Przebiegłego.

W końcu odszedłem stamtąd — bardzo rozczarowany, gdyż liczyłem na to, iż uda mi się zebrać wśród nich znaczną siłę, z pomocą której mógłbym napaść na bandę Hooji i uwolnić Dian. Z Radzą u boku ruszyłem wzdłuż wybrzeża, z powrotem ku ukrytej łodzi.

Gdy wreszcie do niej dotarliśmy, poczułem się piesko zmęczony. Rzuciłem się na piasek i wkrótce zapadłem w głęboki sen, a świadomość, że Radza czuwa przy mnie dała mi takie poczucie bezpieczeństwa, jakiego już dawno nie zaznałem.

Obudziłem się wspaniale wypoczęty. Gdy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że Radza wpatruje się we mnie. Gdy zauważył, że się obudziłem, wstał, przeciągnął się i nie oglądając się za siebie, zanurkował w dżungle. Przez kilka minut słyszałem jak z trzaskiem przedzierał się przez gęste zarośla. A potem nastąpiła cisza.

Zastanawiałem się, czy odszedł, by powrócić do swej dzikiej kompanii. Nagle ogarnęło mnie uczucie ogromnego osamotnienia. Z westchnieniem poszedłem ku kryjówce, by zabrać się do ściągania czołna na wodę. Gdy się do niego zbliżyłem, spod jednej z burt wyskoczył zając. Dobrze wymierzony rzut włócznią przyszpilił go do ziemi. Byłem bardzo głodny, z czego dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, rozpałem więc niewielkie ognisko, upiekłem zdobycz i zjadłem ją niemal w całości. Gdy resztki posiłku zniknęły w moim żołądku, znów zająłem się przygotowaniami do wyprawy na wyspę.

Nie miałem pewności czy Dian się na niej znajduje, opierałem się tylko na przypuszczeniu. Nie wiedziałem również, jakie przeszkody napotkam na drodze ku jej uwolnieniu. Przez pewien czas po ściągnięciu canoe na wodę kręciłem się jeszcze po plaży w nadziei, że Radza wróci. Nie doczekałem się go jednak, przepchnąłem więc łódkę przez przybrzeżną mieliznę i wskoczyłem do środka.

Byłem trochę przygnębiony ucieczką mego nowo pozyskanego przyjaciela, mimo iż starałem się sobie wmówić, że od początku mogłem oczekiwać tylko tego.

Wiosłowałem ku południowo-zachodniemu skrajowi wyspy, który według Goorka był rejonem najrzadziej przez bandę odwiedzanym. Nigdy nie widziano tam żadnych łodzi. Wkrótce spostrzegłem skrytą tuż pod powierzchnią wody rafę, ciągnącą się daleko w morze, a na wyspie strome, skaliste urwisko, niemal graniczące z morskimi falami. Było to miejsce bardzo niedogodne dla żeglugi i teraz już rozumiałem dlaczego tubylcy go nie wykorzystywali. Jednak w końcu, dobrze się przy tym napociwszy, zdołałem doprowadzić czółno do brzegu, a potem wspiąć się na skały.

Po przejściu stosunkowo krótkiego odcinka, gdy mijalem niewielki zagajnik, rozciągający się u stóp jednego z płaskich wzgórz, odniosłem wrażenie, że jestem obserwowany. Życie na Pellucidarze wyostrzyło moje podstawowe zmysły — wzrok, słuch, węch — ale również obudziło z uspienia prymitywną intuicję czy też instynkt, które u ludzi, żyjących w cywilizowanych warunkach zdają się być mocno przytłumione. Jednak, jakkolwiek byłem pewien, że spoczywają na mnie czyjeś oczy, nie mogłem dostrzec w tym zagajniku żadnych innych żywych stworzeń poza licznymi, kolorowo upierzonymi ptakami i małymi małpkami, które buszowały z wielkim ożywieniem w koronach drzew.

Mocniej chwyciłem w dłoń maczugę i zdjąłem z ramienia włócznię, przekładając ją do lewej ręki. Rozglądałem się na prawo i lewo, ale niczego nie udało mi się dostrzec. A potem, zupełnie niespodziewanie, na moje ramiona i szyję spadły giętkie, splecione z łyka liny.

W mgnieniu oka byłem tak kompletnie oplatany, jak to tylko było możliwe. Jedna z pętli opadła mi do kolana i gwałtownie szarpnięta ku górze przewróciła mnie twarzą na ziemię. Potem na plecy wskoczyło mi coś ciężkiego i włochatego. Starałem się wyszarpnąć nóż, jednak owłosione dłonie chwyciły mnie za nadgarstki i wykręciwszy mi ręce do tyłu, starannie je spętały.

Następnie zostały związane moje stopy. Potem odwrócono mnie na plecy i mogłem spojrzeć w twarze tych, którzy mnie pojмали. Cóż to były za oblicza! Wyobraźcie sobie, jeśli potraficie, skrzyżowanie owcy z gorylem, a będziecie mieli przybliżone pojęcie o fizjonomii kreatury, która się nade mną pochylała, a także o wyglądzie pół tuzina pozostałych, zbierających się teraz wokół mnie. Miały długie, owcze pyski i wielkie oczy oraz potężne karki i ostre kły goryli. Ich ciała i kończyny były w równym stopniu ludzkie, jak małpie. Spytałem ich, co mają zamiar ze mną zrobić, jednak oni, podobnie jak nasi północnoamerykańscy Indianie, gdy są nagabywani przez białego, udali że nie rozumieją. Jeden z nich zarzucił mnie z łatwością na ramie jak prosiaka. Był to potężny osobnik, liczący podobnie jak jego ziomkowie, pełne siedem stóp wzrostu i ważący zapewne ponad ćwierć tony.

Dwóch z nich szło przed nim, a trzech z tyłu. Idąc w takim szyku, przecięli zagajnik i skierowali się wprost ku podnóżu wzgórza, którego strome skały zdawały się zagradzać dalszą drogę. Jednak moi strażnicy nie zawahali się nawet przez chwilę. Zaczęli się wspinać na te, zdawałoby się niedostępną, stromiznę jak mrówki na ścianę, czepiając się, Bóg jedyny raczy wiedzieć jak, nierówności na jej pionowej powierzchni. Muszę przyznać, że niemal przez cały czas tej krótkiej wspinaczki włosy stały mi dęba na głowie. Jednak w końcu weszliśmy na górę i stanęliśmy na płaskiej powierzchni, która ją wieńczyła.

Natychmiast ze wszystkich stron, z prymitywnych ziemianek i skalnych nor zaczął się wylewać wartki strumień istot, podobnych do tych, które mnie schwytały. Gromadziły się wokół nas, pokrzykując na moich strażników i usiłując dosięgnąć mnie łapami — nie dowiedziałem się czy z ciekawości, czy też chcąc uczynić mi krzywdę, gdyż moja eskorta odganiała wszystkich odsłaniając kły i torując sobie drogę silnymi uderzeniami.

Szliśmy teraz płaskowyżem aż zatrzymaliśmy się przed wielką stertą kamieni, z widniejącym w

środku otworem. Moi strażnicy postawili mnie na ziemi i krzyknęli coś, co zabrzmiało jak „Gr-gr-gr!”. Później dowiedziałem się, że było to imię ich króla.

Z głębi jaskini wyłonił się osobnik monstualnych rozmiarów, o skórze poznaczonej bliznami z setek bitew i niemal pozbawionej włosów oraz z pustym otworem, ziejącym w miejscu, w którym powinno się znajdować jedno z oczu. Drugie miało wyraz łagodny jak u owcy, co w sposób zadziwiający kontrastowało z obliczem, które poza tym było tak przerażające, jakby wyjęto je z koszmarnego snu.

Ogromny człowiek-bestia usiadł na płaskim kamieniu — jak sędzę tronie — leżącym tuż przed wejściem do jaskini. Z łokciami opartymi o kolana i głową spoczywającą na dłoniach przyglądał mi się uważnie swym jedynym, pełnym owczej łagodności okiem, słuchając jednocześnie relacji o tym, jak mnie pojmano.

— Jesteś wrogiem — brzmiało wstępne twierdzenie Gr-gr-gr. — Należysz do plemienia Hooji.

Acha, więc znali Hooje i był on ich wrogiem! Dobrze!

— Jestem wrogiem Hooji — odpowiedziałem. — Ukradł moją małżonkę, a ja przybyłem tutaj, by ją odebrać i ukarać złodzieja.

— Jakim sposobem chciałeś tego dokonać w pojedynkę?

— Nie wiem — odpowiedziałem — jednak próbowałbym, gdybyście mnie nie pojмали. Co zamierzacie ze mną zrobić?

— Będziesz dla nas pracował.

— Nie zabijecie mnie? — spytałem.

— Zabijamy tylko w obronie własnej — odpowiedział — i wtedy, gdy chcemy kogoś ukarać. Zabijamy tych, którzy nas chcą zabić i tych, którzy źle postępują. Gdybyśmy wiedzieli na pewno, że jesteś jednym z ludzi Hooji, zabilibyśmy cię, gdyż wszyscy ludzie Hooji są źli. Ty jednak twierdzisz, że jesteś jego wrogiem. Być może to kłamstwo, ale dopóki się nie upewnimy, że skłamałeś, nie zabijemy cię. Będziesz pracował.

— Jeżeli tak nienawidzicie Hooji — powiedziałem — dlaczego nie pozwolicie mi, który podzielam waszą nienawiść, pójść i ukarać go?

Przez pewien czas Gr-gr-gr siedział nieruchomo, zatopiony w myślach. Potem podniósł głowę i zwrócił się do moich strażników.

— Zaprowadźcie go do pracy — rozkazał.

Zabrzmiało to jak ostateczna decyzja. Jakby chcąc jeszcze podkreślić jej nieodwołalność, odwrócił się i wszedł do swej jaskini. Strażnicy poprowadzili mnie w głąb płaskowyżu, gdzie zobaczyłem niewielką depresję czy też dolinkę, z gorącym źródłem tryskającym na jednym z jej końców.

Widok, który roztoczył się przed moimi oczyma był najbardziej zaskakującym, jaki kiedykolwiek oglądałem. Dolinka, która miała powierzchnie może kilkuset akrów, podzielona była na liczne poletka, na których pracowało, posługując się prymitywnymi narzędziami lub nawet w ogóle bez narzędzi, gołymi rękami, wielu z tych dzikich, pierwotnych ludzi. To było rolnictwo — pierwsze z jakim zetknąłem się na Pellucidarze.

Polecono mi uprawiać zagon melonów. Nigdy nie byłem farmerem, ani też nie lubiłem tego rodzaju pracy i muszę wyznać, że podczas tej godziny czy roku, które przy niej spędziłem, czas dłużył mi się jak nigdy dotąd. Nie wiem, oczywiście, ile to naprawdę trwało, ale na pewno za długo.

Istoty, które pracowały wokół mnie były prostoduszne i nastawione niemal przyjaźnie. Jedna z nich okazała się być synem Gr-gr-gr, który złamał jakiś pomniejszy plemienny zakaz i odpracowywał w polu swoją karę. Powiedział mi, że jego plemię zamieszkiwało to wzgórze od niepamiętnych

czasów i że podobne do nich plemiona zamieszkują szczyty wielu innych wzgórz. Nie toczyli wojen i zawsze żyli w przyjaźni i harmonii, a jedyne zagrożenie stanowiły większe drapieżniki. Było tak aż do chwili pojawienia się pod wodzą kreatury, zwanej Hooja, istot, należących do tego gatunku. Zaczęły one napadać i zabijać tych, którzy schodzili ze swych naturalnych fortec, by odwiedzić krewnych czy przyjaciół na innych wzgórzach.

Teraz jeszcze się go obawiali, ale któregoś dnia zbiorą się razem, napadną na Hooje i jego bandę i wszystkich wybiją do nogi. Wyjaśniłem mu, że jestem wrogiem Hooji i prosiłem, bym mógł, gdy będą już gotowi do wyprawy, iść razem z nimi lub, co by było jeszcze lepsze, by mi pozwolili wyruszyć wcześniej i dowiedzieć się wszystkiego o wiosce, w której Hooja mieszkał. W ten sposób ich atak będzie miał większe szansę powodzenia.

Wydało się, że moja propozycja zrobiła na synu Gr-gr-gr duże wrażenie. Obiecał mi, że gdy skończy się jego praca na polu, porozmawia o tym z ojcem.

Niedługo potem do miejsca, w którym pracowaliśmy przyszedł Gr-gr-gr i syn opowiedział mu o mojej propozycji. Jednak stary pan najwyraźniej nie był w dobrym humorze, gdyż odepchnął młodzieńca, a mnie poinformował, iż jest przekonany, że skłamałem i w rzeczywistości jestem jednym z ludzi Hooji.

— W związku z tym — zakończył — zabijemy cię natychmiast po tym, jak skończysz prace przy melonach. Pośpiesz się więc.

I rzeczywiście się pośpieszyłem. Z zapałem wziąłem się za pielęgnację chwastów, które rosły między melonami — tam, gdzie wyrastał jeden niewielki i chory, sadziłem dwa zdrowe. Gdy znajdowałem jakieś szczególnie obiecujące chwasty, rosące poza moim polem melonów, natychmiast starannie je wykopywałem i przesadzałem.

Wydawało się, iż nikt nie zauważył mojej przewrotności. Zawsze widziano mnie pilnie pracującego na zagonie melonów, a ponieważ czas jest dla mieszkańców Pellucidaru pojęciem zupełnie nieznanym — nawet dla ludzi, a tym bardziej dla gatunków niższych — mógłbym dzięki temu fortelowi żyć jeszcze bardzo długo, gdyby nie zdarzyło się coś, co na zawsze uwolniło mnie od grządek z melonami.

Rozdział IX

Pojawiają się ludzie Hooji

Zbudowałem sobie z kamieni i darni niewielkie schronienie, gdzie mogłem się wczłgać i spać, nie zwracając uwagi na nieustanny upał i promienie stojącego w zenicie słońca. Zawsze, gdy byłem głodny lub zmęczony, udawałem się do mojej niewielkiej chatki.

Moi ciemężyciele nigdy nie wyrazili co do niej najmniejszych zastrzeżeń. Prawdę mówiąc, byli dla mnie bardzo dobrzy, nie pamiętam również żadnego zdarzenia świadczącego o tym, że pozostawieni samym sobie, są czymś innym niż istotami prostymi i uprzejmymi. Ich budzące strach rozmiary, ogromna siła, potężne kły i przerażający wygląd są cechami niezbędnymi, by pomyślnie radzić sobie w ciągłej walce o przetrwanie. I rzeczywiście potrafią, jeżeli zmusza ich do tego konieczność, robić z tych atrybutów właściwy użytek. Jedyne mięso, jakie spożywają, pochodzi ze zwierząt roślinożernych i ptaków. W czasie polowań na ogromnego maga jeden mężczyzna, uzbrojony tylko w linę z łyka, potrafi złapać i zabić największego byka ze stada.

No więc, jak to właśnie powiedziałem, posiadałem na skraju pola melonów niewielki szałas. Gdy pewnego razu odpoczywałem w nim po pracy, usłyszałem wielki zgiełk, dobiegający od strony odległej o ćwierć mili wioski.

Chwilę później na pole przybiegł mężczyzna, krzycząc coś w podnieceniu. Wyszedłem z szałasu, by się dowiedzieć co jest przyczyną tego zamieszania, gdyż monotonne życie na polu melonów sprawiło, iż rozbudziła się we mnie ciekawość, cecha, od której zwykle jestem zadziwiająco wolny.

Inni robotnicy również pobiegli na spotkanie posłańca, który szybko pozbył się ciężaru niesionych wiadomości i równie szybko zawrócił i pospieszył z powrotem do wioski. W biegu stworzenia te często posługują się wszystkimi czterema kończynami. Przeskakują w ten sposób nad przeszkodami, które powstrzymałyby normalnego człowieka, a na równym terenie osiągają prędkości, które konia pełnej krwi mogłyby wpędzić w kompleksy. Sytuacja, w jakiej się wtedy znalazłem była rezultatem tego zwyczaju — zanim zdołałem w pełni zrozumieć sens przyniesionych wiadomości, byłem sam i patrzyłem, jak ci, którzy ze mną przed chwilą pracowali pędzą w stronę wioski.

Z opowieści posłańca wynikało, że dwóch ludzi Gr-gr-gr, wracając spokojnie z polowania na maga, zostało osaczonych przez pół tuzina rzezimieszków Hooji. Obaj wrócili do swej wioski bez jednego zadrapania, a z pół tuzina bandytów tylko jeden zdołał ujść, by zameldować o wyniku walki swemu wodzowi. Teraz Hooja przybył, by ukarać Gr-gr-gr i jego współplemieńców. Obawiałem się, że nawet ich ogromna siła niewiele pomoże w konfrontacji z bardzo liczną bandą, uzbrojoną w długie lance, noże oraz łuki i strzały, których wyrabiania Hooja nauczył się ode mnie.

Gdy się odwróciłem, by wyruszyć ku skrajowi płaskowyżu, do mych uszu bardzo wyraźnie dobiegły odgłosy bitwy — ochryple okrzyki atakujących ludzi, mieszające się z pół-zwierzęcymi rykami i warczeniem obrońców.

Czy skorzystałem z nadarzającej się okazji ucieczki?

Nie. Zamiast tego, skuszony bitewnym zgiełkiem, a także ulegając pragnieniu zadania ciosu, choćby słabego, znieawidzonemu Hooji okręciłem się na piętach i pobiegłem wprost ku wiosce.

Gdy dotarłem na miejsce moim oczom przedstawił się widok zaiste zdumiewający, gdyż plemię Gr-gr-gr posługiwało się najbardziej unikalną i zadziwiającą metodą walki, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. Na samej krawędzi skały, ustawieni rzędem, stali najsilniejsi wojownicy i tacy, którzy najlepiej rzucali liną. Kilka stóp za ich plecami reszta mężczyzn, z wyjątkiem może dwudziestu, tworzyła drugi rząd. Jeszcze dalej z tyłu stały kobiety i dzieci, zebrane w grupę, chronioną przez pozostałych wojowników i wszystkich starców.

Mnie jednak najbardziej interesowały poczynania dwóch pierwszych linii. Wielka horda Sagothów i dzikich jaskiniowców — siły Hooji wspinała się po stromej ścianie skalnej ze zręcznością niewiele ustępującą tej, jaką zademonstrowali myśliwi, którzy mnie schwytali.

Atakujący zatrzymywali się od czasu do czasu, gdy jakiś występ skalny dawał im możliwość pewniejszego oparcia stóp, by ciskać włócznie i strzelać z łuków do znajdujących się nad nimi obrońców. Podczas całej bitwy obie strony zasypywały się wzajemnie wyzwiskami i obelgami — oczywiście ludzie przewyższali broniących się ordynarnością.

Pierwsza linia obrony nie posiadała żadnej broni poza długimi, zakończonymi pętlą linami. Gdy któryś z wrogów znalazł się w ich zasięgu, pętla nieomylnie spadała i zaciskała się wokół niego, a następnie podciągano go, rzucającego się i wierzgającego, na szczyt wzgórza. Chyba że, jak to się od czasu do czasu zdarzało, schwytany był na tyle szybki, by wyciągnąć nóż i przeciąć linę. W takim przypadku zwykle spadał jak kamień w dół, na spotkanie śmierci niechybnej, jak ta, która oczekiwała go na szczycie.

Z tych napastników, którzy zostali podciągnięci dostatecznie wysoko, by znaleźć się w zasięgu potężnych łap obrońców zdzierano pętle i natychmiast przerzucano ich ku drugiej linii, gdzie byli chwytni i w bardzo prosty sposób, przez jedno, potężne zaciśnięcie kłów na karkach, zabijani.

Jednak strzały napastników zbierały znacznie obfitsze żniwo niż liny obrońców i przewidywałem, że zwycięstwo sił Hooji jest tylko kwestią czasu, chyba że plemię Gr-gr-gr zmieni swoją taktykę lub też jaskiniowcy zmęczą się bitwą.

Gr-gr-gr stał w środku pierwszej linii. Wszędzie wokół leżały kamienie i fragmenty pokruszonych skał. Podszedłem do niego i bez słowa przepchnąłem ciężki głaz przez krawędź płaskowyzu. Wylądował prosto na głowie jednego z łuczników miażdżąc ją natychmiast, a potrzaskane ciało spadając w dół po stromiźnie zgarnęło innych.

Gr-gr-gr, zaskoczony, odwrócił się ku mnie. Przez chwilę wydawał się wątpić w szczerą moją intencję. Gdy wyciągnął ku mnie jedną ze swych wielkich łap, pomyślałem, że chyba nadeszła moja ostatnia chwila. Wywinąłem się jednak i odbiegłszy kilka kroków w prawo, cisnąłem w dół następny kamień. I on również wykonał przeznaczone mu dzieło zniszczenia. Potem pozbierałem z ziemi mniejsze pociski i z celnością, która podczas mych szkolnych dni przyniosła mi w pełni zasłużoną sławę, spuściłem na głowy atakujących grad śmierci.

Gr-gr-gr zbliżył się do mnie.

— Rzucajcie to na wroga! — krzyknąłem, wskazując kamienny gruz — Powiedz swym wojownikom, by zrzucali na nich kamienie!

Usłyszawszy moje słowa obrońcy z pierwszej linii, którzy przed chwilą z ciekawością przyglądali się moim poczynaniom, chwycili, nie czekając na polecenie Gr-gr-gr, wielkie głazy lub małe odłamki skał, cokolwiek im pierwsze wpadło w ręce i zasypali przerażonych jaskiniowców kamienną lawiną. W bardzo krótkim czasie powierzchnia skalnej ściany została oczyszczona z wrogów, a wioska Gr-gr-gr uratowana.

Gr-gr-gr stał przy mnie, gdy w dolinie zniknął, uciekając w popłochu, ostatni z bandy Hooji. Patrzył na mnie uważnie.

— To byli twoi ludzie — powiedział. — Dlaczego ich zabijałeś?

— To nie byli moi ludzie — odpowiedziałem — Mówiłem ci już wcześniej, ale nie chciałeś mi uwierzyć. Czy teraz mi uwierzysz, gdy ci powiem, że nienawidzę Hooji i jego plemienia równie mocno jak ty? Czy mi uwierzysz, gdy powiem, że pragnę być przyjacielem Gr-gr-gr?

— Gilaku — powiedział — zawstydziłeś Gr-gr-gr. On by cię zabił. Jak może ci to teraz wynagrodzić?

— Uwalniając mnie — odpowiedziałem szybko.

— Jesteś wolny. Możesz zejść na dół kiedy zechcesz, możesz również zostać z nami. Jeśli odejdziesz, możesz zawsze wrócić. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Oczywiście zdecydowałem się odejść. Jeszcze raz, od początku, wyjaśniłem Gr-gr-gr naturę mego przedsięwzięcia. Słuchał uważnie, a gdy skończyłem, zaproponował, że wyśle ze mną kilku swych ludzi, by mnie zaprowadzili do wioski Hooji. Nie ociągałem się z przyjęciem tej propozycji.

Jednak człowiek, mimo wszystko, musi jeść. Myśliwi, na których napadli ludzie Hooji przynieśli z wyprawy mięso wielkiego thaga. Zapowiedziano ucztę dla upamiętnienia zwycięstwa — ucztę i tańce.

Jej wspomnienie będzie zawsze żyło w mej pamięci. Ta mieszanina elementów ludzkich i czysto zwierzęcych czasem była wzruszająca, momentami zaś groteskowa lub przerażająca. W straszliwym upale, w lejących się z zenitu promieniach słońca ogromne, owłosione stworzenia podskakiwały wielkim kołem, na przemian zwijały i rzucały liny z łyka, ciskały obelgi na głowy wyimaginowanych wrogów, dosłownie na strzępy rozszarpawały i pożerały ciało zabitego thaga. To widowisko skończyło się dopiero wtedy, gdy żadne z nich nie mogło się już poruszać z przejedzenia.

Musiałem czekać, aż procesy trawienne wyrwą moją eskortę z odrętwienia. Niektórzy jedli tak długo, aż ich żołądki napęczniały tak, iż wydawało się, że za chwilę pękną. Poza thagiem zjedzono niemal sto antylop różnych rozmiarów i w różnych stadiach rozkładu, dla uświetnienia bankietu wykopanych ze schowków pod podłogami legowisk.

Jednak w końcu wyruszyliśmy — sześciu mężczyzn i ja. Gr-gr-gr zwrócił mi broń i nareszcie znowu znalazłem się w tak często mi przerywanej drodze do mego celu. Nie wiedziałem czy na końcu wędrówki odnajdę Dian, czy nie. Jednak niecierpliwość, z jaką wyruszałem wcale nie była przez to mniejsza, gdyż jeżeli przeznaczone mi było tylko najgorsze, nawet to chciałem poznać jak najszybciej.

Przeszliśmy spory odcinek brzegiem pięknej, przecinającej całą wyspę rzeki, a potem zagłębiliśmy się w gęsty, w porównaniu z widzianymi dotychczas w tej krainie, las. Po kilku chwilach moja eskorta zatrzymała się.

— Tam! — powiedzieli, wskazując przed siebie. — My już dalej nie idziemy.

Tam więc, wskazawszy drogę do celu, zostawili mnie samego, Przedemną, w prześwicie między drzewami, widziałem coś, co zdawało się być podnóżem stromego wzgórza. W te właśnie stronę skierowałem swe kroki. Granica lasu przebiegała tuż przy ścianie skalnej, której powierzchnia poplamiona była wieloma ciemnymi wejściami do jaskiń. Wydawały się one być niezamieszkałe, jednak postanowiłem, że zanim pójdę dalej, przez chwilę je poobserwuję. Stałem pod wysokim drzewem, pokrytym bardzo gęstym listowiem. Był to doskonały punkt obserwacyjny.

Wspiąłem się po gałęziach w górę, skąd bezpiecznie ukryty, zacząłem wypatrywać oznak obecności ludzi w jaskiniach lub w ich pobliżu.

Zaledwie zdołałem wygodnie się usadowić, a już z jednego z mniejszych otworów, położonego na wysokości około pięćdziesięciu stóp nad ziemią, wyłoniła się grupa jaskiniowców. Zeszli do lasu, gdzie zniknęli. Niedługo potem z tej samej pieczary wyszło kilka innych oddziałów, a po nich

gromada kobiet i dzieci, udających się do lasu by zbierać owoce. Było wśród nich kilku wojowników — straż, jak przypuszczałem.

Później z jaskini wychodziły następne oddziały, a dwa czy trzy, które wróciły z lasu wspięty się po ścianie i też zniknęły w jej wnętrzu. Nie mogłem tego zrozumieć. Wszyscy, których widziałem, wyłaniali się z tego samego otworu. Również w nim znikali powracający. Wyglądało na to, że żadna z pozostałych jaskiń nie jest używana, więc jeżeli w tej jednej mieścili się ci wszyscy ludzie, których widziałem, to musiała ona mieć nadzwyczajne rozmiary.

Cóż to musi być ta jaskinia, myślałem, w której może się pomieścić całe plemię! Jednak, nie usatysfakcjonowany wnioskami, wypływającymi z moich dotychczasowych obserwacji, wspiałem się na wyżej położone gałęzie; skąd był lepszy widok na inne partie skalnej ściany. Znalazłem w końcu punkt, leżący wysoko ponad ziemią, z którego mogłem dostrzec szczyt wzgórza, jak się okazało równie płaski, jak ten, na którym mieszkało plemię Gr-gr-gr.

Tajemnica została rozwikłana. To, co brałem za wejście do jaskini było tylko początkiem tunelu, biegnącego we wnętrzu skały w górę, ku szczytowi wzgórza. Służył on jako połączenie między wysoko położoną wioską, a doliną.

W tym samym momencie, w którym to zrozumiałem, uświadomiłem sobie, że będę musiał poszukać jakiegoś innego sposobu dotarcia do wioski, gdyż przejście bez zwracania uwagi tak często używanym tunelem będzie zupełnie niemożliwe. Ponieważ akurat w zasięgu mego wzroku nie było żadnego z jaskiniowców, szybko ześlizgnąłem się na ziemię ze służącego mi jako wieża obserwacyjna drzewa i pobiegłem na prawo. Miałem zamiar iść wokół wzgórza tak długo, aż znajdę jakieś dogodne miejsce, w którym miałbym choćby niewielką szansę wspięcia się na szczyt, pozostając przy tym niezauważonym.

Po pewnym czasie do mych uszu dobiegł ryk morskich fal, rozbijających się o brzeg. Wkrótce potem zatrzymałem się nad oceanem, sięgającym w tym miejscu aż do stóp wzgórza, na którym Hooja znalazł dla siebie i swych łotrów bezpieczne schronienie.

Właśnie miałem podjąć na nowo wędrówkę w poszukiwaniu drogi na szczyt i zacząć przedzierać się przez postrzępione skały, tworzące urwisty brzeg, gdy kątem oka dostrzegłem łódkę, okrążającą ten kraniec wyspy. Skryłem się natychmiast za dużym głazem, skąd mogłem spokojnie obserwować ją i jej załogę, samemu nie będąc widzianym.

Dwaj płynący czołnem mężczyźni wiosłowali przez chwilę w moją stronę, ale potem, w odległości około stu jardów ode mnie, zmienili kierunek, płynąc na wprost ku skalnej ścianie. Z tego miejsca, w którym się znajdowałem, wyglądało to tak, jakby zmierzali ku nieuchronnej zagładzie, gdyż ryk rozbijających się o pionowe urwisko przybrzeżnych fal zdawał się wróżyć śmierć każdemu, kto by trafił w ich bezlitosne objęcia.

Wkrótce łódka skryła się za skałami i straciłem ją z oczu, jednak byłem tak bardzo zaintrygowany, że ryzykując odkrycie mnie przez kogoś patrzącego z góry, zacząłem się czołgać w tamtą stronę. Miałem zamiar dotrzeć do miejsca, z którego mógłbym widzieć jak łódka rozbija się w drzazgi o wyrastające przed nią skały.

Dotarłem do takiego miejsca akurat na czas, by zobaczyć, że czołno prześlizguje się bezpiecznie między dwoma ostrymi jak igły, granitowymi występami i wpływa na spokojne wody niewielkiej zatoki.

Znowu przycupnąłem za głazem, obserwując co się będzie działo dalej. Nie musiałem długo czekać. Czołno podpłynęło do ściany pieczary i lina, której jeden koniec zamocowany był na dziobie, została przywiązana do wystającego ze skały występu.

Potem mężczyźni, stanowiący załogę zaczęli się wspinać po prawie pionowej ścianie ku

znajdującemu się kilkaset stóp wyżej szczytowi wzgórza. Jakkolwiek wiedziałem, że jaskiniowi ludzie z Pellucidaru są znakomitymi wspinaczami, przyglądałem się temu z niekłamanym podziwem, gdyż nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się oglądać pokazu takiej sprawności w pokonywaniu skalnych urwisk. Parli ku górze bez chwili przerwy, aż w końcu zniknęli mi z oczu za górną krawędzią ściany.

Jeżeli oni mogli się wspiąć na to urwisko, myślałem, ja również mogę, a jeżeli nie, to przynajmniej zginę próbując.

Jednak gdy przystąpiłem do realizacji tego zadania, okazało się ono łatwiejsze niż początkowo przypuszczałem. Natychmiast odkryłem, że w ścianie wyciosane zostały płytkie zagłębienia, tworzące rodzaj drabiny, wiodącej od podnóża ku samemu szczytowi.

Przeszedłem przez krawędź i wreszcie stanąłem na płaskim terenie, a potem, od kamienia do kamienia i od drzewa do drzewa, zacząłem posuwać się w głąb płaskowyżu, bardzo często zatrzymując się i uważnie rozglądając wokół.

Jakże pragnąłem mieć przy sobie moje rewolwery i karabin! Nie musiałbym wtedy skradać się ku wiosce Hooji jak przestraszony kot. Teraz nie mogłem sobie pozwolić na podejmowanie niepotrzebnego ryzyka, ponieważ od sukcesu mego przedsięwzięcia zależało życie Dian. Niewątpliwie bardzo wzniośle i heroicznie byłoby dać się odkryć i stanąć twarzą w twarz z tuzinem lub większą ilością uzbrojonych wojowników, jednak takie spotkanie mogłoby natychmiast położyć kres moim ziemskim poczynaniom i to zanim zdołałbym czegokolwiek w służbie Dian dokonać.

Musiałem tak przebyć blisko milę, nie widząc nawet śladu żywej istoty, gdy nagle, okrążając ostrożnie któryś z kolejnych głazów, wpadłem wprost na mężczyznę, skradającego się, podobnie jak ja, na czworakach, tylko w przeciwną stronę.

Rozdział X

Napad na wiezienie w jaskini

Gdy go ujrzałem, miał głowę odwróconą do tyłu — patrzył w stronę wioski. Na mnie spojrział dopiero w chwili, w której na niego skoczyłem. Jeszcze nigdy nie widziałem człowieka tak zaskoczonego, jak ten biedny jaskiniowiec. Zanim zdołał wydać choćby jeden okrzyk trwogi czy ostrzeżenia, zacisnąłem palce na jego gardle i zaciągnąłem go pod osłonę głazu, gdzie, usiadłszy na nim, usiłowałem podjąć decyzje co mam dalej z nim począć.

Z początku wrywał się, ale prędko dał za wygraną i potem leżał już bardzo spokojnie. Oslabiłem więc nieco ucisk mych palców na jego tchawice, za co, jak sobie wyobrażałem, musiał mi być niezmiernie wdzięczny. W każdym razie ja bym był.

Myśl o tym, że miałbym go zabić z zimną krwią była wstrętna, ale żadne inne rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy. Oczywiście wypuścić go nie mogłem, byłoby to jednoznaczne ze sprowadzeniem sobie na kark całej wioski. Leżał, patrząc na mnie ciągle z tym samym wyrazem zaskoczenia na twarzy. W końcu w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania.

— Widziałem cię już — powiedział. — Widziałem cię na arenie w mieście Mahar, Phutrze, gdy thipdary odciągnęły od ciebie i twojej kobiety taraga — nigdy nie udało mi się zrozumieć dlaczego tak się stało. Byłem następnym na arenie. Postawili przeciw mnie dwóch wojowników z Gombul.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

— Równie dobrze mogłoby to być dziesięciu wojowników z Gombul. Zabiłem ich i wywalczyłem sobie wolność. Popatrz!

Obrócił ku mnie swe lewe ramię, pokazując świeżo zagojoną ranę po piętnie — takim, jakie Mahary wypalały swoim niewolnikom.

— Potem — ciągnął dalej — gdy wracałem do domu, spotkałem uciekającą grupę moich ziomeków. Powiedzieli mi, że człowiek, nazywający się Hooja Przebiegły, wykorzystując nieobecność większości wojowników, napadł na naszą wioskę a jej mieszkańców pojmał i zrobił z nich niewolników. Gdy tu wreszcie dotarłem, złe wieści potwierdziły się w całej rozciągłości — Hooja i jego rozbójnicy mieszkali w naszych domach, a poddani mego ojca byli tylko ich niewolnikami.

Zostałem schwytyany, ale Hooja nie zabił mnie. Jestem synem wodza, który miał nadzieję, że dzięki mnie pozostali wojownicy z naszego plemienia wrócą do wioski i pomogą mu w wielkiej wojnie, która, jak mówi, ma się wkrótce rozpocząć.

Wśród jego więźniów znajduje się Dian Piękna, której brat, wódz Amozytów Dakor Mocny, uratował mi kiedyś życie — wtedy, gdy przybył do Thurii, by ukraść sobie małżonkę. Pomogłem mu w realizacji jego zamierzenia i odtąd jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Dowiedziawszy się, iż Dian jest tu wieziona, powiedziałem Hooji, że jeżeli stała się jej jakaś krzywda, może nie liczyć na moją pomoc.

Niedawno jeden z ludzi Hooji podsłuchiwał moją rozmowę z innym więźniem. Planowaliśmy wciągnięcie do spisku wszystkich ludzi z naszego plemienia i zdobycie broni. Chcieliśmy, wykorzystując jakąś chwilę, w której większość bandy Hooji będzie nieobecna, zabić pozostałych jej

członków i odzyskać nasze wzgórze. Gdyby nam się to udało, potrafilibyśmy je obronić. Na jego szczyt można dostać się tylko dwiema drogami — wąskim tunelem z jednej strony i stromą ścieżką wzdłuż urwiska ze strony przeciwnej.

Gdy Hooja usłyszał o naszych planach, bardzo się rozgniewał i rozkazał, by mnie zabito. Związano mi ręce i nogi, i do czasu, aż wszyscy nasi wojownicy wrócą, by być przy mojej śmierci, umieszczono mnie w jaskini. Wkrótce potem usłyszałem, że ktoś mnie woła przytłumionym głosem, zdającym wydobywać się ze ścian jaskini. Odpowiedziałem na to wołanie i wtedy ta kobieta, gdyż był to głos kobiety, powiedziała, że słyszała moją rozmowę z ludźmi, którzy mnie tu uwięzili. Powiedziała też, że jest siostrą Dakora i że znajdzie jakiś sposób, by mi pomóc.

W jakiś czas później w miejscu, z którego dochodził jej głos ukazał się niewielki otwór. Potem zobaczyłem kobiecą rękę, powiększającą otwór odłamkiem skały. Siostra Dakora wykopała dziurę między jaskinią, w której leżałem związany, a sąsiednią, będącą jej wiezieniem. Już wkrótce była przy mnie i rozcinała krepujące mnie więzy.

Potem długo rozmawialiśmy. Zaproponowałem, że spróbuje ją stąd uwolnić i zabrać do Sari, gdzie, jak powiedziała, mogłaby się dowiedzieć czegoś o swym małżonku. Właśnie teraz, gdy mnie schwytałeś, chciałem dostać się na przeciwny koniec wyspy, by sprawdzić, czy jest tam jakaś łódź i czy droga ucieczki jest wolna. Ostatnio wyspa jest niemal ogołocona z łodzi, gdyż ogromna część ludzi Hooji i niemal wszyscy niewolnicy przebywają na Wyspie Drzew. Hooja buduje tam flotę, mającą przenieść jego wojowników do ujścia wielkiej rzeki, którą odkrył, wracając z Phutry.

Młodzieniec przerwał i wskazał na północny-wschód.

— Ta rzeka jest szeroka, gładka i niemal do samego Sari toczy swe wody bardzo powoli — dodał. Puściłem go natychmiast po stwierdzeniu, że on również jest wrogiem Hooji. Podczas gdy opowiadał swą historię, tłoczyliśmy się obaj w kryjówce za głazem.

— Gdzie teraz znajduje się Dian Piękna? — spytałem.

— Wróciła do jaskini, w której była wieziona — odpowiedział — i tam na mnie czeka.

— Nie obawiacie się, że Hooja przyjdzie tam podczas twojej nieobecności?

— Hooja jest na Wyspie Drzew.

— Czy mógłbyś mi opisać drogę do tej jaskini, abym tam trafił?

Odpowiedział, że mógłby i w dziwny, jednak zrozumiały sposób, którego przy takich okazjach używają Pellucidarczycy, dokładnie wyjaśnił mi jak mogę trafić do jaskini, w której był wieziony, a z niej przez dziurę w ścianie, do Dian.

Uważałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeżeli wróci tylko jeden z nas. We dwóch osiągnęlibyśmy niewiele więcej, a ryzyko, iż zostaniemy odkryci zwiększyłoby się dwukrotnie. Ja pójdę do wioski, a tymczasem on, tak jak zamierzał, uda się nad morze i przypilnuje łodzi, która jak mu powiedziałem, przycumowana jest u stóp urwiska.

Poleciałem mu czekać na nas na szczycie, a jeżeli Dian nadejdzie sama, ma zrobić wszystko, co w jego mocy, by z nią uciec i doprowadzić bezpiecznie do Sari. Uważałem, że gdyby nas odkryto i ścigano, może okazać się niezbędne, abym został w tyle i powstrzymał ludzi Hooji, podczas gdy Dian pójdzie samotnie do miejsca, w którym mój nowy przyjaciel będzie na nią oczekiwać. Uświadomiłem mu, że być może będzie musiał uciec się do podstępów czy też użyć siły, aby zmusić Dian do opuszczenia mnie. Skinął głową i przyrzekł mi, że poświęci wszystko, nawet własne życie, by uratować siostrę Dakora.

Potem rozstaliśmy się. On zajął pozycje, z której podczas oczekiwania na Dian mógł obserwować łódkę, a ja poczołgałem się ostrożnie w kierunku jaskiń. Nie miałem żadnych trudności w kierowaniu się wskazówkami Juaga — tak brzmiało imię mego młodego sojusznika. Wkrótce dotarłem do mocno

pochyłego drzewa, pierwszego drogowskazu, którego szukałem po okrążeniu służącego nam za kryjówkę kamienia. Potem podczołgałem się ku pozostającemu w zadziwiającej równowadze wielkiemu odłamkowi skalnemu, który spoczywał na podstawie nie większej od ludzkiej dłoni.

Stąd po raz pierwszy ujrzałem wioskę. Zbudowano ją wewnątrz niewysokiej skarpy, biegnącej wzdłuż skraju płaskowyżu. Na jej stoku ciemniały wejścia do wielu pieczar, do których wiodły zygzakowate ścieżki. Dodatkowymi połączeniami między leżącymi na tej samej wysokości jaskiniami były wycięte w miękkiej skale półki.

Jaskinia, w której Juag był wieziony, mieściła się na samym końcu skarpy — tym, w pobliżu którego się znajdowałem. Sama skarpa stanowiła znakomitą osłonę i wykorzystując ją mogłem podejść na odległość kilku stóp od wejścia, nie będąc widocznym z żadnej innej pieczary. Poza rym zauważyłem tam stosunkowo niewiele osób, zgromadzonych w pobliżu przeciwnego końca skarpy i tak pogrążonych w jakiejś dyskusji, że właściwie przestałem się bać, iż zostanę przedwcześnie zauważony, jednak; zbliżając się do stoku zachowywałem najdalej posuniętą ostrożność. Potem, wyczekawszy na moment, gdy wszystkie głowy były odwrócone w inną stronę, skokami, jak królik, rzuciłem się do jaskini.

Jak wiele innych, wykonywanych przez człowieka pieczar na Pellucidarze, również ta składała się z trzech, położonych jedno za drugim pomieszczeń. Żadne z nich nie było oświetlone, jeżeli nie brać pod uwagę wpadającego przez otwór wejściowy światła słonecznego. W rezultacie ciemność pogłębiła się w miarę przechodzenia do każdej kolejnej pieczary.

W ostatniej mogłem dostrzec jedynie niewyraźne kształty znajdujących się tam przedmiotów. Gdy obmacywałem ściany w poszukiwaniu otworu, który powinien przeprowadzić mnie do miejsca uwięzienia Dian, usłyszałem męski głos, dobiegający z bardzo niewielkiej odległości.

Mówiący najwyraźniej dopiero przed chwilą przyszedł, gdyż podniesionym tonem domagał się, by osoba, w poszukiwaniu której się tu znalazł zdradziła mu miejsce swego ukrycia.

— Gdzie jesteś, kobieto? — krzyczał. — Hooja po ciebie przysyła. Chwilę później usłyszałem kobiecy głos:

— Czego Hooja chce ode mnie?

Ten głos należał do Dian. Rzuciłem się w kierunku, z którego dobiegał, gorączkowo szukając otworu.

— Rozkazał, by cię przywieźć na Wyspę Drzew — powiedział mężczyzna — gdyż jest gotowy pojąć cię za małżonkę.

— Nie pojedę — odpowiedziała Dian. — Prędzej umrę.

— Wysłano mnie po ciebie i mam zamiar wykonać ten rozkaz.

Szybkimi ruchami obmacywałem ścianę, starając się jak najprędzej odnaleźć otwór, który pozwoli mi stanąć u boku Dian.

Z sąsiedniej pieczary dobiegły mnie odgłosy szarpaniny. Chwilę potem moje palce zagłębiły się „w pokruszonych kamieniach i luźnej ziemi. Zrozumiałem dlaczego tak trudno było mi znaleźć otwór przesuwając dłonią po powierzchni ściany. Dian prowizorycznie go zamurowała, by nie wzbudził podejrzeń i nie doprowadził do zbyt szybkiego odkrycia ucieczki Juaga.

Naparłem całym ciałem na rozsypującą się ścianę i przepchnąłem duży jej fragment do sąsiedniej jaskini. Razem z nim wpadłem tam ja, Dawid, Imperator Pellucidaru. Wątpię czy jakimkolwiek innemu władcy w historii Ziemi udało się gdzieś wejść w mniej dostojny sposób. Poleciałem głową naprzód, lądując na wszystkich czterech kończynach, jednak szybko przyszedłem do siebie i poderwałem się, na równe nogi zanim mężczyzna w ciemnościach zdołał sobie uświadomić, co się zdarzyło.

Mój przeciwnik był ogromny i niezwykle ruchliwy. Bez wątpienia miał też dużą wprawę, we władaniu nożem. W pewnym momencie udało mu się zranić mnie poważnie w ramie — do dzisiaj mam te bliznę i będę ją miał już do końca życia. Jednak popełnił błąd — gdy odskoczyłem w tył, by zyskać sekundę na opanowanie szoku i bólu, rzucił się za mną, dążąc do zwarcia. Na chwilę zlekceważył nóż, ulegając silniejszemu pragnieniu dostania mnie w swoje ręce. Dostrzegłszy lukę w jego zasłonie, z całej siły uderzyłem go lewym sierpowym prosto w podbródek.

Przewrócił się. Zanim zdołał z powrotem się podnieść, skoczyłem na niego i zatopiłem nóż w jego sercu. Potem wstałem — i była tam Dian, patrząca na ranie, usiłująca przebić wzrokiem gesty mrok.

— Ty nie jesteś Juag! — powiedziała. — Ktoś ty?

Zrobiłem krok w jej stronę, wyciągając ramiona.

— Dian, to ja, Dawid.

Na dźwięk mego głosu wydała cichy okrzyk, wyraźnie usłyszałem w nim hamowany szloch, okrzyk, który bez słów powiedział mi, że straciła już wszelką nadzieję. Potem podbiegła i rzuciła się w moje ramiona.

Pociągnąłem ją do przyległej jaskini, a stamtąd udaliśmy się w stronę wyjścia, gdzie dokonałem małego rekonesansu. Gdy upewniłem się, że droga jest wolna, szybko wybiegliśmy z jaskini. Okrążyliśmy skraj skarpy, zatrzymując się za jej osłoną na chwilę i nasłuchując. Nie usłyszeliśmy niczego, co by wskazywało, że nasza ucieczka została odkryta, ruszyliśmy więc dalej trasą, którą tu uprzednio dotarłem. Po drodze dowiedziałem się od Dian, że Hooja mówił jej o podjętych przeze mnie poszukiwaniach i o tym, że dotarłem już do Krainy Straszliwego Cienia. Opowiedziano jej również, jak jeden z ludzi Hooji znalazł mnie śpiącego i dokładnie okradł. Po tym wydarzeniu Hooja wysłał czterech ludzi z zadaniem odnalezienia mnie i pojmania.

— Jednak oni — powiedziała — jeszcze nie wrócili, a przynajmniej nie słyszałam o ich powrocie.

— I nie usłyszysz — odpowiedziałem — gdyż tych czterech odeszło do krainy, z której już nie ma powrotu.

Potem opowiedziałem jej przygodę, jaką miałem z tymi ludźmi.

Doszliśmy już niemal do skraju płaskowyżu, do tego miejsca, w którym powinien czekać na nas Juag, gdy nagle zauważyliśmy dwóch mężczyzn, szybkim marszem zdążających ku temu samemu celowi co my, tylko od drugiej strony. Nie zauważyli ani nas, ani Juaga, który, jak teraz zobaczyłem, skrył się za niewielkim krzakiem, rosnącym tuż na skraju przepaści. Tak szybko, jak to było możliwe staraliśmy się dotrzeć do Juaga przed nimi lub w ostateczności razem z nimi.

Jednak oni wkrótce wypatrzyli skuloną za krzakiem postać i natychmiast zaczęli biec w tamtą stronę. Gdy zobaczyłem, że mężczyźni rzucili się do ataku, krzyknąłem głośno, by zwrócić ich uwagę na fakt, że mają do czynienia z więcej niż jednym przeciwnikiem. Usłyszawszy mój okrzyk zatrzymali się i rozejrzeli wokół.

Gdy dostrzegli Dian i mnie, zamienili kilka słów. Potem jeden pobiegł ku Juagowi, zaś drugi zaczął zbliżać się do nas. Gdy podszedł bliżej, zobaczyłem, że ma w dłoni jeden z moich sześciostrzałowców, jednak trzyma go za lufę, najwyraźniej biorąc rewolwer za jakiś rodzaj maczugi czy tomahawku.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, pomyślawszy o tym, jak ten niewyszkolony wojownik z epoki kamienia łupanego marnuje możliwości śmiertelności narzędzia. Wystarczyło, by go odwrócił i nacisnął spust, a mógłby nadal pozostać wśród żywych. Zresztą być może rzeczywiście nadal żyje, gdyż ja go nie zabiłem. Gdy znajdował się w odległości około dwudziestu stóp ode mnie,

szybkim ruchem, którego nauczył mnie Ghak, rzuciłem włócznię. Przysiadł, usiłując jej uniknąć i w rezultacie włócznia, zamiast wbić się w serce, gdzie pierwotnie mierzyłem, odbiła się drzewcem od jego skroni. Runął jak rażony piorunem.

Uporawszy się z moim przeciwnikiem, spojrzałem w stronę Juaga. Młodzieniec przeżywał niezwykle emocjonującą chwilę. Mężczyzna, który go zaatakował był prawdziwym gigantem — teraz usiłował go trafić, tnąc i dźgając powietrze morderczo wyglądającym nożem, który prawdopodobnie został zaprojektowany z myślą o zarzynaniu mastodontów. Jednocześnie z diabelskim sprytem udaremniał Juagowi wszelkie próby ucieczki w bok, co pozwoliłoby mu uniknąć straszliwych konsekwencji wycofywania się w dotychczasowym kierunku. Zrozumiałem, że za chwilę Juag będzie musiał dobrowolnie skoczyć w przepaść, gdyż w przeciwnym razie zostanie w nią zepchnięty przez napastnika. W tym samym momencie, w którym uświadomiłem sobie w jak kłopotliwym położeniu znajduje się mój przyjaciel przyszedł mi do głowy sposób uratowania go. Podbiegłem do mężczyzny, którego przed chwilą powaliłem i chwyciłem wypuszczony przez niego rewolwer. To była już ostatnia szansa, zrozumiałem to, podnosząc broń i naciskając na spust. Nie było czasu na celowanie — Juag stał na samym skraju przepaści, a jego bezlitosny przeciwnik ciągle napierał, wymachując zaciekle swym rzeźnickim nożem.

I wtedy przemówił rewolwer — głośno i ostro. Gigant wyrzucił ręce ponad głowę, okręcił się jak ogromny bąk i spadł w przepaść.

A Juag?

Rzucił mi wystraszone spojrzenie. Biedny chłopak oczywiście nigdy przedtem nie słyszał wystrzału z broni palnej, zachwiał się, odwrócił i z pełnym przerażeniem o krzykiem runął głową w dół w ślad za swym niedawnym prześladowcą. Zdjęty przerażeniem podbiegłem do krawędzi urwiska. Zdażyłem jeszcze zobaczyć dwa ciała, uderzające o powierzchnie leżące w dole, małej zatoczki.

Przez chwilę, z Dian przy moim boku, stałem jak skamieniały, patrząc w dół. Potem, ku memu niezmiernemu zdziwieniu, zobaczyłem, że Juag wypływa na powierzchnie i mocnymi uderzeniami rąk kieruje się ku łódce.

Ten chłopak spadł do wody z tak ogromnej wysokości i nic mu się przy tym nie stało!

Krzyknąłem do niego, by czekał na nas na dole, zapewniając jednocześnie, że nie musi się bać mojej broni, gdyż ona poraża tylko wrogów. Potrząsnął głową i powiedział coś, czego nie rozumiałem ze względu na dużą odległość, gdy jednak wciąż nalegałem, obiecał na nas czekać. W tej samej chwili Dian chwyciła mnie za ramię, wskazując w stronę wioski. Mój strzał sprowadzał nam na kark gromadę wymachujących bronią tubylców.

Wojownik, którego ogłuszyła moja włócznia odzyskał już przytomność, wstał i bardzo prędko pobiegł swym współplemieńcom na spotkanie. Przyszłość moja i Dian zaczęła się rysować w coraz ciemniejszych barwach, gdyż między nami, a choćby początkiem wolności, znajdowało się to upiorne, pionowe zejście po urwisku, a z drugiej strony szybko się do nas zbliżała horda dzikich nieprzyjaciół.

Była jeszcze nadzieja, jednak Dian musiała natychmiast zacząć schodzić na dół.

Spytałem czy potrafi zejść sama i czy się tego nie obawia. Uśmiechnęła się dzielnie i wzruszyła ramionami.

— A ty? — spytała, przeszedłszy już przez krawędź przepaści.

— Pójdę za tobą po oddaniu jednego czy dwóch strzałów do naszych przyjaciół — odpowiedziałem. — Chce dać im szansę spróbowania tego nowego lekarstwa, które wyleczy Pellucidar z wszystkich trapiących go chorób. To ich powinno zatrzymać dostatecznie długo, bym

mógł do ciebie dołączyć. Pospiesz się! I powiedz Juagowi, żeby był gotowy do odpłynięcia w chwili, gdy znajdę się w łodzi. Lub wtedy, gdy stanie się oczywiste, że nie będę mógł do niej dotrzeć.

Jeżeli mi się coś przytrafi, ty, Dian, musisz wrócić do Sari, by wraz z Perrym kontynuować realizację planów, które są tak drogie mojemu sercu. Przrzeknij mi to, moja kochana.

Nie mogła mi przyrzec, że mnie opuści. I nie przyrzekła. Potrząsnęła tylko głową i nie zrobiła już ani jednego kroku w dół. Tymczasem tubylcy byli już bardzo blisko. Juag krzyczał do nas z dołu. Najwyraźniej domyślił się, że próbuje namówić Dian, by zeszła sama i że zawisło nad nami jakieś niebezpieczeństwo.

— Skaczcie! — krzyczał. — Skaczcie!

Spojrzałem na Dian, a potem na ziejącą pod nami otchłań. Zatoczka zdawała się być nie większa od spodka. Nie miałem pojęcia, jak Juag zdołał w nią trafić.

— Skaczcie! — krzyczał Juag. — To jedyny sposób, nie ma już czasu na schodzenie.

Rozdział XI

Ucieczka

Dian spojrzała w dół i zadrzała. Jej plemię mieszkało na wzgórzach w głębi lądu i nie była przyzwyczajona do pływania w innych wodach niż w łagodnych rzekach i spokojnych jeziorkach. To nie urwisko ją przeraziło — przeraził ją ocean ogromny, tajemniczy, zatrważający.

— Szybko! — ponagliłem Dian. — Nie możesz skakać, lecz ja mogę ich zatrzymać dostatecznie długo, aż znajdziesz się w bezpiecznym miejscu.

— A ty? — po raz drugi zadała to samo pytanie. — Czy skoczysz, gdy podejda zbyt blisko? Przecież jeżeli zaczekasz, aż zejde na dół, nie będziesz już miał żadnej innej możliwości ucieczki.

Zrozumiałem, że mnie nie opuści, jeżeli nie uda mi się jej przekonać, iż potrafię, podobnie jak to zrobił Juag, wykonać ten przerażający skok. Spojrzałem w dół, a potem, czując silne wyrzuty sumienia, zapewniłem ją, że skoczę, dokładnie w tej samej chwili, w której ona znajdzie się w łódce. Uspokojona zaczęła ostrożnie, jednak dość szybko schodzić po wyciętych w skale stopniach. Odwróciłem się do prędko nadbiegających Hoojan. Uniosłem rewolwer, starannie wycelowałem w znajdującego się na czele grupy wojownika i nacisnąłem spust. Jednocześnie ze szczeknięciem wystrzału mężczyzna runął na twarz. Przekoziółkował dwa czy trzy razy, potem znieruchomiał, leżąc spokojnie w gęstej trawie wśród mieniących się kolorami kwiatów.

Biegący za nim zatrzymali się. Jeden z nich rzucił w moją stronę włócznię, ale wbiła się ona w ziemię nie osiągając celu — byli jeszcze odrobinę zbyt daleko. Zauważyłem, że w grupie jest dwóch wojowników, uzbrojonych w łuki i strzały, postanowiłem obserwować ich przede wszystkim. Wydawali się zdziwieni i przestraszeni nagłym hukiem i skutkiem działania mojej broni. Przenosili wzrok z zabitego wojownika na mnie i z powrotem, w podnieceniu coś między sobą szepć.

Skorzystałem z przerwy w natarciu, by rzucić okiem na Dian. Była już w połowie drogi i nadal schodziła bardzo szybko. Znowu zwróciłem się ku napastnikom. Natychmiast zauważyłem, że jeden z łuczników zakłada strzałę na cięciwę swego łuku. Uniosłem uzbrojoną w rewolwer dłoń.

— Stop! — krzyknąłem. — Każdego, kto do mnie strzeli lub zrobi choćby jeden krok w moją stronę natychmiast zabije, tak jak zabiłem jego! — wskazałem na leżące przed nimi ciało.

Wojownik opuścił łuk i znowu rozpoczęła się ożywiona dyskusja. Widziałem, że ci, którzy nie byli uzbrojeni w łuki próbują wymusić coś na tych, którzy je posiadali.

W końcu przeważało zdanie większości, gdyż obaj łucznicy jednocześnie złożyli się do strzału. W tej samej chwili wypaliłem do jednego z nich, powalając go na ziemię. Drugi zdołał wypuścić strzałę, jednak huk rewolweru tak go spłoszył, że pocisk poszybował nad moją głową. Sekundę później on również leżał, rozciągnięty na murawie, z okrągłą dziurką między oczami. Wydaje mi się, że był to dość dobry strzał.

Znowu wychyliłem się poza krawędź, by spojrzeć w dół. Dian była już tylko kilka stóp nad ziemią. Widziałem, jak Juag stanął poniżej niej i wyciągnął ręce, by jej pomóc.

Nagły ryk wojowników zwrócił z powrotem ku nim moją uwagę. Stali w tym samym miejscu, zaczęli mi jednak wygrażać pięściami i sypać na moją głowę obelgi. Zauważyłem, że od strony wioski zbliża się jakiś wojownik. Był to potężny mężczyzna, a z jego zachowania, gdy się już znalazł

wśród nich i ze sposobu, w jaki inni się do niego odnosili wywnioskowałem, iż musi to być któryś z wodzów. Wysłuchał wszystkiego, co mieli mu do powiedzenia na temat wydarzeń ostatnich kilku minut, a potem, z uniesioną dłonią i wrzaskiem na ustach, zaczął biec w moim kierunku — pozostali oczywiście podążyli za nim. Dostali to, czego im najbardziej brakowało — odważnego dowódcę.

W magazynku mego rewolweru miałem jeszcze tylko dwa naboje. Jednym z nich poczęstowałem ogromnego wojownika, przypuszczając, że jego śmierć zatrzyma wszystkich i to na dobre. Jednak nie przewidziałem, że przez te kilka chwil wzbudzą w sobie taki szal nienawiści, że już nic nie będzie w stanie ich zatrzymać. W każdym razie, gdy ich wódz upadł, zaczęli wrzeszczeć jeszcze głośniejsze i jeszcze szybciej na mnie szarżować. Wykorzystałem ostami nabój, a potem już siedzieli mi na karku — lub prawie siedzieli.

Pomyślałem o obietnicy, jaką dałem Dian — za moimi plecami ziała przerażająca otchłań, a przede mną jakiś wściekły demon wznosił do ciosu ogromną maczugę. Chwyciłem mego sześciostrzałowca za lufę i z całą siłą cisnąłem mu go prosto w twarz.

Potem, nie czekając na efekt mojego rzutu, odwróciłem się, przebiegłem dzielące mnie od krawędzi kilka kroków i wyskoczyłem w przestrzeń — najdalej, jak zdołałem. Znałem się na technice skoków do wody i całą tę wiedzę wykorzystałem przy tym skoku, który, o czym byłem zupełnie przekonany, miał być już moim ostatnim.

Około dwieście stóp spadałem w pozycji poziomej, nabierając straszliwego pędu. Leciąłem tak szybko, że zacząłem odczuwać powietrze niemal jako ciało stałe. W ostatnim mgnieniu oka zobaczyłem, że szczęśliwie ominąłem skały i że spadam do czystej wody. Potem byłem już pod jej powierzchnią, coraz bardziej pograżając się w głębinach. Obecnie sądzę, że w rzeczywistości nie zanurzyłem się zbyt głęboko, lecz wtedy wydawało mi się, że droga w dół nigdy się nie skończy. W końcu ośmieliłem się zgiąć ręce i zmienić kierunek ruchu na taki, który miał wynieść mnie na powierzchnię — Pomyślałem przy tym, że moje płuca z pewnością ulegną rozerwaniu zanim uda mi się zobaczyć słońce inaczej niż tylko jako rozmytą przez wirującą wodę plamę. Jednak na szczęście nic takiego się nie stało — wyskoczyłem ponad powierzchnię niemal do pasa i wreszcie mogłem napełnić płuca haustem świeżego powietrza.

Niedaleko zobaczyłem łódkę, zobaczyłem również, że Dian i Juag z niej wyskakują. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, dlaczego opuszczają ją właśnie teraz, gdy już możemy popłynąć ku kontynentowi, jednak gdy zbliżyłem się do jej burty wszystko stało się jasne. Dwie ciężkie włócznie, chybiając Dian i Juaga tylko o włos, wbiły się jedna obok drugiej głęboko w dno łódki, dokładnie wzdłuż włókien drewna, rozszczepiając ją od dziobu po rufę. Nasze czołno stało się bezużyteczne.

Juag wspiął się na pobliską skałę i wyciągnął rękę do mnie i do Dian, oferując pomoc w wydostaniu się na brzeg. Nie straciliśmy nawet chwili na zastanawianie się nad przyjęciem tej pomocy. Od czasu do czasu spadała jeszcze w pobliżu jakaś włócznia, podeszliśmy więc jak najbliżej skalnej ściany, której nawisy zapewniały nam stosunkowo bezpieczne schronienie przed ciskanymi z góry pociskami.

Tam odbyliśmy krótką konferencję, podczas której stwierdziliśmy, że jedyna nasza nadzieja leży w jak najszybszym przedostaniu się na przeciwną stronę wyspy i użyciu łodzi, którą tam zostawiłem.

Wybraliśmy trzy najmniej zniszczone włócznie spośród tych, które wokół nas spadły i wyruszyliśmy w drogę, trzymając się południowej części wyspy, rzadziej, jak powiedział Juag, odwiedzanej przez Hoojan niż jej obszary centralne, przez które płynęła rzeka. Myślę, że ten wybieg zmylił naszych prześladowców do tego stopnia, iż zgubili nasz ślad, gdyż przez większą część drogi nie widzieliśmy żadnego z nich, ani też nie słyszeliśmy żadnych odgłosów pościgu.

Jednakże droga, którą Juag wybrał była bardzo okrężna i niewygodna, straciliśmy więc na jej

pokonanie znacznie więcej czasu niż zajęłoby nam przejście wzdłuż rzeki. To właśnie było przyczyną naszej porażki.

Ci, którzy nas poszukiwali musieli wysłać jakąś grupę w górę rzeki natychmiast po naszej ucieczce. Gdy tylko dotarliśmy do jej koryta, tuż przy ujściu, zostaliśmy zauważeni przez Hoojan, którzy przybyli tu przed nami. Gdy przechodziliśmy przez kępę gęstych zarośli, z zasadzki skoczyło na nas kilkunastu wojowników i zanim zdaliśmy zadać któremuś z nich jakiś cios, już byliśmy rozbrojeni i związani.

Zdaje się, że po tym wydarzeniu ostatecznie opuściła mnie wszelka nadzieja. Przyszłość rysowała się w ciemnych barwach, bez jednego jaśniejszego promyka. Przewidywałem rychłą śmierć moją i Juaga, lecz w o wiele większym stopniu martwił mnie los, który czekał Dian. Chwilami, myśląc o tym wszystkim, niemal życzyłem Dian śmierci, gdyż wreszcie znalazłaby spokój, którego los z takim uporem odmawiał jej w życiu.

Rozmawiałem z nią na ten temat, proponując, abyśmy odeszli z tego świata razem.

— Nie bój, Dawidzie — odpowiedziała. — Położę kres swemu życiu, zanim Hooja zdoła mnie skrzywdzić. Ale najpierw zobaczę, jak on umiera.

Zdjęła z szyi cienki rzemyk, na którym zawieszony był niewielki woreczek.

— Co tam masz? — spytałem.

— Czy przypominasz sobie, jak kiedyś nadepnałeś na zwierze, które w waszym świecie nazywacie żmiją?

Przytaknąłem.

— Ten przypadek podsunął ci myśl o zatrutych strzałach, w które później wyposażyliśmy wojowników naszego Imperium — ciągnęła dalej. — Mnie również przyszedł wtedy do głowy pewien pomysł. Od tamtej chwili nosze na piersiach ząb jadowy żmii. Dawał mi i nadal daje siłę, dzięki której potrafię przetrwać wiele niebezpieczeństw, gdyż mam pewność, że w każdym momencie mogę umknąć przed największą zniewagą. Jeszcze nie jestem gotowa na śmierć. Najpierw niech Hooja pozna działanie tego zęba.

Na Pellucidarze, na którym panuje wieczne dzisiaj, oczekiwanie na odmianę losu może trwać bardzo krótko. I tak też stało się w naszym przypadku. Okrążaliśmy właśnie jedno ze stromych wzgórz o płaskich szczytach, przechodząc przez podobny do parku las, gdy nagle na naszych strażników spadła sieć splecionych z łyka lin, a chwilę później skoczyła między nich horda naszych przyjaciół o łagodnych oczach i długich, owczych twarzach — owłosionych ludzi-goryli.

To była bardzo interesująca walka. Byłem zły, że krepujące mnie wiezy nie pozwalają mi wziąć w niej udziału. Jednak dodawałem walczącym animuszu okrzykami i wiwatowałem na cześć starego Gr-gr-gr za każdym razem, gdy jego potężne kły pozbawiały życia któregoś z Hoojan. Gdy bitwa dobiegała końca, stwierdziliśmy, że kilku z naszych strażników uciekło, ale większość leżała wokół martwa. Ludzie-goryle nie zwracali już na nich uwagi.

Gr-gr-gr wydał swoim wojownikom kilka poleceń i podszedł do mnie.

— Gr-gr-gr i wszyscy jego ludzie są twoimi przyjaciółmi — powiedział. — Jeden z nas zauważył wojowników Hooji i poszedł za nimi. Widział, jak was schwytali, a potem szybko wrócił do wioski i opowiedział mi wszystko. Resztę już znasz. Zrobiłeś bardzo wiele dla Gr-gr-gr i jego ludzi, i my zawsze zrobimy dla ciebie co w naszej mocy.

Podziękowałem mu, a kiedy opowiedziałem o naszej ucieczce i celu wędrówki, zaczął nalegać, abyśmy pozwolili jemu i grupie jego wojowników odprowadzić nas aż na brzeg morza. Oczywiście nie wahaliśmy się ani chwili z przyjęciem tej propozycji.

Znaleźliśmy canoe w tym samym miejscu, w którym je ukryłem i pożegnawszy naszych dzikich

przyjaciół, popłynęliśmy we trójkę ku kontynentowi.

Zapytałem Juaga czy możliwe by było wpłyniecie na rzekę, o której mi opowiadał, a potem powiosłowanie nią pod prąd, co jak kiedyś mówił, mogłoby nas doprowadzić do samego Sari. Odradził podejmowanie tego ryzyka, gdyż mieliśmy tylko jedno wiosło i żadnej żywności ani wody. Musiałem przyznać, że jego argumenty były bardzo rozsądne, jednak pragnienie zbadania tej wielkiej drogi wodnej było we mnie tak silne, że w końcu zdecydowałem się ją wypróbować. Oczywiście po uprzednim przybiciu do lądu w innym miejscu i uzupełnieniu zapasów.

Wylądowaliśmy o kilka mil na północ od Thurii, w niewielkiej zatoce, która zdawała się zapewniać dostateczną ochronę przed większymi falami, czasami zdarzającymi się nawet na zwykłe spokojnych oceanach Pellucidaru. Tam też wyjawilem Dian i Juagowi plany, które ułożyłem po drodze. Postanowiłem, że wyposażymy nasze czółno w niewielki żagiel. Musiałem im obojgu długo wyjaśniać jego przeznaczenie, gdyż ani jedno, ani drugie nigdy przedtem nie zetknęło się z takim urządzeniem. Potem wykonamy pojemnik na wodę oraz udamy się na polowanie, by zgromadzić zapas żywności, który będziemy mogli ze sobą zabrać.

Te dwie ostatnie rzeczy były dla Juaga bardziej zrozumiałe, ale przez długi czas mamrotał pod nosem o żaglu i wietrze. Widziałem, że wcale nie jest przekonany, iż tak absurdalny przyrząd będzie w stanie poruszać czółno.

Przez pewien czas polowaliśmy w pobliżu wybrzeża, jednak bez większego powodzenia. W końcu zdecydowaliśmy się ukryć łódkę i udać się w głąb lądu w poszukiwaniu poważniejszego łupu. Zgodnie z propozycją Juaga wykopaliśmy dół w piasku, włożyliśmy tam czółno, zasypaliśmy i starannie wyrównaliśmy powierzchnię. Potem zaczęliśmy oddalać się od morza. Na terenie Thurii wędrownka jest mniej mecząca niż w pozostałych częściach Pellucidaru, gdzie trzeba iść pod palącymi, nieustannie lejącymi się prosto z zenitu promieniami słońca. Jednak i tutaj ma ona swoje niedogodności, a jedną z nich jest przygnębiające oddziaływanie wiecznego półmroku, panującego w Krainie Straszliwego Cienia.

Im dalej odchodziliśmy od morza, tym bardziej ciemności się pogłębiały, aż wreszcie przemierzaliśmy obszar, na którym panował wieczny zmierzch. Roślinność była tu rzadka i dziwnie bezbarwna, a to, co już zdołało wyrosnąć przybierało zaskakujące, budzące niepokój kształty. Dość często zauważaliśmy wielkie lidi, drepczące przez posępną krainę, pożywiające się groteskowymi roślinami lub gaszące pragnienie w powolnych, ponurych rzekach, które spływały z Równin, by w Thurii wlać swe wody do morza.

My szukaliśmy thaga, ogromnego, pellucidarskiego łosia lub antylopy należącej do któregoś z większych gatunków. Ich mięso dawało się doskonale wysuszyć na słońcu. Z pęcherza thaga mogliśmy sporządzić pojemnik na wodę, a jego skóra, jak sobie wyobrażałem, stanowiłaby bardzo dobry materiał na żagiel.

Weszliśmy dość daleko w głąb lądu, przecinając w poprzek całą Krainę Straszliwego Cienia i w końcu znaleźliśmy się w tej części Równiny Lidi, która leży na terenach oświetlonych promieniami słońca. Ponad nami obracał się wokół swej osi wiszący świat, budząc we mnie — i niemal w równym stopniu w Dian — zadumę, ale i wielką ciekawość. Zastanawiałem się jak wyglądają istoty, które zamieszkują te wzgórza i doliny, brzegi rzek i mór, tak wyraźnie widoczne na jego powierzchni.

Przed naszymi oczami rozpościerał się pozbawiony horyzontu, ogromny Pellucidar — Równina Lidi zawijała się wokół nas ku górze i wydawało mi się, że w oddali dostrzegam wiszące wysoko w niebiosach wieże miasta Mahar, którego mieszkańcy ściągali z Thurian okrutną daninę.

Juag zaproponował, abyśmy udali się na północny wschód, gdzie, jak powiedział, skraj równiny

porośnięty jest lasami, w których powinniśmy znaleźć wielką obfitość zwierzyny. I tak, kierując się jego radą, doszliśmy w końcu do gęstej kniei, poznaczonej wydeptanymi przez zwierzęta ścieżkami, biegnącymi we wszystkie strony. W jej głębi natknęliśmy się na świeże tropy.

Wkrótce potem, podążając tym śladem, natrafiliśmy na niewielkie stado. Ostrożnie podeszliśmy bliżej, wybraliśmy wielkiego byka, a potem Juag i ja jednocześnie rzuciliśmy naszymi włóczniami, zachowując na wszelki wypadek te, którą miała Dian. Zwierze zachwiało się i ryknęło ogłuszająco. Reszta stada w mgnieniu oka zniknęła w głębi lasu. Został tylko ranny byk — opuścił łeb i tocząc ślepiami wypatrywał napastników.

Juag pokazał mu się, wychodząc na otwartą przestrzeń (należy to do taktyki polowania) ja zaś odszedłem nieco w bok i skryłem się za krzakiem. Bestia ruszyła na Juaga w tej samej chwili, w której go ujrzała. Młodzieniec zaczął uciekać — w takim kierunku, by ścigający go mag musiał przebiec obok mojej kryjówki. I oto się zbliżał — tony okrutnej siły i niepohamowanej wściekłości!

Dian stanęła obok mnie, gotowa również walczyć, gdyby było to niezbędne. Co za dziewczyna! Prawowita królowa epoki kamiennej — i to według wszelkich standardów, jakie na obu światach mogłyby zostać wymyślane!

Rycząc i parszcząc mag parł w naszą stronę z mocą stu byków ze świata zewnętrznego. Gdy przebiegał obok mnie wyskoczyłem z kryjówki i w jednej chwili uczepliłem się gęstej, długiej grzywy, pokrywającej jego potężną szyję. Potem zacząłem biec tuż przy jego boku.

Po zgraniu ruchów z rytmem biegu zwierzęcia drobnostką już było wskoczenie na jego grzbiet w sposób, w jaki kawalerzyści dosiadają wierzchowców, będących w pełnym galopie. Juag w dalszym ciągu umykał, starając się nie zniknąć bykowi z oczu. Biegł tylko odrobinę wolniej niż ścigający go potwór. Ci Pellucidarczycy potrafią być szybcy jak jelenie — ja nie umiem tak biegać i jest to jedna z przyczyn, dla których podczas każdego polowania na thaga, w którym uczestniczę, jestem wybierany do wykonania tego zadania, które wymaga zbliżenia się do ofiary łowów. Nie jestem w stanie utrzymać się przed nosem szarżującego thaga dostatecznie długo, aby drugi myśliwy miał czas na zrobienie swojej roboty. Przekonałem się o tym podczas pierwszej — i dotychczas ostatniej — próby.

Siedząc już na grzbiecie byka, wyciągnąłem długi, kamienny nóż i starannie wymierzywszy, wbiłem go obiema rękami w jego kręgosłup, niemal jednocześnie zeskakując na ziemie. Po takim zabiegu żaden kręgowiec nie byłby w stanie ująć zbyt daleko i thag nie jest pod tym względem wyjątkiem — chwilę później runął ciężko na ziemie.

Poczekaliśmy na Juaga i we dwóch krążyliśmy wokół wierzgającego zwierzęcia, aż nadarzyła się dogodna sposobność, a wtedy skoczyliśmy i wyszarpnęliśmy z jego boku nasze włócznie. Potem zaczęliśmy tańczyć wokół niego, bardziej podobni do dwóch dzikusów niż do kogokolwiek innego. Podskakiwaliśmy tak długo, aż dostrzegliśmy to na co czekaliśmy, a wtedy jednocześnie wbiliśmy włócznie w dzikie serce, na zawsze je uciszając.

Thag przebiegł sporą odległość od miejsca, w którym na niego wskoczyłem. Po ostatecznym rozprawieniu się z nim spojrzałem do tyłu w poszukiwaniu Dian. Nie mogłem nigdzie jej dostrzec. Krzyknąłem głośno jej imię, ale moje zawołanie pozostało bez odpowiedzi, puściłem się więc pędem ku miejscu, w którym ją zostawiłem. Nie miałem trudności w odszukaniu krzaka, za którym się skryliśmy, jednak Dian tam nie było. Wołałem ją, ale jedyną odpowiedzią była cisza. Gdzie ona się mogła podziać? Co się z nią stało w ciągu tego krótkiego czasu, który upłynął od chwili, gdy ją widziałem, stojącą obok mnie?

Rozdział XII

Porwana!

Przeszukałem starannie to miejsce. W końcu znalazłem włócznie Dian, leżącą kilka jardów od krzaka, który służył nam za kryjówkę przed szarżującym magiem. Jej włócznie i ślady walki — pogniecioną roślinność i nakładające się na siebie odciski stop kobiety i mężczyzny. Skonsternowany i przerażony poszedłem tymi śladami sto jardów dalej, aż do miejsca, w którym nagle się urywały. Dalej zamiast nich zobaczyłem wielkie ślady łap lidt.

Przebieg wydarzeń stał się aż nadto oczywisty. Jakiś Thurianin śledził nas, albo też natknął się na Dian przypadkowo i nabrał do niej upodobania. Porwał ją, podczas gdy Juag i ja byliśmy zajęci zmaganiem z thagiem. Pobiegnęłem szybko z powrotem do Juaga, który oprowadzał naszą zdobycz. Zbliżywszy się, zobaczyłem, że również tutaj dzieje się coś niedobrego, gdyż wyspiarz stał tuż obok ciała thaga ze wzniesioną do rzutu włócznią.

Wkrótce zrozumiałem, dlaczego przybrał tak wojowniczą postawę. Kilka jardów dalej stały dwa ogromne hienodony, samiec i samica, przypatrując mu się uważnie. Ich zachowanie było nieco zastanawiające, gdyż wydawało się, że wcale nie mają zamiaru go atakować. Patrzyły na niego jakby pytająco.

Juag usłyszał, że nadchodzę i odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. Ci ludzie uwielbiają mocne wrażenia. Z jego twarzy wyczytałem, że jest niezwykle zadowolony, przewidując nieuniknioną, jak się wydawało, walkę. Jednak tym razem nie dane mu było zrobić użytku ze swej włóczni. Powstrzymał go mój ostrzegawczy okrzyk, dojrzałem bowiem resztki liny zwisające z szyi samca.

Juag znów się ku mnie odwrócił, tym razem z zaskoczeniem. Chwilę później zmieniło się ono w osłupienie, gdyż minąłem go i spokojnym krokiem poszedłem wprost ku jalokom. Samica zjeżyła się i odsłoniła kły. Samiec natomiast skoczył mi na spotkanie, nie w groźnym ataku, lecz z wyrazem takiej radości, jaką tylko zwierze może okazać.

To był Radża — jalok, któremu uratowałem życie i którego potem obłaskawiłem. Nie mogłem mieć wątpliwości, że był zadowolony ze spotkania ze mną. Teraz myślę, że jedyną przyczyną jego ucieczki była chęć odszukania swej towarzyszki i przyprowadzenia jej do mnie.

Jang nie mógł otrząsnąć się z osłupienia, widząc jak bawię się z tą krwiożerczą bestią. Jednak nie wolno mi było poświęcać czasu Radży, gdy moje serce wypełniały smutek i niepokój z powodu zniknięcia Dian. Byłem rad, że spotkałem jaloka właśnie teraz. Zaprowadziwszy go do Juaga, dałem mu do zrozumienia, że ten człowiek również jest jego przyjacielem. Z samicą było nieco trudniej, jednak pomógł nam Radża, warcząc na nią wściekle” ilekroć odsłaniała kły.

Powiedziałem Juagowi o zniknięciu Dian i moich podejrzeniach na temat możliwego wyjaśnienia tego wypadku. Chciał natychmiast ruszać na poszukiwania, ale ja stwierdziłem, że teraz, gdy jest przy „mnie Radża, równie dobrze mogę iść sam, a w tym czasie on może się zająć zdjęciem skóry z thaga, pokrojeniem mięsa, wyjęciem pęcherza i zanieśieniem tego wszystkiego do naszej łódki. Tak też się umówiliśmy — Juag robi to wszystko, a potem zaczeka na mnie przy naszym czólnie przez jakiś rozsądny czas. Wskazałem na wielkie jezioro na powierzchni wiszącego świata i powiedziałem, że

jeżeli zobaczy je cztery razy, a ja do tej pory nie wrócę, ma jak najprędzej udać się do Sari i sprowadzić Ghaka razem z armią. Potem, zawoławszy Radzę, wyruszyłem w pościg za Dian i jej porywaczem. Kilka kroków za nami podążyła dzika towarzyska mego jaloka. Najpierw zaprowadziłem go na miejsce walki. Wskazałem punkt, w którym jej ślady były najbardziej widoczne i gdzie zapach musiał być najsilniejszy.

Potem chwyciłem resztki smyczy, zwisające z jego szyi i wskazałem mu drogę wzdłuż oddalającego się tropu. Wydawało się, że zrozumiał. Opuścił nos ku ziemi i pobiegł naprzód. Kierował się, ciągnąc mnie za sobą, prosto w stronę. Równin Lidi, po pewnym czasie zwracając swe kroki wyraźnie ku wiosce Thurian. Mogłem się tego domyślić!

Samica biegła za nami. Jednak wkrótce zaczęła się coraz bardziej zbliżać, aż w końcu znalazła się tuż obok mnie i Radży. Nie upłynęło wiele czasu, a wydawała się czuć w moim towarzystwie równie swobodnie jak jej pan i władca.

Biegliśmy chyba dość szybko i to przez długi czas, gdyż powtórnie weszliśmy w obszar cienia i wkrótce potem zauważyłem przed nami wielkiego lidi, spokojnie przemierzającego równinę. Na jego grzbiecie dostrzegłem dwie ludzkie postacie. Gdybym miał pewność, że jaloki nie skrzywdzą Dian, poszczułbym je na lidi i jego pana, ale oczywiście takiego ryzyka nie mogłem podjąć, gdyż stawka była zbyt poważna.

Jednak bieg wydarzeń wymknął się spod mojej kontroli w chwili, gdy Radzą podniósł łeb i zauważył cel naszego pościgu. Skoczył naprzód z taką siłą, że runąłem na twarz. Smycz wyskoczyła mi z dłoni i Radża pognał jak wiatr za lidi i jego jeźdźcami. Tuż przy nim biegła samica, odrobinę tylko mniejsza, ale niewątpliwie równie dzika i krwiożercza.

Hienodony poruszały się w zupełnej ciszy, bez jednego szczeknięcia, aż lidi sam je zauważył i niezgrabnym, ciężkim, lecz bardzo szybkim galopem ruszył do ucieczki. Wtedy jaloki zaczęły ujadać, na początku nisko i jakby żałośnie, potem coraz wyżej, dziko i przerażająco, by zakończyć serią krótkich, ostrych szczeknięć. Zacząłem się obawiać, że może to być zew myśliwski ich sfory. Jeżeli okazałoby się to prawdą, zarówno porywacz, jak i Dian mieli bardzo niewielkie szansę na przeżycie. I ja również. Tak więc zdwoiłem wysiłki, chcąc nadążyć za jalokami, ale równie dobrze mógłbym się starać przegonić lecącego ptaka. Jak już wielokrotnie powtarzałem, nie ma we mnie nic z szybkobiegacza. Okazało się jednak, że w tym momencie wyszło mi to tylko na dobre — gdybym miał nieco bardziej ręczne stopy, mógłbym stracić Dian już na zawsze.

Lidi, z psami biegnącymi z obu jego boków, już niemal zniknął w spowijających całą okolice, ciemnościach, gdy zauważyłem, że wyraźnie skręca w prawo. Jak się zorientowałem, było to spowodowane nieustannymi atakami Radży, wyskakującego wysoko w powietrze u jego lewego boku. Mężczyzna na grzbiecie lidi starał się trafić hienodona swą długą lancą, jednak Radża niespecjalnie się tym przejmował, ciągnął skacząc i gryząc.

W rezultacie lidi skręcał w prawo, a im dłużej się temu przyglądałem, tym bardziej byłem przekonany, że Radża i jego towarzyska mają wyraźnie określony cel i działają wspólnie, gdyż samica po prostu spokojnie biegła po prawej stronie lidi, poszczekując tylko od czasu do czasu.

W każdym razie miałem pewność, że mogę spokojnie zatrzymać się tam, gdzie jestem i oczekiwać na dalszy bieg wydarzeń, gdyż jasno uświadamiałem sobie dwie rzeczy: po pierwsze, jeżeli teraz przewrócą lidi, w żaden sposób nie uda mi się do nich dotrzeć, zanim stanie się nieszczęście, zaś po drugie jeżeli lidi nie przewróci się jeszcze przez kilka chwil, zamknie koło i znajdzie się w pobliżu miejsca, w którym stoję.

I tak się właśnie stało. Ich sylwetki już niemal całkowicie zniknęły w mroku, a potem znowu się pojawiły, tym razem daleko z prawej strony. Zataczały koło, poruszając się mniej więcej w moim

kierunku. Czekałem, aż będę mógł dostatecznie dokładnie określić punkt, w którym powinienem się znajdować, aby przechwycić lidi. Mogło się to okazać trudniejsze niż początkowo przewidywałem, gdyż w pewnej chwili zauważyłem, że lidi stara się skrócić jeszcze bardziej w prawo. Gdyby to zrobił, znalazłby się daleko po mojej lewej stronie, zataczając koło dużo ciaśniejsze niż to, które nakreśliły dla niego jaloki. I wtedy zobaczyłem, że samica skacze i gryzie go, a gdy sekundę później lidi chciał skrócić w drugą stronę to znaczy w lewo, zaatakował Radża, utrzymując go na wybranej przez siebie drodze.

Dwie dzikie bestie pędziły swoją ofiarę? prosto na mnie! To było wspaniałe.

Wiązało się z tym coś jeszcze. Coś, co sobie uświadomiłem, gdy nieco wyraźniej zobaczyłem biegnącą wprost na mnie gigantyczną masę. Otóż poczułem się tak, jakbym stał na torach kolejowych naprzeciw nadjeżdżającego ekspresu.

Jednak zdusiłem w sobie te nieprzyjemne refleksje, zbyt wiele zależało od tego, bym przywitał tę górę przerażonego mięsa dobrze wymierzonym ciosem włóczni. Zostałem więc na miejscu, czekając, aż ogromne stopy zgniotą mnie i wdepczą w ziemię, zdecydowany jednak, zanim upadnę, jak najgłębiej wbić moją włócznię w ich właściciela.

Lidi znajdował się już tylko około stu stóp ode mnie, gdy Radża szczeknął Jolka razy tonem, który wyraźnie różnił się od ich myśliwskich zawołań. Natychmiast zarówno on, jak i samica skoczyli ku szyi przeżuwacza.

Zadne z nich nie chybiło. Zawisły na niej, mocno uczepliwszy się potężnymi kłami. Ich ciężar ścigał łeb lidi ku ziemi co tak utrudniało mu bieg, że zanim dotarł do miejsca, w którym stałem już niemal nie posuwał się do przodu, całe swą energię poświęcając na próby uwolnienia się od napastników uderzeniami przednich łap.

Dian zauważyła mnie i rozpoznała. Natychmiast zaczęła się szarpać, usiłując się wyrwać porywaczowi, który, zajęty zmaganiem ze swym silnym i zręcznym więźniem, nie mógł skutecznie użyć długiej lancy przeciwko dwóm jalokom. W tym samym czasie biegłem w ich stronę.

Gdy mężczyzna mnie zobaczył, wypuścił Dian i zeskoczył na ziemię, z wracając lance w mój kierunek. Moja włócznia była znacznie mniej groźną bronią w bezpośrednim starciu, ustępując lancy długością. Mogłem nią co prawda rzucić, podczas gdy jego oręż służył raczej do dźgania, jednak jeżeli bym chybił, a było to bardzo prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę, że był przygotowany na mój atak, stanąłbym wobec konieczności stawienia mu czoła wyłącznie z kamiennym nożem w dłoni. Wynik tego pojedynku był łatwy do przewidzenia i wcale mnie nie zachwycił. Prędzej czy później musiałbym znaleźć się całkowicie na jego łasce.

Wiedząc o tym wszystkim równie dobrze jak ja, mężczyzna ruszył do ataku, by pozbyć się jednego przeciwnika zanim będzie musiał walczyć z dwoma pozostałymi. Nie mógł oczywiście domyślać się, że jaloki polowały na niego wspólnie ze mną, jednak niewątpliwie przewidywał, że po rozprawieniu się z lidi będą chciały zakosztować również ludzkiej krwi — te bestie były nałogowymi zabójcami, mordującymi często bez wyraźnej potrzeby.

Gdy Radża zauważył, że Thurianin mnie atakuje, puścił lidi i rzucił się ku niemu, a jego towarzyszka zrobiła to samo chwilę później. Mężczyzna zobaczył jaloki i krzyknął do mnie, abym mu pomógł, gdyż obaj zostaniemy zabici, jeżeli nie będziemy walczyć ramie przy ramieniu. Zaśmiałem się tylko i pobiegłem do Dian.

Obie bestie dopadły go jednocześnie — prawdopodobnie umarł zanim jego ciało dotknęło ziemi. Potem samica okręciła się i runęła w stronę Dian. Stałem już przy niej i teraz uniosłem włócznię, przygotowując się na przyjęcie atakującego zwierzęcia.

I znowu Radża był szybszy od moich myśli. Wyobraził sobie pewnie, że samica atakuje mnie,

jego pana, gdyż oczywiście nie nie mógł wiedzieć o łączących mnie i Dian więzach, nie mógł wiedzieć, że wzniosłem broń do ciosu w obronie życia Dian, a nie własnego.

Jalok skoczył na grzbiet swej towarzyszki i powalił ją na ziemię. Rozpoczęła się najstraszliwsza walka, jaką można by sobie wyobrazić, jeżeli walki byłyby mierzone natężeniem hałasu i szybkością ruchów przeciwników. Miałem wrażenie, że lada chwila oba jaloki rozerwą się wzajemnie na strzępy.

Gdy w końcu samica zaprzestała oporu i przewróciła się na grzbiet, wyciągając bezwładnie łapy, byłem przekonany, że jest martwa. Radża stał nad nią warcząc, z kłami tuż przy jej gardle. Potem zobaczyłem, że żadne z nich nie jest nawet draśnięte. Samiec spuścił po prostu swej małżonce tęgie baty. Był to jego sposób, by ją nauczyć, że ja jestem nietykalny.

Po chwili odszedł na bok i pozwolił samicy się podnieść. Natychmiast zabrała się do wygładzania swej potarganej sierści, natomiast Radża truchtem podbiegł do nas. Objąłem Dian ramieniem. Jalok stanął obok mnie, a ja przemawiałem do niego tak długo, aż nabrałem pewności, że doskonale zrozumiał o co mi chodziło — że Dian jest jego przyjacielem tak samo, jak ja.

Z obiema bestiami, biegnącymi naszym śladem, wróciliśmy w miejsce, w którym zostawiłem Juaga. Tam przeżyłem kilka prawdziwie piekielnych chwil, usiłując utrzymać samice jak najdalej od jego gardła. Myślę, że wśród wszystkich złośliwych, okrutnych, przewrotnych bestii z obu światów palmę pierwszeństwa dzierży właśnie samica-hienodon.

Jednak w końcu go zaakceptowała, tak jak wcześniej mnie i Dian, a ponieważ Juag skończył właśnie oprawianie thaga, wyruszyliśmy w piątkę z powrotem ku wybrzeżu. Przedtem zjedliśmy trochę mięsa, dzieląc się z psami, zaś tyle, ile mogliśmy unieść załadowaliśmy sobie na barki.

W końcu dotarliśmy na plażę i wykopaliśmy czółno. Potem zajęliśmy się mocowaniem masztu i niewielkiego żagla, to znaczy Juag i ja, zaś Dian pocięła mięso thaga na długie pasma — w takiej formie najlepiej będzie się nadawało do suszenia w promieniach słonecznych, gdy je znowu zobaczymy.

Wreszcie wszystko zostało zrobione. Byliśmy gotowi do wejścia na pokład łodzi. Nie miałem trudności w zaokrętowaniu Radży, jednak Rani — jak ją nazwaliśmy, gdy wyjaśniłem Dian znaczenie słowa Radża i powiedziałem jaki jest jego żeński odpowiednik, stanowczo odmawiała udania się w ślady swego męża. Wreszcie odbiliśmy od brzegu bez niej. Chwilę, później wskoczyła do wody i popłynęła za nami.

Poczekaliśmy, aż zbliży się do burty, a potem przy pomocy Juaga, wciągnąłem ją na pokład. Warczała przy tym i szczyrzyła na nas zęby, jednak złagodniała natychmiast, gdy znalazła się bezpiecznie na dnie czółna, u boku Radży.

Łódź zachowywała się pod żaglem znacznie lepiej, niż przypuszczałem, a nieskończenie lepiej niż „Sari”, nasz okręt wojenny. Płynęliśmy przez zatokę niemal prosto na zachód, gdyż miałem nadzieję, znaleźć ujście rzeki, o której opowiadał Juag, dokładnie po jej przeciwnej stronie.

Juag był bardzo zaniepokojony, dowiedziawszy się, że mam zamiar przepłynąć ocean, a gdy ziemia zniknęła nam z oczu, wpadł w przerażenie. Powiedział, że nigdy w życiu nie słyszał, aby ktoś się na to poważył, że ci, którzy oddalili się zbyt od lądu, już nigdy nie wracali. W jaki sposób mieli wrócić, jeżeli nie widzieli ziemi, ku której mogliby sterować?

Starłem się mu wyjaśnić zasadę działania kompasu i jakkolwiek nigdy nie pojął nauczył się sterować przy jego pomocy równie sprawnie jak ja. Po drodze minęliśmy kilka wysp. Juag powiedział, że były one zupełnie nieznanne jego plemieniu. Być może nasze oczy były pierwszymi, które je oglądały. Chętnie zatrzymałbym się, by je zbadać, ale interes imperium nie mógł już ścierpieć dodatkowej, zbędnej zwłoki.

Spytałem Juaga w jaki sposób Hooja chce dotrzeć do ujścia rzeki, jeżeli nie może przepłynąć zatoki, ale wyspiarz powiedział, że prawdopodobnie będzie podążał okrężną drogą, wzdłuż wybrzeża.

Juag był pod ogromnym wrażeniem żagla i jego działania. Na brzegu, w czasie montażu, nie bardzo mógł zrozumieć co chce dzięki niemu osiągnąć, jednak gdy ujrzał jak czółno tnąc wodę bez użycia wiosła, był uradowany jak dziecko. Płynęliśmy gładko i bez żadnych przygód i w końcu dostrzeżliśmy w oddali ląd.

Przez pewien czas płynęliśmy wzdłuż brzegu, szukając rzeki. Wreszcie ją znaleźliśmy. Była ogromna. W pierwszej chwili myślałem, że jest to po prostu przedłużenie zatoki, dopiero masy dryfującego drewna, które napłynęły z pierwszą falą przypływu, przekonały mnie, że się mylę. Były tam pnie drzew wyrwanych z korzeniami przez podmywające brzegi fale, ogromne, grube pnącza, kwiaty, kępy trawy i od czasu do czasu szczątki jakiegoś lądowego zwierzęcia czy ptaka.

Radowaliśmy się już z rozpoczęcia podróży w górę rzeki, gdy nagle zdarzyło się coś, czego nigdy dotychczas na Pellucidarze nie doświadczyłem — potężny, przerażający huragan. Nadleciał wzdłuż rzeki i uderzył w nas z taką siłą, że na chwilę zapało nam dech w piersiach. Zanim mieliśmy szansę przybić do brzegu, było już za późno. W tej sytuacji najlepszym wyjściem wydawało się utrzymywanie skaczącego czółna rufą do wiatru i gnanie naprzód na grzywach białej piany. Juag był przerażony. Dian pewnie także, jednak ona tego nie okazywała. Czyż nie była córką wielkiego niegdyś wodza, siostrą króla i małżonką Imperatora?

Jaloki również były przestraszone. Radza przyczołgał się do mego boku i położył tuż obok. W końcu nawet Rani się ruszyła, by poszukać oparcia w człowieku. Podpełzła do Dian, skomląc i przyciskając się do niej. Dian zaczęła ją głaskać po szyi i przemawiać do niej tak, jak ja przemawiałem do Radży.

Nie pozostawało nam nic innego, jak starać się utrzymać czółno właściwą stroną do góry i prosto z wiatrem. Wichura dęła równo, nie narastając, ani nie cichnąc, nieomal przez całą wieczność. Przynajmniej tak nam się zdawało. Oceniałem, że musiała nas wynieść setki mil w głąb tego nieznanego morza.

A potem huragan ucichł równie nagle, jak się pojawił. Pozostała tylko delikatna bryza, wiejąca pod kątem prostym do kierunku wichury.

Spytałem Juaga o nasz kurs, gdyż on jako ostatni miał kompas. Zawiesił go na szyi na skórzanym rzemieniu. Gdy po niego sięgnął, wyraz jego oczu powiedział mi równie wyraźnie jak słowa, że stało się nieszczęście — kompas zginął! Kompas zginął!

A my znajdowaliśmy się na otwartym morzu, nie widząc lądu i bez jednego ciała niebieskiego, które mogłoby nas prowadzić! Nawet wiszący świat był z tego miejsca niewidoczny.

Nasze położenie wydawało mi się zupełnie beznadziejne, ale nie pozwoliłem, aby Dian czy Juag zauważyli jak bardzo byłem zaniepokojony. Wkrótce stwierdziłem, że przed Juagiem nie ma sensu ukrywać prawdy — znał ją równie dobrze jak ja. Opowieści, krążące w jego plemieniu od dawna uświadamiały mu niebezpieczeństwa, związane z przebywaniem na otwartym morzu, bez lądu w zasięgu wzroku. Kompas, odkąd nauczył się nim posługiwać, był jedyną rzeczą, w której mógł pokładać nadzieje na wydostanie się z tej wodnej pustyni. Widział, jak ten przyrząd doprowadził mnie dokładnie do tego wybrzeża, do którego chciałem przybić, nabrał więc do niego ogromnego zaufania. Wraz ze zniknięciem kompasu rozwiały się również jego nadzieje.

Wydawało się, że pozostała nam tylko jedna rzecz do zrobienia — żeglowanie naprzód, prosto z wiatrem, gdyż w ten sposób będziemy poruszać się najszybciej i oczekiwanie, że w końcu ujrzymy jakiś ląd. Jeżeli okazałoby się, że jest to kontynent, to tym lepiej, jeżeli zaś wyspa — no cóż,

ostatecznie możemy również żyć na wyspie. Natomiast z pewnością nie przeżyjemy długo w tej łodzi. Całe nasze zapasy składały się teraz z kilku pasków suszonego mięsa i równie niewielu kwart wody.

Gdy huragan ucichł, opuściliśmy żagiel, by się naradzić jaki kurs najlepiej przyjąć. Czółno dryfowało bezwładnie, wznosząc się i opadając na ciągle potężnych falach. Dian zaczęła błądzić oczami po nieskończonej, rozkołysanej przestrzeni. W pewnej chwili zostaliśmy uniesieni wyjątkowo wysoko. I wtedy Dian krzyknęła i wskazała za rufę.

— Łodzie! — krzyczała. — Dużo, bardzo dużo łodzi!

Juag i ja skoczyliśmy na równe nogi. Jednak czółno już opadło w dolinę między falami i nie widzieliśmy nic, poza wznoszącymi się po obu naszych stronach ścianami wody. Poczekaliśmy, aż znowu zostaniemy wyniesieni w górę i wytężyliśmy oczy, spoglądając w kierunku, który wskazywała Dian. I rzeczywiście, w odległości nie większej niż pół mili dostrzegliśmy kilka czołem, a za nimi wiele innych, rozsianych tak szeroko i daleko, jak tylko sięgał wzrok. Z tej odległości i w ciągu tak krótkiego czasu, jaki był nam dany zanim znowu runęliśmy w wodny kanion, nie mogliśmy rozpoznać ich pochodzenia, ale niewątpliwie były to łodzie.

A w łodziach muszą znajdować się ludzie.

Rozdział XIII

Wyścig o życie

Po pewnym czasie morze na tyle się uspokoiło, że mogliśmy tym czółnom przyjrzeć się nieco dokładniej. Było ich około dwustu. Juag powiedział, że jeszcze nigdy nie widział tak wielkiej floty. Skąd przypląły? Juag pierwszy podzielił się swymi przypuszczeniami.

— Hooja budował na Wyspie Drzew wiele łodzi — powiedział — które miały przenieść jego wojowników do ujścia rzeki i potem samą rzeką w górę, do Sari. Przy tej budowie pracowali prawie wszyscy jego ludzie i bardzo wielu niewolników. Mówili, że jeszcze nikt w całej historii Pellucidaru nie zbudował tak wielkiej floty. To muszą być właśnie jego łodzie. To Hooja.

— I zostali wyniesieni na pełne morze przez huragan, tak jak my — zasugerowała Dian.

— Rzeczywiście, chyba nie można znaleźć lepszego wyjaśnienia — zgodziłem się.

— I co teraz zrobimy? — spytał Juag.

— No cóż — powiedziałem — nie pogorszymy chyba swego położenia, czekając tu przez pewien czas, do chwili, aż będziemy mogli upewnić się kim oni są. Płyną w naszym kierunku. Pewnie zauważyli nasz żagiel i domyślili się, że nie należymy do ich floty.

— Prawdopodobnie sami chcą spytać, gdzie leży kontynent — powiedział Juag.

— Być może mają zamiar nas pojmać. Uda im się to, jeżeli będą potrafili płynąć prędzej przy pomocy wiosła, niż my, posługując się naszym żaglem — powiedziałem. — Wydaje mi się jednak, że to my jesteśmy szybsi i możemy poczekać, aż zbliżą się na tyle, byśmy mogli odkryć ich tożsamość, a potem im uciec.

Tak więc czekaliśmy.

Morze szybko się uspokajało i gdy najbardziej wysunięte do przodu canoe znalazło się w odległości nie większej niż pięćset jardów od nas, widzieliśmy już je bardzo dokładnie. Wszystkie łodzie płynęły ku nam. Były niezwykle duże. W każdej znajdowało się dwudziestu wiosłarzy, po dziesięciu z każdej burty. Poza wiosłarzami, w każdym czólnie siedziało dwudziestu pięciu lub nawet więcej wojowników.

Gdy ich dowódca podpłynął do nas na odległość około stu jardów, Dian zwróciła naszą uwagę na fakt, że kilku z załogi czółna było Sagothami. To nas utwierdziło w przekonaniu, że flotylla rzeczywiście należy do Hooji. Powiedziałem Juagowi, aby ich zatrzymał i wydobył od nich jak najwięcej informacji, podczas gdy sam pozostałem na dnie łódki, kryjąc się przed ich wzrokiem. Podobnie zrobiła Dian, nie chciałem aby ją widzieli i rozpoznali.

— Kim jesteście? — krzyknął Juag, wstając i składając dłonią, w tubę.

Na dziobie pierwszego czółna podniósł się jakiś mężczyzna. Poznałem go, zanim jeszcze dobiegły do nas jego słowa.

— Jestem Hooja! — krzyknął w odpowiedzi na pytanie Juaga. Nie rozpoznał swego byłego więźnia i niewolnika — prawdopodobnie dlatego, że miał ich zbyt wielu.

— Przybywam z Wyspy Drzew — ciągnął dalej. — Sto z moich łodzi zostało zniszczonych przez wielki sztorm, a ich załogi potonęły. Gdzie jest ląd? Kim jesteś i co to za dziwna rzecz łopocze na małym drzewie na dziobie twej łodzi?

Pytał o nasz żagiel, bezwładnie poruszający się na wietrze.

— My również się zgubiliśmy — odpowiedział Juag. — Nie wiemy, gdzie jest ład. Wracamy właśnie, aby go szukać.

Mówiąc to, zaczął odwracać łódkę rufą do wiatru, podczas gdy ja mocowałem prymitywne szoty, które służyły do obsługi naszego żagla. Doszliśmy do wniosku, że już najwyższy czas się stąd oddalić.

Wiatr był już dość słaby i ciężkie, niezdarne czołno nabierało prędkości bardzo powoli. Zdawało się, że nigdy nie nabierze rozpędu. A łódź Hooji zbliżała się ku nam błyskawicznie, napędzana silnymi ramionami dwudziestu wiosłarzy. Oczywiście była znacznie większa niż nasza, a co za tym idzie o wiele cięższa i trudniejsza w manewrowaniu. Jednak płynęła ze znaczną szybkością, zaś nasza dłubanka dopiero zaczynała się poruszać. Dian i ja pozostawaliśmy w ukryciu, gdyż odległość między nami a Hooją umożliwiała już strzał z łuku, a wiedziałem, że nasz nieprzyjaciel ma łuczników.

Zauważywszy, że nasze czołno zaczyna się poruszać Hooja wezwał Juaga do zatrzymania się. Był bardzo zaintrygowany żaglem, jak wnosilem z wykrzykiwanych przez niego uwag i pytań. Uniosłem głowę i mogłem go widzieć bardzo wyraźnie. Byłby znakomitym celem dla jednego z moich rewolwerów i nigdy tak bardzo, jak wtedy nie żałowałem, że je straciłem.

Powoli, jednak stale nabieraliśmy prędkości i łódź Hooji już nie zbliżała się do nas tak szybko, jak przedtem. Zorientował się, że usiłujemy mu uciec i w konsekwencji jego prośby o zatrzymanie przybrały formę rozkazów.

— Wracajcie! — krzyczał. — Wracajcie albo będę strzelał!

Używam czasownika „strzelać”, gdyż jest on najbliższy znaczeniowo pellucidarskiemu słowu „trag”, które określa miotanie jakiegokolwiek broni czy pocisków.

Jednak Juag tylko silniej ujął wiosło — teraz spełniało ono rolę steru — i utrzymywał łódź rufą do wiatru. Hooja wydał swoim łucznikom rozkaz strzelania do nas. Nie mogłem pozostawać ukryty na dnie czołna, podczas gdy Juag wystawiony był na śmiertelne strzały. Wstałem więc i chwyciwszy drugie wiosło, zabrałem się wraz z nim do pracy. Dian, mimo moich głośnych protestów, również się podniosła. Na nic zdały się próby namówienia jej, by pozostała w ukryciu — jak każda kobieta we wszystkim musiała mieć swoje własne zdanie.

Hooja poznał nas w tej samej chwili, w której wstaliśmy. Z jego gardła wyrwał się wrzask triumfu, świadczący o tym, jak bardzo jest pewny, że dostanie nas w swoje ręce. Wokół spadł deszcz strzał, jednak żadna z nich nie trafiła w nasze czołno. Łucznicy Hooji nie mogli się równać umiejętnościami z moimi Sarianami i Amozytami. Potem Hooja wydał rozkaz przerwania ognia — widocznie postanowił wziąć nas żywcem.

Płynęliśmy już dostatecznie szybko, aby utrzymywać stały dystans od goniących nas łodzi. Jednak to było wszystko, na co nasze czołno mogło się zdobyć przy tym wietrze — ani my się nie oddalaliśmy, ani oni nie mogli zbliżyć się do nas. Nie mam pojęcia jak długo trwał ten szarpiący nerwy wyścig, w każdym razie zdążyliśmy już niemal całkowicie zużyć nasze mizerne zapasy, gdy wreszcie wiatr nasilił się i zaczęliśmy zostawiać pościg w tyle.

Za nami, długą, zakrzywiającą się ku górze i niknącą we mgle linią ciągnął się sznur dwustu łodzi Hooji. Wystarczyłaby jedna z nich, by nas schwytać — oczywiście pod warunkiem, że pozwolilibyśmy jej zbliżyć się do nas. Płynęliśmy teraz w odległości około pięćdziesięciu jardów przed czołnem Hooji. Poprzednio zdarzały się chwile, kiedy zmniejszała się ona do dziesięciu więc teraz czuliśmy się już dosyć bezpiecznie. Wśród ludzi Hooji, wiosłujących na zmianę, coraz wyraźniej zaczęły być widoczne oznaki zmęczenia, gdyż byli zmuszani do wyczerpującego wysiłku bez

możliwości ugaszenia pragnienia czy posilenia się. Sądzę, że to pomogło nam w równym stopniu, jak zwiększająca się siła wiatru.

Hooja chyba zaczął sobie zdawać sprawę, że mu się wymykamy, gdyż ponownie wydał rozkaz, by do nas strzelano. Jednak odległość była już tak znaczna, że większość strzał spadała do morza za naszą rufą, a te, które dolatywały miały tak małą energię, że mogliśmy je odtrącać wiosłami. Było to jednak dość emocjonujące doświadczenie.

Hooja stał na dziobie łodzi, to zachęcając swych ludzi do zwiększenia szybkości, to znów obrzucając nas wyzwiskami. Jednak dystans między naszymi czółnami nieustannie się powiększał. Potem wiatr zaczął dmuchać z jeszcze większą siłą i po prostu odpłynęliśmy od naszych przeciwników, jak gdyby stali w miejscu. Silny wiatr utrzymywał się dość długo, dzięki czemu zostawiliśmy flotę Hooji tak daleko w tyle, że przestała już być widoczna. A potem — nigdy nie zapomnę tej chwili! — Dian skoczyła na równe nogi, krzycząc „Ziemia!”

I rzeczywiście, daleko przed dziobem rozciągało się długie, płaskie wybrzeże. Było jeszcze bardzo odległe i nie mogliśmy określić czy jest to wyspa czy kontynent, jednak niewątpliwie był to ląd.

Płynęliśmy bez przeszkód, aż znaleźliśmy się w odległości kilku mil od brzegu. Wtedy wiatr nagle ucichł. Z taką niecierpliwością oczekiwaliśmy ponownego znalezienia się na lądzie, że odczuliśmy to jako ogromny zawód. Szybko jednak wzięliśmy się z Juagiem za wiosła, chcąc w ten sposób pokonać dzielącą nas od brzegu odległość.

Niemal natychmiast wiatr zaczął wiać znowu, tym razem z dokładnie przeciwnego kierunku niż poprzednio. Musieliśmy bardzo ciężko pracować, aby w ogóle posuwać się do przodu. Jakby tego było mało, po chwili poczuliśmy, że wiatr jeszcze raz zmienił kierunek, zmuszając nas do płynięcia pod żaglem wzdłuż wybrzeża.

Gdy borykaliśmy się z tymi przeciwnościami, w oddali ukazała się flota Hooji.

Najwyraźniej zniosło ich daleko na lewo w stosunku do naszego kursu, gdyż teraz, płynąc równoległe do brzegu, mieliśmy ich niemal dokładnie za rufą. Jednak przy takim wietrze nie obawialiśmy się, że zostaniemy dogonieni. Jego siła zaczęła się zwiększać, jednak wiał nierówno, zaskakując nas silnymi porywami, by po chwili niemal zupełnie ucichnąć. Właśnie po jednej z takich chwil ciszy, w czasie których nasz żagiel zwisał bezwładnie i poruszaliśmy się tylko siłą rozpędu, zdarzyła się katastrofa. Zupełnie niespodziewanie nadleciał wyjątkowo potężny powiew. Zanim zdążyłem przeciąć szoty, maszt złamał się tuż przy podstawie.

A więc stało się najgorsze. Chwyciliśmy z Juagiem za wiosła, aby zapobiec odwróceniu się czołna burtą do wiatru, jednak szkwał niemal natychmiast ucichł, pozwalając nam na wiosłowanie ku brzegowi. Zobaczyliśmy, że Hooja jest bliżej lądu niż my, należało więc liczyć się z ewentualnością, że odetnie nam drogę, zanim zdążymy przybić do brzegu. Zdwoiliśmy wysiłki, robiąc wszystko, by go wyprzedzić. Dian również wzięła wiosło i przyłączyła się do nas.

Już myśleliśmy, że nam się udało i że za chwilę będziemy mogli ukryć się przed Przebiegłym w głębi lądu, gdy nagle z rosnących na skraju plaży drzew wypadła zgraja wrzeszczących, wymalowanych dzikusów, wymachując różnymi rodzajami prymitywnej broni. Ich uczucia wobec nas wydawały się zupełnie jednoznaczne i przybijanie do brzegu w tym miejscu byłoby czystym szaleństwem.

Czołno Hooji zbliżało się coraz bardziej. Wiedzieliśmy, że przy pomocy samych tylko wiosel nie zdołamy mu umknąć, a teraz, gdy nasz maszt został złamany, nie mogliśmy liczyć na pomoc wiatru. Właśnie, jak na ironie, zaczęła wiać mocna, równa bryza. Nie mieliśmy jednak zamiaru rezygnować i bezwolnie oczekiwać na wyrok losu. Przyłożyliśmy się do pracy i wiosłując płynęliśmy równoległe

do brzegu, starając się umykać przed naszym prześladowcą jak najszybciej.

Pędziliśmy tak wzdłuż wybrzeża przez kilka minut, a może godzin, lub całą wieczność, gdy niedaleko przed nami zauważyłem przerwę w linii brzegowej, która wyglądała jak wejście do zatoki lub ujścia wielkiej rzeki. Chętnie bym tam wpłynął, ale w sytuacji gdy z jednej strony groził nam Hooja, a z drugiej horda biegnących wzdłuż brzegu, wrzeszczących tubylców, podejmowanie tego ryzyka wiązało się ze zbyt dużym niebezpieczeństwem.

Flota Hooji płynęła teraz znacznie bardziej zwartym szykiem niż podczas naszego pierwszego spotkania. Wszystkie łodzie mieściły się w kole o promieniu nie większym niż jedna mila. I wszystkie gnały za nami. Na ich czele, kilka długości przed resztą, płynęło pięć czólen. Znajdowały się one około dwustu jardów za nami i spojrzawszy przez ramie wyraźnie widziałem na ich pokładach łuczników, gotowych do spuszczenia cięciw, gdy tylko znajdziemy się w zasięgu ich strzał.

W tym właśnie momencie Juag zwrócił moją uwagę na miejsce, które brałem za wejście do zatoki lub ujście jakiejś rzeki. To, co zobaczyłem sprawiło, że osłupiałem ze zdziwienia.

Rozdział XIV

Krew i marzenia

Na morze powoli wypływała dwumasztowa feluka z łacińskim ożaglowaniem! Była długa i niska. Na jej pokładzie znajdowało się około pięćdziesięciu ludzi, z których dwudziestu czy trzydziestu siedziało przy wiosłach, wyprowadzając statek z pasa ciszy przy lądzie. Byłem oniemiały ze zdumienia.

Czy to możliwe, aby ci dzicy, wymalowani tubylcy tak dobrze opanowali sztukę nawigacji i budowy okrętów, by ten statek był ich dziełem, a oni stanowili jego załogę? Wydawało się to mało prawdopodobne. Po chwili zobaczyłem, że z zatoki czy też rzeki wyłania się następny statek tego samego typu i podąża w morze za swym poprzednikiem.

I to nie był koniec. Jeden po drugim, długą, nieprzerwaną linią wypłynęło pięćdziesiąt pięknych, pełnych gracji statków, kierując się w stronę przerwy między nami a flotą Hooji.

Gdy podpłynęły nieco bliżej, ujrzałem coś, co sprawiło, że oczy niemal wyskoczyły mi z orbit — mężczyzna na bocianim gnieździe najbliższej nam feluki, obserwował nas przez lunetę! Kim byli? Czyżby na Pellucidarze istniała jakaś nieznaną cywilizacja, znajdująca się na tak wysokim szczeblu rozwoju? Czy to możliwe, aby na jakichś dalekich lądach, o których nikt z moich ludzi nic nigdy nie słyszał, żyła rasa, która tak bardzo wyprzedziła wszystkie inne?

Mężczyzna na bocianim gnieździe opuścił lunetę i coś do nas krzyknął. Nie usłyszałem słów, ale dopiero teraz zwróciłem uwagę na to, co wskazywał rękę. Zobaczyłem powiewający na przednim maszcie proporzec — czerwono-biało-niebieską flagę z wielką białą gwiazdą na niebieskim tle.

I w tym momencie już wiedziałem. To były marynarka wojenna Imperium! To była flota, którą poleciłem Perryemu zbudować podczas mojej nieobecności. To była moja flota!

Rzuciłem wiosła i poderwałem się na równe nogi. Zacząłem krzyczeć i wymachiwać rękami. Juag i Dian spojrzeli na mnie, jakbym nagle postradał zmysły. Gdy wreszcie się opanowałem, powiedziałem im, co to za statki.

Jednak Hooja zbliżał się coraz bardziej. Zorientowałem się, że prowadząca flotę feluka nie zdąży odciąć pięciu pierwszych łodzi, zanim podpłyną one do nas na odległość, umożliwiającą strzał z łuku.

Prawdopodobnie początkowo Hooja miał równie nikłe pojęcie co to za flota i do kogo należy, jak i my, ale gdy usłyszał nasze radosne okrzyki, zorientował się, że są to nasi przyjaciele. Zaczął zachęcać swoich ludzi do zdwojenia wysiłków, chcąc dopłynąć do nas, zanim feluka odetnie mu drogę.

Wydał też rozkazy pozostałym załogom — rozkazy, które wędrowały w tył od łodzi do łodzi, aż dotarły do wszystkich. Polecił im, aby podpływali do obcych statków i dokonywali abordażu. Najwyraźniej był pewien, że jego dwieście łodzi i osiem czy dziesięć tysięcy wojowników stanowi siłę aż nadto wystarczającą, by uporać się z pięćdziesięcioma statkami wroga, na których nie mogło znajdować się więcej niż trzy tysiące ludzi.

Sam najwidoczniej postanowił zająć się Dian i mną, resztę roboty pozostawiając innym łodziom. Gdy czółno Hooji znalazło się w odległości około dwudziestu jardów od nas, na dziobie

najbliższej feluki wykwitł wielki obłok dymu i niemal jednocześnie usłyszeliśmy ogłuszający huk. Coś przeleciało z jękiem nad głowami wojowników Hooji i uderzyło w wodę, tuż za jego łodzią, wyrzucając w górę potężną fontannę.

A więc Perry wyprodukował wreszcie proch i wybudował działo! To było wspaniałe! Dian i Juag, równie zaskoczeni jak Hooja, spojrzeli na mnie pytającym wzrokiem. Działo przemówiło znowu. Myślę, że w porównaniu z ogromnymi armatami, które są montowane na współczesnych okrętach wojennych zewnętrznego świata, było ono żałośnie małe i nieszkodliwe, jednak tutaj, na Pellucidarze, było pierwszym i budziło taki strach, jakiego większość z tych prymitywnych ludzi prawdopodobnie jeszcze nie doświadczyła.

W chwilę, po drugim wystrzale w czółno Hooji tuż powyżej linii wodnej uderzył żelazny pocisk pięciocalowej średnicy, roznosząc w drzazgi pół burty, wywracając łódź do góry dnem i wyrzucając jej załogę, do morza.

Pozostałe cztery czółna, dotychczas płynące obok, zawróciły i ruszyły ku feluce, chcąc dokonać abordażu. Nawet teraz, w obliczu straszliwej katastrofy, wojownicy bez wahania wiosłowali ku temu dziwnemu i przerażającemu statkowi. Byłem pełen podziwu dla ich odwagi.

W czółnach znajdowało się ich prawie dwustu, podczas gdy naprzeciw nich, wzdłuż burty feluki, stało zaledwie pięćdziesięciu, jednak wynik tej walki był z góry przesądzony. Dowódca statku, którym, jak się niedługo miałem dowiedzieć, był Ja, pozwolił nieprzyjacielowi podpłynąć na niewielką odległość, a potem przywitał go salwami z broni palnej.

Jaskiniowcy i Sagoci w czółnach byli pożerani przez lecące ku nim fale śmierci jak sucha trawa na prerii przez ogień. Ci, którzy nie zostali trafieni porzucali łuki i włócznie i chwytając za wiosła, starali się uciec. Jednak feluka ścigała ich nieubłaganie a jej załoga strzelała do nich, jak do kaczek.

Wreszcie usłyszałem, jak Ja zwraca się do pozostałych przy życiu, proponując im darowanie życia, jeżeli się poddadzą. Za jego plecami stał Perry i domyślałem się, że ten gest łaski zawdzięczali jego prośbie, czy też rozkazowi, gdyż żaden Pellucidarczyk nie pomyślałby o okazywaniu wyrozumiałości pokonanemu wrogowi.

Wojownicy, mając do wyboru śmierć lub niewolę, wybrali te drugą i chwilę później zostali zabrani na pokład feluki. Na jej dziobie zauważyłem wielkie litery, układające się w słowo „Amoz”. W tym świecie nikt, poza mną i Perrym, nie potrafił tego napisu przeczytać.

Gdy więźniowie znaleźli się już na statku, Ja podpłynął do naszego czółna. Wyciągnęło się ku nam wiele chętnych rąk, oferujących pomoc przy wejściu na pokład. Brązowe twarze Mezopów rozjaśnione były uśmiechami, a Perry z radości zachowywał się niemal jak szaleniec.

Dian weszła jako pierwsza, potem Juag, a ja zostałem jeszcze w czółnie, chcąc pomóc Radzy i Rani wdrapać się na pokład, gdyż wiedziałem, co by się stało z jakimkolwiek Mezopem, który usiłowałby ich dotknąć. W końcu jaloki znalazły się na statku, wywołując tam wielkie poruszenie, gdyż nikt z obecnych na pokładzie jeszcze nigdy nie widział, aby dzika bestia była w takiej zażyłości z człowiekiem.

Perry, Dian i ja mieliśmy tysiące pytań, musieliśmy jednak poczekać trochę z ich zadawaniem — przecież bitwa z siłami Hooji dopiero się rozpoczęła. Z niewielkich pokładów dziobowych większości statków raz za razem odzywały się wykonane przez Perry'ego działa, plując dymem i ogniem, grzmiąc i siejąc śmierć. Powietrze drżało od ich ryku. Jednak armia Hooji składała się z dzikich, nieustraszonych wojowników — podpływali do statków, by zmierzyć się w śmiertelnej walce z ich załogami.

Jak zauważyłem, marynarskie umiejętności wyspiarzy z plemienia Ja pozostawiały bardzo wiele do życzenia. Najwyraźniej Perry wyruszył w ten rejs natychmiast po ukończeniu budowy floty. Ta

niewielka wiedza na temat manewrowania felukami, jaką kapitanowie i załogi posiadały, musiała zostać przez nich nabyta już po wyruszeniu w drogę. Doświadczenie jest znakomitym mistrzem, sporo już ich nauczyło, jednak wyraźnie musieli się jeszcze bardzo wiele dowiedzieć. Przeszkadzali sobie wzajemnie, starając się zająć jak najdogodniejszą pozycję, a dwa razy strzały z dział niemal trafiły w nasze własne statki.

Natychmiast po znalezieniu się na pokładzie podjąłem starania, by jakoś zaradzić tej sytuacji. Moje rozkazy były przekazywane ze statku na statek i w końcu udało mi się utworzyć z pięćdziesięciu feluk coś w rodzaju linii, z okrętem flagowym na czele. Począwszy od tej chwili zaczęliśmy powoli okrążać nieprzyjaciela. Czółna kierowały się prosto ku naszym statkom, usiłując podpłynąć do burt i zająć pozycje dogodną do abordażu, ale dzięki temu, że wszystkie nasze okręty płynęły w tym, samym kierunku mogliśmy uniknąć stawania sobie na linii strzału i zyskaliśmy możliwość prowadzenia ciągłego ognia z dział i ręcznej broni, bez narażania na niebezpieczeństwo naszych towarzyszy.

Hoojanie uparcie na nas napierali, a my równie uparcie rozbijaliśmy ich łodzie i topiliśmy wojowników. To była niemal rzeź. Od czasu do czasu krzychałem do nich, aby się poddali, obiecując, że jeśli to zrobią daruję im życie. Bez skutku. W końcu zostało już tylko dziesięć nieuszkodzonych łodzi. Ich załogi uznały, że mają dosyć i postanowiły uciec. Myśleli, że ich wiosła wystarczą, by zostawić nas w tyle — to było żalosne. Rozkazałem wszystkim statkom wstrzymać ogień, a potem ruszyliśmy za nimi. Wiała przyjemna, łagodna bryza i płynęliśmy za uciekinierami tak lekko i z taką gracją jak łabędzie na stawie w parku. Gdy się do nich zbliżyliśmy, dostrzegłem w ich oczach nie tylko niepokój, ale również zachwyt.

— Rzućcie broń i wejdźcie na nasz pokład — krzyknąłem do załogi najbliższej łodzi. — Nie stanie się wam nic złego. Nakarmimy was i odwieziemy na kontynent. Potem odejdziecie wolno, jednak pod warunkiem, że przyrzekniecie już nigdy nie podnieść broni przeciw Imperatorowi Pellucidaru.

Przypuszczam, że najbardziej z mojej przemowy zainteresowała ich obietnica posiłku. Jednak nie bardzo mogli uwierzyć, że ich nie zabijemy. Dopiero gdy pokazałem im wziętych wcześniej do niewoli jeńców, żywych i zdrowych, wielki Sagoth zapytał mnie, jakie mogę dać gwarancje, że dotrzymam obietnicy.

— Żadnych, poza moim słowem — odpowiedziałem. — A nie mam zwyczaju go łamać.

Pellucidarczycy przywiązują do danego słowa dosyć dużą wagę, więc Sagoth prawdopodobnie uwierzył. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego nie chce ich zabić. Jedynym wytłumaczeniem, które mógł przyjąć byłby zamiar zrobienia z nich niewolników, ale przecież obiecałem puścić ich wolno. Wódz Mezopów także nie bardzo mógł dopatrzeć się sensu w moim planie. Uważał, że powinniśmy ścigać wszystkie uciekające łodzie i po kolei je zatapiać. Ja jednak nalegałem na wzięcie tak wielu jeńców, jak to będzie możliwe, a potem uwolnienie ich na kontynencie.

— Ci wojownicy — tłumaczyłem — natychmiast po odzyskaniu wolności wrócą na wyspę Hooji, do miast Mahar, z których przybyli lub do swoich krajów, skąd których zostali przez Mahary porwani. Należą do dwóch ras i pochodzą z wielu krain. Dzięki nim wieść o naszym zwycięstwie rozniesie się daleko i szeroko, a ponadto w tym czasie, gdy będą z nami, zobaczą i usłyszą wiele zadziwiających rzeczy, o których potem opowiedzą swoim przyjaciołom i wodzom.

— Jest to najlepsza okazja na darmową reklamę — dodałem pod adresem Perry'ego — z jaką zetknęliśmy się od wielu lat.

Perry w pełni się z tym zgodził. Prawdę mówiąc chętnie zgodziłby się z czymkolwiek, co powstrzymałoby nas od zabicia wojowników, którzy wpadli w nasze ręce. Był znakomity, gdy w grę wchodziła produkcja prochu, strzelb i armat, ale w chwili, w której trzeba było użyć tych rzeczy do

zabijania innych ludzi, serce miękło mu jak wosk.

Sagoth, który ze mną negocjował, mówił teraz coś do swoich współplemieńców z tej samej łodzi. Najwyraźniej naradzali się nad tym, czy złożenie broni i oddanie się w nasze ręce będzie rozsądne.

— Zastanawialiście się, co się z wami stanie jeżeli się nie poddacie? — spytałem ich. — Nawet jeżeli nie otworzymy do was ognia z naszych dział i zostawimy was przy życiu, będziecie musieli bezradnie tułać się po morzu, aż pomrzecie z głodu i pragnienia. Nie możecie wrócić na wyspy, gdyż sami widzieliście, że zamieszkujący je tubylcy są bardzo liczni i wojowniczy. Zabiją was w tej samej chwili, w której przybijecie do brzegu.

Gdy walka się skończyła, jeńcy zostali rozmieszczeni na poszczególnych okrętach i nakarmieni. Nie myślcie sobie, że Dian, Jnag i ja, a także oba jaloki, nic nie jedliśmy. Teraz mogłem wreszcie poświęcić swoją uwagę flocie. Wszystkie feluki skupiły się wokół okrętu flagowego i z ceremoniałem godnym średniowiecznego władcy zacząłem odbierać meldunki od kapitanów poszczególnych jednostek. Odbieraliśmy je razem, Dian i ja — Imperatorowa i Imperator Pellucidaru.

Po zakończeniu ceremonii mieliśmy wreszcie z Perrym trochę czasu na rozmowę. Perry powiedział, że Ghak, król Sari, przesłał mu przez posłańca mój list i mapę. Wraz z Ja postanowili natychmiast po zakończeniu budowy floty wyruszyć w podróż, by sprawdzić prawdziwość mojej teorii, zakładającej, że Lural Az, na którym leżały Wyspy Anorok, jest w rzeczywistości tym samym oceanem, który pod nazwą Sojar Az obmywa brzegi Thurii.

Celem ich była wyspa, na której schronił się Hooja. Wysłali do Ghaka wiadomość o swoich planach, chcąc skoordynować działania obu armii. Huragan, który nas odrzucił od brzegu kontynentu na otwarte morze, im również sprawił kłopoty, znosząc statki daleko na południe. Na krótko przed naszym spotkaniem natknęli się na duży archipelag — i właśnie wypływali spomiędzy jego dwóch największych wysp, gdy ujrzeli flotę Hooji, ścigającą nasze czółno.

Spytałem Perry'ego czy wie gdzie właściwie się teraz znajdujemy i w jakim kierunku należy szukać wyspy Hooji lub kontynentu. W odpowiedzi rozwinął swoją mapę, na której już wcześniej starannie zaznaczył położenie nowo odkrytego archipelagu, nazwanego teraz Wyspy Nieprzyjazne — wynikało z niej, że siedziba Hooji leży na zachód od nas, z lekkim odchyleniem ku północy.

Potem wyjaśnił, że przy pomocy kompasu, chronometru i logu zdołali prowadzić dość dokładny opis przebywanej drogi. Wyposażyli w te instrumenty cztery feluki, a ich kapitanów przeszkolili w posługiwaniu się nimi.

Byłem zaskoczony łatwością, z jaką ci prymitywni ludzie opanowali dość skomplikowane przeciwie zasady dokonywania pomiarów. Perry zapewnił mnie, że są oni wyjątkowo inteligentną rasą i w lot chwytają wszystko, czego on stara się ich nauczyć.

Inną rzeczą, która wywołała moje niemałe zdziwienie był ogrom prac, wykonanych w tak krótkim czasie. Nie bardzo mogłem uwierzyć, że byłem nieobecny w Amoz przez okres wystarczający na wybudowanie pięćdziesięciu statków, wydobywanie i przetopienie rudy w celu uzyskania żelaza na działa i pociski, nie wspominając nawet o samej produkcji tych armat, a także ogromnej ilości muszkietów, w które wyposażeni byli wszyscy Mezopi, jak również prochu i amunicji, które zdawali się posiadać w nieograniczonych ilościach.

— Czas! — westchnął Perry. — Ile go, według ciebie minęło od twego odejścia z Amoz do naszego obecnego spotkania?

Musiałem przyznać, że była to prawdziwa zagadka. Nie wiedziałem ile czasu upłynęło między tymi wydarzeniami i Perry również nie mógł tego wiedzieć, gdyż na Pellucidarze czas nie istnieje.

— Poza tym, Dawidzie — ciągnął Perry — miałem do swojej dyspozycji niemal nieograniczoną

ilość ludzi. Liczba Mezopów, zamieszkujących cały archipelag Anorok, a jest on znacznie większy niż te trzy wyspy, które ty poznałeś, prawdopodobnie sięga wielu milionów. Ogromna większość z nich jest w przyjacielskich stosunkach z plemieniem Ja. Natychmiast, gdy Ja wyjaśnił im cel naszego przedsięwzięcia, do pracy zgłaszały się całe rodziny — mężczyźni, kobiety i dzieci.

Pragnęli nie tylko zrobić wszystko, co leżało w ich mocy aby przyspieszyć nadejście chwili, w której obalona zostanie władza Mahar, ale również — i to chyba się najbardziej liczyło — oni są po prostu żądni wiedzy i nowych umiejętności.

Rzeczy, które przywiozłeś z zewnętrznego świata tak pobudziły ich wyobraźnię, że nie mogli doczekać się chwili, w której nauczą się jak je projektować i wyrabiać.

— Ponadto — kontynuował Perry — na moją korzyść działał czas, a raczej jego nieobecność. Ponieważ nie ma tu nocy, nie było również przerw nocnych i Mezopi pracowali bezustannie, tylko od czasu do czasu robiąc krótką przerwę na posiłek i, bardzo rzadko, na sen. Po odkryciu rudy żelaza w krótkim czasie wydobyliśmy jej tyle, że moglibyśmy wyprodukować tysiąc armat. Wystarczyło, abym raz pokazał jak jakąś rzecz należy robić, a już po chwili pracowały w ten sposób tysiące. Na przykład, gdy zrobiliśmy pierwszą strzelbę i Mezopi zobaczyli jak ona działa, trzy tysiące chętnych rzuciło się do pracy przy ich produkcji. Oczywiście na początku było sporo zamieszania i marnowania energii, ale w końcu Ja wziął wszystko w garść, tworząc oddziały, z których każdy miał do wykonania, pod wodzą kompetentnego szefa, ściśle określone prace.

Teraz posiadamy już wykwalifikowanych rusznikarzy. Na małej, odosobnionej wyspie zbudowaliśmy fabrykę prochu strzelniczego. W pobliżu kopalni rudy, która leży na kontynencie, znajduje się huta, a na wschodnim wybrzeżu Anorok — dobrze wyposażona stocznia. Wszystkie ośrodki przemysłowe strzeżone są przez uzbrojoną w działa, stale czuwającą załogę.

Będziesz zaskoczony, Dawidzie, wyglądem Anorok. Ja sam nie mogę przestać się dziwić. Porównuje chwilę obecną z dniem, gdy po zejściu z pokładu „Sari” po raz pierwszy postawiliśmy na tej wyspie swoje stopy i wydaje mi się, że tylko cud mógł spowodować te wszystkie zmiany.

— Przeniesienie wspaniałych możliwości nauki i techniki dwudziestego wieku — powiedziałem — w epokę kamienną, rzeczywiście graniczy z cudem. Cudem jest również to, że tylko pięćset mil skorupy ziemskiej dzieli światy, które są odległe od siebie o niezliczone wieki.

Ach, Perry! Z jaką niecierpliwością oczekuje tego dnia, gdy ty i ja będziemy budowaliśmy maszyny do szycia zamiast okrętów wojennych, żniwiarki, które będą ścinały zboże, nie głowy ludzkie. Wyprodukujemy pługi i maszyny drukarskie, telefony i papier, postawimy szkoły i uniwersytety! Nasze statki handlowe będą przemierzały wielkie pellucidarskie morza, a ładunki jedwabiu, maszyn do pisania i książek znajdą drogę na obszary, którymi od początku czasu władały tylko ohydne gady!

— Amen! — powiedział Perry.

A Dian, stojąca przez cały czas u mego boku, ujęła i ścisnęła moją dłoń.

Rozdział XV

Zwycięstwo i pokój

Flota popłynęła prosto ku wyspie Hooji i rzuciła kotwice przy jej północno-wschodnim brzegu, naprzeciw wzgórza, które było twierdzą Hooji. Wysłałem tam jednego z jeńców z żądaniem natychmiastowego poddania się. Jednak, jak mi później przekazał, Hoojanie nie chcieli wierzyć w to, co im opowiedział. Zebrali się na skraju płaskowyżu i zaczęli wysyłać ku nam żałośnie nieskuteczne strzały.

W odpowiedzi kazałem pięciu felukom ostrzelać ich z dział. Usłyszawszy przerażające huki, zobaczywszy dym i lądujące wokół nich żelazne kule Hoojanie czym prędzej wzięli nogi za pas. Wyszedłem na brzeg na czele dwustu czerwonych wojowników i poprowadziłem ich ku przeciwległemu stokowi wzgórza, gdzie znajdowało się wejście do prowadzącego na szczyt tunelu. Napotkaliśmy tam na opór, jednak dość słaby i wystarczyła jedna salwa, aby odcinający nam drogę wojownicy pospiesznie się wycofali. Weszliśmy na płaskowyż i tam znów musieliśmy walczyć. W końcu resztki bandy Hooji złożyły broń i oddały się w nasze ręce.

Juag oczywiście uczestniczył w tym wszystkim. Natychmiast jemu i jego plemieniu zwróciłem wzgórze, które zamieszkiwali przez niezliczone wieki, dopóki nie zostało im zabrane przez Hooje i jego bandę. Nadałem wyspie status królestwa, a Juaga mianowałem królem. Zanim odpłynęliśmy, poszedłem zabierając Juaga ze sobą, do Gr-gr-gr, wodza ludzi-goryli. We trzech przygotowaliśmy zbiór zasad, które pozwolą obu rasom żyć na wyspie w pokoju i harmonii. Gr-gr-gr poprosił mnie, abym wziął do Sari jego syna, by mógł on poznać nasz sposób życia i rozwinąć swe umiejętności. Oczywiście chętnie się zgodziłem. Ludzie-goryle przy naszej pomocy mają szansę stać się najlepszymi rolnikami na Pellucidarze.

Wróciwszy na statek dowiedziałem się, że jeden z wyspiarzy z plemienia Juaga wrócił właśnie z kontynentu z wiadomością o ogromnej armii, która zjawiała się w Krainie Straszliwego Cienia i zagraża Thurii. Rozkazałem pospiesznie podnosić kotwice i czym prędzej wyruszyliśmy ku kontynentowi, do którego dopłynęliśmy po krótkiej i łatwej podróży.

Stojąc na przednim pokładzie „Amoz” nieustannie obserwowałem ląd przez lunetę Perry’ego. Gdy zbliżyliśmy się na tyle, aby rzeczywiście można było coś przez nią zobaczyć, dostrzegłem wielką masę wojowników, otaczającą szczelnym pierścieniem wioskę Goorka, wodza Thurian. W miarę zbliżania się widziałem coraz więcej szczegółów, między innymi liczne flagi i proporce, powiewające nad oblegającą armią.

Zawołałem Perry’ego i przekazałem mu lunetę.

— Ghak z Sari — powiedziałem.

Perry podniósł lunetę do oka, patrzył przez chwilę, a potem odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Czerwień, biel i błękit, kolory Imperium — powiedział. — To rzeczywiście jest armia Waszej Wysokości.

Wkrótce stało się jasne, że na lądzie nas zauważono, gdyż wzdłuż plaży zebrała się duża grupa obserwujących nas wojowników. Dzięki niewielkiemu zanurzeniu feluk mogliśmy rzucić kotwice w bardzo niewielkiej odległości od brzegu. Wśród obserwujących był również Ghak, który, jak

widziałem przez lunetę, patrzył na nas z pełnym niedowierzaniem i zdumieniem. Potem mi powiedział, że flota prezentowała się tak wspaniale, iż, zauważywszy nas, z trudem uwierzył świadectwu własnych oczu.

Chcąc nadać naszemu spotkaniu odpowiednią oprawę, rozkazałem, aby z każdej feluki wystrzelono na cześć Jego Wysokości Ghaka, króla Sari, salwę z dwudziestu jeden strzelb. Niektórzy z wyznaczonych co salutu wojowników posunęli się w swym entuzjazmie tak daleko, że załadowali broń nie tylko prochem, ale również kulami. Na szczęście mieli dostatecznie dużo rozsądku, by mierzyć w morze, więc nikomu nie stało się nic złego. Potem zesliśmy na ląd — a było to dosyć uciążliwe i długotrwałe, gdyż każda feluka miała na pokładzie tylko jedno niewielkie czółno.

Od Ghaka dowiedziałem się, że Goork, wódz Thurian potraktował ich bardzo wyniośle, a posłańcowi Ghaka odpowiedział, że nic o mnie nie słyszał i że nic go nie obchodzi. Myślę, że widok naszej floty i odgłosy wystrzałów przywróciły mu jednak zdrowy rozsądek, gdyż wkrótce po naszym zejściu na ląd zjawili się posłowie, zapraszając mnie w jego imieniu do złożenia wizyty w wiosce. Gdy się tam udałem, Goork przeprosił mnie za przyjęcie, z jakim spotkałem się podczas mojej poprzedniej tutaj wizyty. Bardzo też chętnie przysięgł wierność Imperium i w zamian otrzymał tytuł króla.

Pozostaliśmy w Thurii tylko tyle czasu, ile było potrzebne na przygotowanie traktatu z Goorkiem, w którym między innymi zobowiązywał się on do wyposażenia armii imperialnej w tysiąc ludzi wraz z jeźdźcami. Wyruszyły one do Sari z Ghakiem, drogą lądową, podczas gdy flota pożeglowała w stronę ujścia rzeki, od którego Dian, Juag i ja zostaliśmy odepchnięci przez huragan.

Podróż minęła spokojnie. Z łatwością odnaleźliśmy rzekę, a potem popłynęliśmy nią wiele mil w górę, po drodze podziwiając rozciągające się po obu jej stronach piękne, bogate równiny. Gdy rzeka przestała być żeglowna, zesliśmy na ląd, zostawiając na felukach tylko wartowników i ostatni odcinek drogi do Sari przeszliśmy na piechotę.

Armia Ghaka wkroczyła do Sari w jakiś czas po nas. W jej skład wchodziłi wojownicy ze wszystkich plemion, które pierwotnie tworzyły federacje, co dowodziło jak wielkim powodzeniem zakończyły się wysiłki Ghaka, zmierzające do odbudowania Imperium. Wraz z armią przybyło tysiąc ludzi z Thurii.

Rada Królów postanowiła, że powinniśmy natychmiast rozpocząć działania przeciwko Maharom. Przedstawiłem im plan kampanii, który został przez wszystkich entuzjastycznie zaakceptowany. Zgodnie z jego założeniami natychmiast wysłałem do naszych statków pięćdziesiąt ludzi z rozkazem dostarczenia do Sari pięćdziesięciu dział. Rozkazałem również, aby flota nie zwlekając wyruszyła do Anorok i zabrawszy stamtąd wyprodukowaną w czasie ich nieobecności broń i amunicję oraz uzupełniwszy załogi, popłynęła wzdłuż wybrzeża w poszukiwaniu przejścia na śródlądowe morze, w pobliżu którego leży Phutra, skryte pod ziemią miasto Mahar.

Byłem pewien, że to morze łączy się z Lural Az wielką i nadającą się do żeglugi rzeką i że jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, flota dotrze do Phutry równie szybko jak siły lądowe.

Wreszcie ogromna armia wymaszerowała. Byli w niej wojownicy z każdego z sfederowanych królestw. Wszyscy uzbrojeni w łuki i strzały lub strzelby, gdyż w skład sił lądowych zostali włączeni niemal wszyscy Mezopi, poza tymi nielicznymi, którzy byli niezbędni do obsadzenia feluk. Swe siły zbrojne podzieliłem na dywizje, pułki, bataliony, kompanie, a nawet plutony i drużyny. Wyzaczyłem również odpowiednią ilość oficerów i podoficerów. Podczas długiego przemarszu było dość czasu, aby poznali i opanowali swoje obowiązki.

Zanim dotarliśmy do równiny, na której leżała Phutra zostaliśmy zauważeni przez oddział Sagothów, który w pierwszej chwili chciał podjąć walkę, ale później, zobaczywszy z jak liczną

armią ma do czynienia, wycofał się i uciekł w stronę Phutry. W rezultacie, gdy dotarliśmy do miejsca, z którego było już widać sto wież, znaczących wejścia do podziemnego miasta, stanęliśmy twarzą w twarz z oczekującą na nas armią Sagothów i Mahar.

Zatrzymaliśmy się w odległości tysiąca jardów od nich i rozmieściwszy działa na nieco wyższym terenie po obu stronach naszych głównych sił, rozpoczęliśmy ostrzał artyleryjski. Ja, który był dowódcą artylerii, wykonał kawał dobrej roboty, gdyż jego kanonierzy zdążyli już nabrać ogromnej wprawy w obsłudze swojej broni. Saghoci, którym taki sposób walki niezbyt odpowiadał, rzucili się ku nam, wyjąc jak opętani. Pozwoliliśmy im podejść na niewielką odległość, a potem muszkietery, którzy tworzyli pierwszą linię naszych wojsk, wypalili ze swoich strzelb.

Rzeź była okrutna, ale ocalali Saghoci nadal parli w naszą stronę, aż doszło do walki wręcz. W tym momencie przydały się nasze włócznie, a także krótkie, żelazne miecze, w które wyposażeni byli niemal wszyscy wojownicy Imperium.

W bezpośrednim starciu ponieśliśmy spore straty, ale w końcu wybiliśmy przeciwników do nogi — przy życiu nie został ani jeden, nawet jako jeniec. Mahary, widząc, że bitwa przybrała niekorzystny dla nich przebieg, skryły się w swym podziemnym mieście. Wyruszyliśmy za nimi natychmiast po rozprawieniu się z Sagothami.

I zostaliśmy pobici — przynajmniej chwilowo. Natychmiast po zejściu w głąb nasi wojownicy w panice wycofali się z powrotem na powierzchnię. Byli na wpół uduszeni jakimś śmiernicobójczym gazem, który gady na nich wypuściły. Wielu z nich zostało tam już na zawsze. Czym prędzej posłałem po Perry'ego który przezornie pozostał na tyłach, a gdy się zjawił, poleciłem mu zająć się przygotowaniem niespodzianki, obmyślanej przeze mnie na wypadek niepowodzenia pierwszego ataku.

Pod moim nadzorem niemal do pełna załadował jedno z dział prochem, małym kulkami i odłamkami kamieni. Potem zatkał wylot lufy odpowiednio przyciętym kawałkiem drewna, wbijając go tak mocno, jak to tylko było możliwe. Następnie włożył w to działo długi lont. Tuzin wojowników zdjęło je z lawet i podtoczyło do szczytu prowadzących do miast schodów. Jeden z nich zapalił lont i wojownicy zepchnęli działo w dół, natychmiast uciekając jak najdalej.

Przez bardzo długi czas nic się nie stało. Zaczynaliśmy się już obawiać, że lont został zduszony przez toczące się w dół schodów działo, lub że Mahary zorientowały się dostatecznie szybko i same go zgasiły. Nagle ziemia wokół wejścia wybrzuszyła się — chwilę później usłyszeliśmy potworny huk. Zobaczyliśmy wylatujący w górę słup dymu i ognia, zmieszany z ziemią, kamieniami i resztkami działa.

Zaraz po ukończeniu pierwszej, Perry wziął się do pracy nad dwiema następnymi podobnymi bombami. Gdy tylko były gotowe, wrzuciliśmy je w dwa inne wejścia. Okazało się, że to zupełnie wystarczy, gdyż w chwilę po trzecim wybuchu z położonych najdalej od nas wyjść zaczęły wysypywać się gromady Mahar, wznosząc się natychmiast w powietrze i szybko odlatując na północ. Wysłaliśmy w pościg za nimi stu ludzi na lidi — po dwóch na każdym nie licząc kierującego. Domyślając się, że celem Mahar było śródlądowe morze, leżące w niedalekiej odległości właśnie na północy, wziąłem ze sobą kilka pułków i wyruszyłem w tamtym kierunku.

Otoczająca miasto równina oddzielona jest od morza, w którego chłodnych wodach Mahary chciały znaleźć schronienie, pasmem niskich wzgórz i dopiero po wspięciu się na nie mogliśmy to morze zobaczyć.

Scena, którą ujrzeliśmy, z pewnością już na zawsze zostanie w naszej pamięci.

Na skraju morza stał długi szereg naszych lidi, zaś sto jardów dalej powierzchnia wody była czarna od długich pysków i zimnych, gadzich oczu. Siedzący na grzbietach lidi Mezopi i niżsi,

bladoskórzy Thurianie, dłońmi osłaniali oczy przed blaskiem słońca i patrzyli gdzieś w głąb morza, poza kłębowisko Mahar, które również jak zaczarowane wlepiały swe ślepia w to samo miejsce, na które spoglądali i moi wojownicy. Serce podskoczyło mi z radości, gdy odkryłem co w tak wielkim stopniu przykuwających uwagę. Prosto ku gromadzie gadów płynęło dwadzieścia pięknych, pełnych gracji feluk!

Ich widok z pewnością wywołał wśród Mahar niemałą konsternację, gdyż nigdy jeszcze nie zdarzyło im się widzieć tego typu statków. Przez długą chwilę zdawały się być niezdolne do robienia czegokolwiek innego, poza gapieniem się na nadciągającą flotę, jednak gdy Mezopi zaczął do nich strzelać, Mahary popłynęły błyskawicznie ku felukom, najwidoczniej uważając, że będą one łatwiejsze do pokonania. Dowódca floty pozwolił im zbliżyć się na odległość około stu jardów, a potem otworzył ogień ze wszystkich dział i wszystkich strzelb, jakie znajdowały się na pokładach.

Ogromna ilość gadów zginęła już od pierwszej salwy. Pozostałe zatrzymały się, by chwilę później zanurkować i długo się nie pokazywać.

Jednak w końcu ponownie wypłynęły, daleko w głębi morza, poza flotą. Feluki dokonały zwrotu i rozpoczęły pościg, lecz Mahary, widząc to, oderwały się od wody, wzniosły w powietrze i odleciały na północ.

Bezpośrednio po upadku Phutry odwiedziłem Anorok. Przekonałem się, że rzeczywiście większość mieszkańców wyspy nieustannie zajęta jest pracą w zbudowanych przez Penyego stoczniach i fabrykach. Jednak zauważyłem również coś, o czym Perry mi nie wspominał, coś znacznie bardziej obiecującego niż fabryki prochu i arsenały — młodego Mezopa, nachylonego nad jedną z książek, przywiezionych przeze mnie z zewnętrznego świata. Siedział w chatce, którą Perry sobie wybudował, by mu służyła jako sypialnia i biuro. Młodzieniec był tak zajęty tym, co czytał, że nawet nie zauważył naszego wejścia. Perry uśmiechnął się, widząc w mych oczach zdumienie.

— Zacząłem go uczyć alfabetu natychmiast, gdy dotarliśmy do mechanicznego kreta i zajęliśmy się jego rozładunkiem — powiedział. — Był zafascynowany wyglądem książek i koniecznie chciał wiedzieć do czego one służą. Gdy mu to wyjaśniłem, poprosił mnie, abym go nauczył czytać, zacząłem więc w wolnych chwilach z nim pracować. Jest bardzo inteligentny i szybko się uczy. Do czasu mego wyjazdu zrobił ogromne postępy. Powiedział, że gdy już zdobędzie dostateczną wiedzę, zacznie uczyć innych. To znakomity pomysł, jednak początki będą bardzo trudne, trzeba będzie wykonać gigantyczną pracę, gdyż wszystko musi zostać przełożone na język pellucidarski.

Zajmie to dużo czasu, myślę jednak, że jeżeli nauczymy kilku czy kilkunastu z nich pisać i czytać po angielsku, będziemy w stanie znacznie szybciej ofiarować im w postaci zapisu również ich własny język.

W taki oto sposób powstał nasz wielki później system szkół i uniwersytetów — ten niemal nagi czerwony wojownik, siedzący w małej chatce na wyspie Anorok i z trudem, litera po literze, czytający książkę o intensywnej uprawie roli. Teraz mamy...

Ale po kolei — zanim skończę, wszystko zdążę powiedzieć.

Podczas pobytu w Anorok towarzyszyłem Ja w wyprawie na Wyspę Południową, najbardziej wysuniętą na południe z trzech, tworzących grupę Anorok. Zawarliśmy tam pokój z plemieniem, które od dawna było nastawione do Ja bardzo wrogo. Teraz byli zadowoleni, że mogą z nim zawrzeć sojusz i przyłączyć się do federacji. Stamtąd popłynęliśmy z sześćdziesięcioma pięcioma felukami do dalekiej Luany, głównej wyspy archipelagu, zamieszkiwanego przez nieprzejednanych nieprzyjaciół Ja.

Dwadzieścia pięć feluk z tych, z którymi teraz płynęliśmy, było nowego typu. Miary one dłuższy kadłub, żagle o znacznie większej powierzchni i rozwijały większą prędkość. Każda z nich posiadała

cztery działa, zamiast dwóch i były one tak ustawione, że jedno lub nawet dwa mogły strzelać bez względu na to, gdzie nieprzyjaciel się znajdował.

Grupa wysp Luany leży tuż poza granicą obszaru, który można objąć wzrokiem z kontynentu. Tylko największa z nich jest widoczna z Anorok. Gdy podpłynęliśmy bliżej, stwierdziliśmy, że ten archipelag składa się z bardzo wielu wysp i wysepek, w większości gęsto zaludnionych. Luanianie byli oczywiście świadomi tego, co się dzieje w kraju ich najbliższych i najszczerzych nieprzyjaciół. Wiedzieli o felukach i broni palnej, gdyż kilka ich oddziałów, które zapuściły się zbyt daleko, już miało okazje zawrzeć z nimi bliższą znajomość. Jednak ich wódz, stary już człowiek, jeszcze takich doświadczeń nie posiadał. Zobaczywszy nas, doszedł do wniosku, że nie jesteśmy zbyt groźnym przeciwnikiem i zaatakował flotę przy pomocy około stu dużych czółen bojowych, wypełnionych do pełna uzbrojonymi we włócznie wojownikami. To było żałosne. Wstydem było masakrowanie tych biednych ludzi, jednak nie zostawili nam żadnego wyboru.

Podzieliłem się z Ja moimi odczuciami i byłem zdziwiony, stwierdziwszy, że on myśli bardzo podobnie. Powiedział, że zawsze wzdrygał się przed prowadzeniem wojen z innymi Mezopami, gdyż jest tyle obcych ras, z którymi można walczyć. Zaproponowałem, byśmy porozmawiali z wodzem Luanian i spróbowali zawrzeć jakiś układ, jednak gdy Ja zwrócił się do niego z tą propozycją, ten stary dureń doszedł do wniosku, że się boimy i promieniejąc radością rozkazał swoim wojownikom przystąpić do ataku.

Nie mając innego wyboru zaczęliśmy strzelać, celując jednak, za moją sugestią, głównie w czołno wodza. W rezultacie pół minuty później zostały z niego tylko wióry, a załoga — ci, którzy nie zostali zabici — miotała się w wodzie, walcząc z tysiącami drapieżnych stworzeń, które wypłynęły z głębin na niespodziewany posiłek.

Kilku z nich uratowaliśmy, ale większość zginęła, jak Hooja i załoga jego czołna, gdy zostało ono trafione naszym strzałem.

Ponowiliśmy propozycje rozpoczęcia rozmów, jednak był tam syn wodza, który nie chciał o tym nawet słuchać. Widział śmierć ojca i teraz myślał wyłącznie o zemście. Musieliśmy więc znowu strzelać do tych dzielnych ludzi. Na szczęście nie trwało to długo, gdyż okazało się, że są wśród nich rozsądniejsi niż były wódz i jego syn. Wkrótce stary wojownik, dowodzący jednym z czółen podpłynął do nas i oddał się wraz ze swą załogą w nasze ręce. Potem już jedno po drugim czołna poddawały się, aż wszyscy złożyli broń na pokładach naszych statków.

Wezwaliśmy na okręt flagowy wszystkich naszych kapitanów, a potem całą starszyznę Luany. Luanianie spodziewali się, że czeka ich, jako pokonanych, śmierć lub niewola. Jednak nie zasługiwali ani na jedno, ani na drugie — i powiedziałem im to. Tutaj, na Pellucidarze, mam zwyczaj zawsze, gdy jest to tylko możliwe, starać się uświadomić tym prymitywnym ludziom, że miłosierdzie jest równie godną szacunku cechą, jak odwaga w boju i że w równym stopniu, jak człowieka, który dzielnie walczy przeciwko nam, a jeżeli pokonamy go, okazać mu wyrozumiałość i szacunek, na jakie zasługuje.

Dzięki wierności tym zasadom udało mi się zjednać dla Imperium wielu dzielnych i szlachetnych ludzi, których odwieczne tradycje wewnętrznego świata skazałyby na śmierć lub niewolę. Zjednałem również Luanian. Darowałem im wolność, a gdy tylko przysięgli lojalność wobec mnie i zadeklarowali przyjaźń oraz wieczny pokój z Ja zwróciłem im broń. Starego wojownika, który jako pierwszy okazał dostateczną dozę rozsądku, mianowałem królem.

W ten sposób odpływając z Luany, pozostawiłem za sobą następne królestwo należące do konfederacji, a granice Imperium przesunięte o kilkaset mil na wschód.

Wróciliśmy do Anorok, a potem na kontynent, gdzie podjąłem na nowo kampanie przeciwko

Maharom. Maszerowaliśmy od jednego miasta do drugiego, aż zaszliśmy daleko na północ, do kraju, w którym nigdy przedtem nie byłem. Wszędzie odnosiliśmy zwycięstwa, zabijając lub biorąc do niewoli Sagothów, a Mahary spychając wciąż dalej i dalej.

Zauważyłem, że zawsze uciekały one na północ. Sagoci, których braliśmy do niewoli, zwykle bardzo chemie przysięgali nam lojalność i wstępowali w nasze szeregi. Na drabinie ewolucyjnej stoją oni niewiele wyżej niż zwierzęta, więc nie było w tym nic dziwnego, iż gdy tylko orientowali się, że mamy zamiar napęłniać ich żołądki i dawać im wiele okazji do walki, nie mieli żadnych zastrzeżeń wobec maszerowania na następne miasto Mahar i zabijania innych Sagothów.

W ten sposób posuwaliśmy się coraz dalej, zataczając wielkie półkole — najpierw szliśmy na północ, potem na zachód i wreszcie na południe — aż w końcu dotarliśmy z powrotem do skraju Równin Lidi, na północ od Thurii. Tam zdobyliśmy to miasto Mahar, które przez tak wiele wieków panowało nad Krainą Straszliwego Cienia. Potem wróciliśmy do Thurii — Goork i jego ludzie nie posiadali się z radości, usłyszawszy nowiny, które im przynieśliśmy.

Podczas tego długiego, obfitującego w zwycięstwa marszu, przeszliśmy przez siedem krain, zamieszkałych przez plemiona prymitywnych ludzi, którzy jeszcze nic nie słyszeli o federacji. Wszystkie z nich udało nam się przyłączyć do Imperium. Godne zauważenia jest to, że w pobliżu każdego z większych skupisk ludzkich znajdowało się miasto Mahar, ściągając z niego daninę w postaci niewolników przeznaczonych do pracy i na pożywienie.

W każdej z tych krain zostawiłem oficera i wojowników, których zadaniem było szkolenie tubylców w sztuce wojennej i nauczanie ich obchodzenia się z bronią, którą miałem zamiar im podarować, gdy tylko zostanie wyprodukowana. Było to niezbędne, gdyż czułem, że jeszcze dużo wody upłynie w rzekach Pellucidaru zanim pozbedziemy się ostatniej Mahary. Byłem przekonany, że odleciały one na północ poczekać, aż nasza armia odejdzie, zabierając swą przerażającą broń, by potem spokojnie wrócić do dawnych siedzib i zwyczajów.

Całkowite uwolnienie Pellucidaru od tych ohydnych stworów prawdopodobnie nigdy nie będzie możliwe, gdyż niewątpliwie istnieją gdzieś jakieś dalekie lądy, na które nie spoglądało jeszcze oko żadnego poddanego Imperium, które pokryte są setkami i tysiącami podziemnych miast, zamieszkałymi przez miliony Mahar.

Jednak w obecnych granicach mego Imperium nie pozostało już żadne z nich.

Po opuszczeniu Thurii wróciliśmy do Sari, gdzie mieści się siedziba rządu. Tutaj, na wielkim, jałowym płaskowyzu, spoglądającym na wcinającą się w kontynent zatokę, budujemy nowe, większe Sari. Tutaj stawiamy młyny i fabryki. Tutaj uczymy mężczyzn i kobiety tajników uprawy roli. Tutaj Perry stworzył pierwszą drukarnię, a kilkunastu młodych Sarian uczy swych ziomków czytać i pisać w ich własnym języku.

Ustanowiliśmy sprawiedliwe — i bardzo nieliczne — prawa. Nasi ludzie są szczęśliwi, gdyż zawsze pracują nad tym, co im przynosi radość. Nie istnieją pieniądze, ani też żaden towar nie spełnia ich roli, Perry i ja zgodziliśmy się całkowicie w tym, że dopóki my żyjemy, Pellucidar nie pozna pieniądza — tego źródła wszelkiego zła.

Każdy poddany Imperium może wymieniać to, co sam wyprodukuje, na towary, wytworzone przez innych, jednak na tym koniec, otrzymanych dóbr nie może już dalej wymieniać. Innymi słowy, towar traci wartość wymienną w momencie, w którym opuszcza ręce swego wytwórcy. Wszystkie nadwyżki są oddawane rządowi, który może, jako reprezentant swoich ludzi, wymieniać je na to, co produkują inni ludzie.

W ten sposób powstał handel między poszczególnymi królestwami, z którego zyski przeznaczone są dla dobra poddanych — na budowę fabryk narzędzi i maszyn rolniczych, a także fabryk wszelkich

innych narzędzi, potrzebnych w coraz większej liczbie zawodów, których stopniowo ich uczymy.

Anorok i Luana współzawodniczą w budowie statków, starając przewyższyć się wzajemnie ich doskonałością. W każdym z tych królestw jest już kilka dużych stoczni. Anorok produkuje również proch strzelniczy oraz wydobywa rudy żelaza i za pomocą własnej floty prowadzi bardzo dochodowy handel z Thurią, Sari i Amozem. Thurianie hodują lidi, które, posiadając inteligencje i siłę słonia, stają się coraz powszechniej używanym zwierzęciem pociągowym.

Wokół Sari i Amozu rozpoczęło się udomawianie wielkich, pasiastych antylop, mających niezwykle smaczne mięso. Są one bardzo silne i wytrzymałe i myślę, że wkrótce zaczną być przyzwyczajane do uzdy i siodła. Na Pellucidarze istnieją konie, ale są zbyt małe, by spełniać rolę wierzchowców — niektóre gatunki są niewiele większe od foksterierów.

Dian i ja mieszkamy w wielkim pałacu, wznoszącym się tuż obok zatoki. Nasze okna nie są oszklone, gdyż nie mamy okien — ściany wznoszą się zaledwie na kilka stóp nad podłogę, zaś reszta, aż do sufitu, jest otwartą przestrzenią. Mamy jednak dach, który chroni nas przed padającymi pionowo, palącymi promieniami słońca. Perry i ja zdecydowaliśmy, że stworzymy styl architektoniczny, który nie ściągnie na przyszłe pokolenia białej zarazy, więc postaraliśmy się o to, by w nowych domach była doskonała wentylacja. Oczywiście ci, którzy to wolą, mogą w dalszym ciągu mieszkać w jaskiniach, ale wielu już buduje domy, podobne do naszych.

W Greenwich, zbudowaliśmy małe miasteczko i obserwatorium, jakkolwiek nie ma tu nic do obserwowania poza stacjonarnym słońcem. Na skraju Krainy Straszliwego Cienia znajduje się inne obserwatorium, z którego telegrafem bez drutu, dwadzieścia cztery razy na dobę przekazywany jest do każdego zakątka Imperium dokładny czas. Poza telegrafem bez drutu mamy w Sari kilka linii telefonicznych.

W tej chwili Perry nadzoruje budowę linii kolejowej między Sari a Amoz. Niedaleko od Sary odkryliśmy ogromne złoża antracytu i kolej żelazna będzie z niego korzystać. Niektórzy studenci Perry'ego pracują nad budową parowozu. To będzie bardzo dziwny widok — żelazny smok, pędzący z gwizdem i stukotem przez pierwotne dżungle epoki kamiennej, obserwowany przez okrągłe ze zdumienia ślepiec niedźwiedzi jaskiniowych, tygrysów szablatozębnych i mastodontów.

Jesteśmy bardzo szczęśliwi, Dian i ja, i nie wróciłbym do zewnętrznego świata za wszystkie bogactwa wszystkich jego księżniczek. Dobrze mi tu, gdzie jestem. Byłbym zadowolony nawet bez mej imperialnej potęgi i honorów — czyż nie posiadam największego ze skarbów — miłości dobrej, szlachetnej kobiety — mej Dian Pięknej?